

Łowcy głów

Crespy Michel



calibre 0.9.43

Michel Crespy

Łowcy głów

Przekład KRYSZYNA SŁAWIŃSKA
Tytuł oryginału Chasseurs de tetes

Las świerkowy opada łagodnie w stronę jeziora. Szare, gładkie niebo i woda, tak samo szara i gładka, zlewają się gdzieś na horyzoncie, a miękka futrzasta zieleń znika między nimi jak puchowa pierzynka. Puchowa pierzynka. To chyba wpływ techniki skojarzeń, tak często stosowanej we wstępnych testach: padam ze zmęczenia.

Niedługo się tu zjawią. Głęboka, martwa cisza dzikiej natury zostanie rozdarta. Najpierw głuchy pomruk silników na jeziorze. Potem zapewne szmer śmigła helikoptera... I w końcu, kiedy już wysiądą - głosy, z początku oddalone, potem coraz wyraźniejsze, a w tle echo kroków. Jakieś siedem czy osiem wieków temu, kiedy zaszczuty jelen u kresu sił chował się w głębi tych lasów, by uciec przed myśliwymi, musiał odczuwać strach, a jego uwaga była pewnie wyostrzona na najdrobniejszy dźwięk. Ja natomiast zachowuję kamienną obojętność.

Jedyne, co łączy mnie z tym jeleniem, to tropiące psy i topór nad głową. Trzeba przyznać, zasłużyłem na to; podłożyłem im się. Nie zdołałem uciec, zanim zaczęło się polowanie. Oni od początku wiedzieli, jaki będzie koniec. Zmusili nas do tego wszystkiego. Nie mieliśmy wyjścia. Kiedy wycelowałem strzelbę w Charriaca, nawet nie pozwoliłem mu wytłumaczyć, że to nieporozumienie. Podtrzymuje mnie na duchu myśl, że opuścił ten świat bez okazania skruchy za swoje liczne grzechy. W tym ten główny, najcięższy: że był tym, kim był. Bardzo bym się cieszył, gdybym miał pewność, że zostanie za to ukarany. Z drugiej strony, gdyby Bóg istniał, bez wątpienia nie znaleźlibyśmy się w takiej sytuacji.

Na razie nic. Kompletna cisza. To, co teraz zrobię, nie ma wielkiego znaczenia. Niełatwo mi o tym myśleć. Za bardzo rozpamiętuję przeszłość. Czy gdyby pozostawili mi choć cień nadziei na jakieś wyjście, skorzystałbym? Trzeba było zastanowić się nad tym wcześniej. Wszystko jest doskonale logiczne. Analiza przyszłościowa niewystarczająco dogłębna, oto mój dramat. Charriac się nie mylił.

Na samym początku tylko diabeł byłby w stanie zwietrzyć pułapkę. Zostaliśmy zwabieni w całkiem niewinny sposób. Jedni za pośrednictwem drobnego ogłoszenia w czasopiśmie specjalistycznych, inni przez oficjalne biura, a większość bezpośrednio przez telefon, we własnym domu.

Pewnego dnia zadzwoniła do mnie jedna z owych asystentek, które mają głos stewardesy i dodają przeciągłe „e” na końcu każdego zdania, co oznacza, że pracują w wielkiej paryskiej firmie. Spytała, czy nadal jestem wolny i czy zainteresowałaby mnie ewentualna propozycja. To tak, jakby spytać zabłąkanego na pustyni podróżnika, czy ucieszyłby się na widok mapy i manierki z wodą, pomyślałem, uśmiechając się. A jeśli tak, ciągnęła dalej, czy mógłbym podać jej adres, a ona przysłał mi mail. Bardzo lubię e-maile. Wolę nawet niż język mówiony. Można przeczytać kilka razy, przeanalizować każde słowo, rozważyć niuanse, przemyśleć odpowiedź. W dialogu telefonicznym mimo woli przekazuje się niepożądane elementy: intonację, modulację czy nawet akcent, barwę głosu, wszystko to, co udziela niedyskretnej informacji o rozmówcy, jego wieku, pochodzeniu, środowisku społecznym, stanie ducha. Mail ogranicza się do sensu, bez żadnych zakłóceń, bez niezamierzonego przekazu. Pisząc mail, nie jesteśmy tym, kim jesteśmy, ale tym, kim chcielibyśmy być i to okazać. Gdyby wszystko dało się załatwić mailem, nie byłoby mnie tutaj, nie walczyłbym z

zimmem i sennością pod kłującymi gałęziami nieruchomego świerku.

Pomimo zastrzeżeń żony, która naciskała, byśmy oszczędzali, uparłem się, żeby zatrzymać Internet. Nie chodziło mi o stronę z rodzinnymi fotografiami i imieniem mojego psa, ale po prostu o adres, krótki, profesjonalny. No i właśnie, godzinę później otrzymałem wiadomość, z której zapamiętałem każde słowo. Bardzo chciałbym już jej nie pamiętać, lecz sprawy ważne automatycznie odciskają trwałe ślady w pamięci, a nie mamy możliwości sformatowania twardego dysku w naszym mózgu. Chyba że byłoby to sformatowanie radykalne, jakie mi właśnie szykują.

Naszym zadaniem jest rekrutacja wyspecjalizowanych pracowników dla kilkudziesięciu europejskich korporacji. Pański profil zawodowy mógłby nas zainteresować. Czy zechciałby Pan nawiązać z nami kontakt?

De Wavre International

Poniżej zwyczajowa trylogia: telefon, faks, e-mail. Jak zwykle w mailach, żadnej formułki grzecznościowej, ani na początku, ani na końcu. De Wavre to nazwa firmy z północy Francji, Flandrii lub Belgii, kojarzącej się z przemysłem metalurgicznym, która przestawiła się na trzeci sektor za pomocą unijnych kredytów.

Od dwóch miesięcy byłem na *stand-by*. Nie, po co mam używać ich wysubtelnionych eufemizmów, skoro oni po prostu usiłują mnie wykończyć? Nie byłem na *stand-by*, to niespokojne oczekiwanie na następny samolot, z biletem w kieszeni. Byłem na bezrobociu. Wywalony z roboty jak jakiś pierwszy lepszy. Notowania giełdowe mojej firmy nie szły w górę wystarczająco szybko w stosunku do amerykańskich funduszy inwestycyjnych. Kierownictwo postanowiło zacisnąć pasa. Nie mam do nich pretensji: ktoś musiał wylecieć, oni albo my, ja na pewno postąpiłbym tak samo.

Dwa miesiące bez pensji to nic takiego, jeśli zgromadziło się wystarczający kapitał. Ale żadna rezerwa nie oprze się perspektywie kilku lat bez stałego wynagrodzenia. To główny problem bezczynności: nie wiadomo, kiedy się skończy. Ani czy się skończy. Na początku dzwoni się do osób, które kiedyś, kiedy jeszcze była praca, robiły jakieś propozycje czy choćby otwierały jakieś widoki.

I nagle, dziwna rzecz, w ogóle ich już nie interesujesz. Te pierwsze, nie wiedząc o twojej niedoli, jeszcze rozmawiają przez telefon. Potem jednak wiadomość się rozchodzi i nie sposób przebrnąć przez zaporę sekretarek. I wtedy człowiek uświadamia sobie, że stał się trędowaty. Przedtem był produktem poszukiwanym, rozchwytywanym, wszyscy chcieli go mieć u siebie. I nagle staje się kimś, komu trzeba pomagać. Dlatego że już do nikogo nie należy. To okres, w którym wszyscy mówią o wolności, a kiedy potwierdzisz, że jesteś wolny, patrzą na ciebie, jakbyś był zdechłym szczurem w zupie.

Pierwszą propozycję odrzucasz z lekceważącym rozbawieniem. Jak to, połowa mojej poprzedniej pensji, to chyba żarty? Niestety następnej propozycji nie ma. No więc skoro telefon milczy, zaczynasz szukać. Przystajesz czekać na następny samolot, jako *stand-by*, w wygodnej poczekalni, zaczynasz kombinować, jakby tu się wdrzeć na płytę i wśliznąć do ładowni. Byle gdzie, Air Cameroun albo Sri Lanka. Czytasz ogłoszenia w prasie i uświadamiasz sobie, że jesteś nikim: ani specjalistą od klimatyzacji, ani cukiernikiem, ani dekarzem, nie masz też żadnego doświadczenia w sprzedaży obuwia. Spotykasz się z oficjalnymi doradcami, którzy nie patrzą w oczy i tłumaczą, że jest taka, a nie inna koniunktura, że taki profil się nie opłaca, że jesteś za bardzo wykształcony, za stary, zbyt kosztowny.

Ale odprowadzając cię do wyjścia, mówią z szerokim uśmiechem, że się o ciebie nie martwią. Masz już przecież dobre imię, renomę w środowisku, stosunki, zdaje pan sobie sprawę, większość

ludzi nie może się tym poszczycić. Należysz do tymczasowych bezrobotnych, takich, którzy szybko znajdą nową posadę. To nie to, co młodzi bez żadnego doświadczenia w zawodzie czy ci, którzy przekroczyli pięćdziesiątkę - tych absolutnie nie można zaangażować.

No a poza tym żona dodaje panu ducha. Pójdzie do wróżki, a ona ujrzy na horyzoncie nowe wspaniałe perspektywy i dużo pieniędzy - nie zapomni od razu trochę uszczknąć z nich dla siebie. I wtedy czujesz się jak chory na raka, któremu optymistycznie oznajmiono, że na razie nie ma nowych przerzutów.

Pewnego pięknego ranka odzywa się De Wavre International. Nigdy o tej firmie nie słyszałeś. Ale przecież jest tyle rzeczy, o których nigdy nie słyszałeś, a które teraz są częścią codzienności. Rozważasz swoją odpowiedź, dokładając wysiłków, by nie dojrzeli w tobie lwa, któremu przed nosem przebiega gazela. Wyznaczają ci spotkanie z elegancko ubraną kobietą; byłaby całkiem ładna, gdyby zdjęła ogromne okulary w rogowych oprawkach.

- Jesteśmy agencją łowców głów - mówi. - Nasza metoda jest nietypowa. Przystawiliśmy kolejność *input* i *output*. Zamiast odpowiadać na prośby, bezlitośnie dokonujemy selekcji, wybieramy najlepszych i proponujemy ich rozwojowym firmom.

- Jak agencja modelek?

Uśmiecha się, ściągając usta tak, żeby nie odsłonić zębów, i odpowiada:

- Powiedziałabym raczej jak *talent scout* w klubach sportowych albo jak impresario. Mamy u siebie ludzi, za których ręczymy. Jeśli okażą się nie na poziomie, to znaczy, że my nie jesteśmy na poziomie. Nie możemy sobie na to pozwolić i przedsiębiorcy o tym wiedzą. To nie oni zwracają się do nas; my ich znajdujemy i proponujemy im samą śmietankę. Wydobywamy bryłkę złota i wstawiamy ją na rynek. Jeśli ktoś przejdzie przez sito, jest niezawodny w stu procentach, a my dokładnie wiemy, do czego się nadaje i gdzie go umieścić. Nie mówię: sprzedamy pana. Mówię: zobaczymy, czy ma pan wszystko, co niezbędne, żeby pana sprzedać. Na tym polega *challenge*. Przeszedł pan przez filtr? Nie minie miesiąc, a już pan pracuje. Nie przeszedł pan? Dziękujemy i do widzenia.

- A kto płaci?

- Firma. Pan, nic. Ani grosza. Firma płaci transfer w zamian za całkowitą pewność. Reszta idzie na nasz rachunek, pokrywamy cały pobyt podczas testów. Zakładamy, że z piętnastu, dwudziestu ludzi wstępnie wybranych wyłuskamy czterech lub pięciu, których sprzedamy i w ten sposób zwrócą nam się poniesione koszty. Ale uwaga: prześwietlimy pana na wszystkie strony i to nie zawsze będzie przyjemne. W najgorszym razie dowie się pan, ile jest pan wart. Bezpлатnie.

Pytam więc, jak i gdzie to się odbywa.

- Najpierw trzeba wypełnić kwestionariusz. Jest dość długi, bo potrzebujemy jak najwięcej szczegółów. Dzisiaj każdy potrafi napisać list motywacyjny i efektowny życiorys. Nie o to nam chodzi. Wymagamy absolutnej szczerości. Zatajenie czegoś natychmiast eliminuje. Jeśli zauważymy, że coś pan ukrywa, cokolwiek, jeśli to dostrzeżemy, wszystko natychmiast ucinamy, koniec, kropka. Zajmują się tym nasi specjaliści. To pierwszy przesiew. Na tym etapie odpada prawie połowa. Jeśli pan przejdzie dalej, następują badanie lekarskie i rozmowa kwalifikacyjna. Wtedy zostaje jedna trzecia kandydatów, których zapraszamy na tygodniowy staż praktyczny. Po stażu zatrzymujemy jakąś jedną osobę na trzy. Tak to wygląda.

- Czyli, jeśli dobrze usłyszałem, pozostaje jedna trzecia jednej trzeciej. Dziesięć procent.

Znowu się uśmiecha, jak automat.

- Właśnie. Szybko pan liczy. Mniej więcej tyle.

- Najlepsi to w sumie dziesięć procent wszystkich kandydatów, prawda?

- Nie. Mniej. Nie przygarniamy wszystkiego, co poniewiera się na rynku pracy, o nie. Mamy swoje macki. Kiedy następuje zwolnienie, zbiorowe czy indywidualne, natychmiast zasięgamy informacji. Od czasu do czasu jakaś firma zwalnia kogoś naprawdę dobrego. Bo nie może już mu płacić albo dlatego, i to zdarza się częściej, że szef jest zerem. Albo też zwalniają wszystkich za jednym zamachem i wtedy wyrzucają jak leci, i orchidee, i zwiędłe kwiaty. Powiedzmy, że po przejrzeniu dokumentów zwracamy uwagę na jednego z dziesięciu. Oczywiście zasięgnęliśmy o panu gruntownych informacji i dlatego otrzymał pan od nas tę propozycję.

No cóż, to pocieszające, a nawet schlebiające. Już jestem wśród dziesięciu procent zupełnie niezłych facetów, a mam szansę znaleźć się w jednym procencie. Jak się temu oprzeć?

No więc się nie oparłem. Ryzyko wydawało mi się znikome (dzisiaj myślę o tym z ironią, źle oceniłem zagrożenie, GIGN*[* GIGN - Grupa Interwencyjna Żandarmerii Wojskowej (Groupe d'Intervention de la Gendarmerie Nationale) (przyp. tłum.)] mogła mnie sprzątnąć), a doświadczenie pociągające. W najgorszym razie będę miał do czynienia z szarlatanami, z doskonale opłacanymi napszonymi „ekspertami”, którzy mydlą oczy naiwniakom, ale przecież w każdej chwili będę mógł się wycofać. Dla spokoju sumienia spytałem, czy mają jakieś referencje, czy to może zupełnie nowa metoda, chciałem w ten sposób zasugerować, że amatorzy angażują się w projekt, którego dalszy ciąg jest bardziej niż wątpliwy. Kobieta uśmiechnęła się po raz trzeci.

- To normalne, że pan pyta. Przechylny, prawda? Punkt dla pana, o czym nie omieszkać wspomnieć. Naturalnie, ten pierwszy kontakt także zostanie opisany w pańskim dossier, nie ukrywam. Zaraz... zaraz...

Wyjęła z szuflady grubą teczkę i mi ją podała. Wewnątrz były listy z podziękowaniami od największych firm francuskich i europejskich, podpisane przez ludzi stojących bardzo wysoko w hierarchii. Wielu znałem z nazwiska, to oni nie chcieli ze mną rozmawiać przez telefon. Przyglądałem się literkom u góry po lewej stronie - miały ułatwić zachowanie śladu owej korespondencji. To doskonała informacja o osobie, która odpisuje, a nie wszyscy znają ten chwyt. Na przykład AD/BG 99/124 oznacza, że list został podyktowany przez kogoś, kto ma inicjały AD, przepisany przez maszynistkę o inicjałach BG i ma numer 124, w tym wypadku z roku 1999. Jeśli inicjały osoby podpisanej także są AD, to znaczy że ta osoba sama list dyktowała. Jeśli inicjały są na przykład JH, oznacza to, że list został napisany przez innego współpracownika, zwykła formalność zlecona podwładnemu, a przełożony tylko go podpisuje, w większości przypadków nie czytając go, a czasem nawet nie widząc - gdy podpisuje go maszynka obsługiwana przez sekretarkę. Tutaj, z wyjątkiem jednego, wszystkie inicjały były zgodne. De Wavre pertraktuje więc, jak równy z równym, z panami tego kraju, najmożliwszymi feudałami społeczeństwa postindustrialnego. Oczywiście istnieje możliwość, że to wszystko jest oszustwem, ale nie widziałem w tym żadnego celu. Niczego ode mnie nie żądano, poza opowiedzeniem wszystkiego o sobie; nie miałem pieniędzy, na które mogliby się poślakomić.

Wyzaczyliśmy sobie następne spotkanie w przyszłym tygodniu. W jej obecności zapisałem to w notesie, w przypadkowo wybranym miejscu. Gdybym zanotował to tylko w pamięci, pomyślałaby, że nie mam absolutnie nic do roboty - co zresztą było prawdą. A bezrobotny (przepraszam, menedżer wyższego szczebla na *stand-by*) nie może mieć notesu zapisanego tak gęsto, by musiał sprawdzać, czy ma czas na rozmowę o pracy. Już na samym początku zacząłem się pilnować. Spotkanie w

sprawie pracy to jak pierwsza randka zakochanych. Nie za dużo i nie za mało dezodorantu, żadnych wabiących plików banknotów do zapłacenia rachunku, tylko karta Gold, półprawdy i półkłamstwa, aż do końcowego akcentu: „wpadniemy do mnie na strzemiennego”, a nie „pójdziemy do łóżka”, „uważnie przeanalizujemy pańskie dossier”, a nie „wznosimy ręce do nieba, wyjąc ze śmiechu”. To się nazywa cywilizacja. A teraz, stojąc oparty o świerk, ze strzelbą przy nodze, pożałowałem tego.

Wyjątkowo sympatyczny młody człowiek podał mi papiery do wypełnienia. Nieczęsto zdarza się spotkać kogoś tak bardzo otwartego, uśmiechniętego, energicznego, inteligentnego i uprzejmego. Zamieniliśmy zaledwie kilka banalnych zdań, ale to wystarczyło, by stan mojego ducha uległ zmianie. Gdy po raz drugi szedłem do De Wavre, byłem spięty i ostrożny. A kiedy zostałem sam przy stole, nagle poczułem optymizm i chęć współpracy. Jeśli cały swój personel wybierają na wzór tego młodzieńca, ich metoda musi być naprawdę niezła.

Kwestionariusz był, tak jak zapowiedzieli, niezwykle długi i szczegółowy. W odwiecznym porządku alfabetycznym prześwietlał całe moje życie. Żadnego niedyskretnego pytania, żadnych odczuć czy osądów moralnych: fakty, czyste fakty. Najpierw musiałem opisać status zawodowy i życie rodzinne moich rodziców, a nawet dziadków, potem dostarczyć garść informacji na temat braci i sióstr. Sądzę, że biorąc pod lupę moje środowisko rodzinne, chcieli wyrobić sobie, pośrednio, pewne pojęcie o problemach, jakie mógłbym napotkać: utożsamianie się - płytsze lub głębsze - z ojcem, piętno zdarzeń z dzieciństwa, które wcześniej czy później mogłoby naznaczyć moje wybory.

Potem przeszliśmy do studiów. Gdzie, z kim, dlaczego - i lista osób, które wtedy poznałem. Ta część jest chyba przeznaczona specjalnie dla dawnych studentów najbardziej prestiżowych wyższych uczelni; wiadomo, że są werbowani z notesów adresowych.

Zatrudnienie absolwenta ENA*[* ENA - Państwowa Wyższa Szkoła Administracji (Ecole Nationale d'Administration), prestiżowa francuska uczelnia kształcąca elity polityczne kraju (przyp. tłum.)] ma sens tylko wtedy, gdy utrzymuje on kontakty z innymi absolwentami uczelni i potrafi, za pomocą kilku telefonów, szybko rozwikłać delikatną sytuację i utorować bardziej dostępne ścieżki w administracyjnej dżungli. Parę punktów było co najmniej dziwnych; pytano na przykład, jakie historyczne daty wywarły na mnie wrażenie i z jakiego powodu. Wymieniłem desant w Normandii i lądowanie na Księżycu, moim zdaniem dwa wydarzenia w miarę pozytywne.

Następnie musiałem zdać sprawę z mojej drogi zawodowej, podając dane świadków, i krótko opisać firmy, w których pracowałem, ich silne i słabe strony.

Szpiegostwo przemysłowe było tylko uboczną korzyścią z tych pytań. Chcieli przede wszystkim rozpoznać elementy, do jakich przywiązywałem wagę, po to, by mnie ocenić.

W jednej chwili cała empatia wywołana tym, jak zostałem przyjęty przez młodego człowieka, zniknęła, bo zacząłem analizować każde pytanie, zastanawiając się jednocześnie, dlaczego je tu umieścili i czego się spodziewają. Dotrzymałem przyrzeczenia i w najmniejszym stopniu nie zniekształcałem prawdy; od dawna jednak wiadomo, że wiele prawd może ze sobą współistnieć. Przeważnie nie zastanawiałem się, jaka może być prawidłowa odpowiedź, ale szukałem najlepszej spośród tych, których mogłem udzielić, nie zdradzając, jaki naprawdę jestem.

Nie dali żadnego limitu czasu. Byłem jednak pewien, że ten parametr nie jest tak całkiem nieistotny. Opieszałość to jedna z cech, których pracodawcy nienawidzą. Na szczęście szybko myślę, więc pod tym względem nie miałem trudności.

Gdy wypełniłem dwie trzecie kwestionariusza, pojawił się młodzieniec i zaproponował kawę. Odmówiłem z uśmiechem. To mógł być gest serdeczności albo jeszcze jeden test. Nikt nie ma

zamiaru płacić dwieście franków za godzinę i patrzeć, jak pracownik spędza tę godzinę przy ekspresie do kawy, na rozmowach o piłce nożnej. Dokładnie w tym momencie zacząłem popadać w obłąd. Wydawało mi się, że nic tu nie jest bezpodstawnie, że wszystko ma określony cel, że każde słowo, każdy gest jest pułapką, zagadką do rozwikłania. W normalnym życiu istnieją oddzielone od siebie obszary, wypowiedzi bez znaczenia i takie, które coś rozstrzygają, chwile, kiedy człowiek się rozluźnia, i czas, kiedy powraca do gry, na scenę i za kulisy. W De Wavre wszystko może mieć znaczenie. Może. Ale nie musi. Pies Pawłowa, kiedy już nie wie, czy ma do czynienia z kwadratem, który go wynagrodzi, czy z kółkiem, które go ukarze, wariuje. I oni to właśnie ze mną robili.

Bo ja cholernie potrzebowałem tej pracy. Nie mogłem dać się wyeliminować za to tylko, że odpowiem białe zamiast czarne, gdy pokazują mi szare.

Młody człowiek wyszedł, a ja starałem się odzyskać spokój. Jestem, kim jestem; jeśli mnie zechcą, tym lepiej, jeśli nie zechcą, trudno. Nie jeden De Wavre na świecie, jak mi się nie uda, następna szansa nadarzy się gdzieś indziej. Jednocześnie zdawałem sobie sprawę, że to nieprawda, że wszyscy pracodawcy chcą tego samego, że jeśli zatrzasną mi drzwi przed nosem, nikt już przede mną nie otworzy swoich. Po prostu sprawy potoczą się łatwiej i szybciej. Cała nasza organizacja społeczna opiera się na podstawowej zasadzie: nasze życie rozgrywa się w jeden dzień, no najwyżej trzy, cztery dni. Tego dnia mała grupka osób, które nic o człowieku nie wiedzą, w dziesięć minut chce wyrobić sobie opinię na temat jego kompetencji i cech charakteru. A my mamy dziesięć minut, żeby te osoby do siebie przekonać. De Wavre dawał na to więcej czasu. To powinno było mnie uspokoić. Ale im więcej jest czasu, tym bardziej człowiek draży, a im bardziej draży, tym bardziej się obnaża. Wziąłem się w garść. No już, nie mam nic do ukrycia, wręcz przeciwnie, jestem dobry i zaraz im tego dowiodę. Wróciłem więc do kwestionariusza.

Następna część dotyczyła wprawy w wykonywaniu zawodu, niezbędnego do pracy wyposażenia, którym potrafię się posługiwać (Internet, arkusz kalkulacyjny, edytor tekstu), cech, jakich wymagam od sekretarki lub współpracownika. Potem zainteresowali się trybem mojego życia: ile godzin śpię w nocy, czy uprawiam jakiś sport, czy jestem palaczem (nie dopuszczalne w firmach amerykańskich). I naturalnie hobby; nigdy nie mogłem pojąć, dlaczego ludzie z uporem wymieniają to w swoich CV, tak jakby pracownik, który uprawia łyżwiarstwo figurowe, był bardziej interesujący niż koszykarz. Tylko niektóre zamiłowania są ważne: golf, bo określa pozycję społeczną, czy filatelistyka, świadcząca o skrupulatności i raczej spokojnym usposobieniu. Reszta nie ma najmniejszego znaczenia; ktoś, kto uprawia wysokogórski trekking, będzie może wytrzymały fizycznie i zawzięty, ale też niezdatny do użytku przez sześć miesięcy w roku, bo tak bardzo pochłonięty swoją pasją. Przezorny De Wavre pytał, ile czasu w tygodniu poświęcam moim zamiłowaniom, ale uważam, że to za mało.

Teraz przechodzimy do poziomu życia: marka samochodu, komputera, czy mieszkanie jest obciążone hipoteką. Mniej więcej to samo, o co zwykle wypytuje bank. Ta część kwestionariusza nie sprawiła mi trudności. Chcieli po prostu dopasować moje wymagania płacowe, rekonstruując budżet rodzinny, obawiali się zapewne, czy nie mam jakichś luksusowych ciągót lub poważnie obciążających długów, które mogłyby mnie pchnąć do popełnienia godnych pożałowania nieostrożności.

Kilka pytań dotyczących żony i dzieci: wiek, studia, zdiagnozowane dolegliwości fizyczne lub psychologiczne, ewentualne leczenie, tylko tyle. Ani słowa o moich upodobaniach seksualnych, oczywiście. Przypuszczałem, że kwestionariusz będzie analizowany przez komputer, a ustawa o ochronie danych w informatyce jest w tej kwestii bardzo skrupulatna.

Wypracowanie kończyło się zestawem rozmaitych pytań: jakimi władam językami, jakie kraje odwiedziłem, które miejsca mi się najbardziej podobają, sześć pytań ściągniętych prosto z kwestionariusza Marcela Prousta, co budzi we mnie strach, jakich zachowań najbardziej nie lubię, wreszcie seria pytań testowych, dotyczących sytuacji z życia codziennego. O ile cała reszta odznaczała się precyzją, o tyle ta część była raczej dowolna, subiektywna, pozbawiona ścisłości - słaba, odległa imitacja oklepanych testów osobowościowych.

Uważnie przeczytałem tę końcową dziecinadę, podobną do owych cudacznych quizów z wakacyjnych pism, które leniwie wypełnia się, leżąc na plaży. Nie musiałem się specjalnie przykładać do odpowiedzi; za każdym razem, gdy brałem udział w takiej zabawie, zdobyta liczba punktów stawiała mnie w kategorii średniaków: ani nadmiernie popędliwy, ani nieczuły, ani podrywacz, ani specjalnie wierny, ani nazbyt uczuciowy, ani flegmatyk. Przestałem to robić, kiedy pewnego dnia lekkomyślnie pożyczyłem takie pismo od żony i po odwróceniu kartki ze zdziwieniem stwierdziłem, że nie jestem zdecydowanym zwolennikiem ani orgazmu lechtaczkowego, ani waginalnego, lecz po trochu i jednego, i drugiego.

Zadanie pisemne kończyło się czystą stroną przeznaczoną na komentarze, które kandydat zechciałby tu zamieścić. Pułapka była grubymi nićmi szyta, więc pilnowałem się, żeby tego nawet nie tknąć. Spóźniony refleks nie jest dobrze widziany przez werbowników, tak jak i zawile usprawiedliwienia po popełnieniu pomyłki. W firmie wymagają, abys coś zrobił, a nie żebyś tłumaczył, dlaczego tego nie zrobiłeś.

Rozumie się, że szczególnie zadbałem o sposób pisania. Chociaż dokładne badanie grafologiczne jest coraz rzadziej stosowane, niektóre podstawowe cechy charakterystyczne pisma, na przykład opadająca linijka czy ściśnięte litery, są zbyt oczywiste, żeby je pominąć.

Reszta to pomieszczenie wyjątkowo drobiazgowego CV, ankiet statystycznych i raportu prywatnego detektywa, a wszystko doprawione sosem odprysków testów osobowościowych i studium przypadku. W sumie nic nadzwyczajnego. Tajemnica owego sosu, jak zwykle, tkwi w odpowiednim doborze wielu różnych elementów.

Gdy po raz drugi czytałem moje wypracowanie, bardziej dla zapamiętania niż dla poprawy, sympatyczny młodzieniec znowu się pojawił. Pogratulował mi, że skończyłem, bo to pozwoli mu, jak powiedział, wcześniej pójść na obiad, i umówił się ze mną na popołudnie, na badanie lekarskie.

Ja także poszedłem na obiad do pobliskiego snack-baru. Sałata i woda źródłana. Nie spodziewałem się pobierania krwi - nie prosili, bym był na czczo - ale nigdy nie wiadomo.

Lekarz dyżurował w tym samym budynku. To niezły pomysł. Zwykle posyłają do laboratorium, gdzie za analizy trzeba zapłacić z własnej kieszeni, albo do specjalisty od medycyny pracy.

Młody człowiek, piegowaty, w okularach bez oprawek. Nie był ani specjalnie serdeczny, ani zimny. Po prostu profesjonalista. Trzymał mnie dobrą godzinę. Kiedy mnie badał, dokonałem paru drobnych obliczeń. Przypuśćmy, że w takim tempie przyjmuje pięciu pacjentów dziennie, a resztę czasu poświęca na pisanie sprawozdań. Setka na miesiąc. Jeśli wyeliminują połowę, muszą pozostawić pięćdziesięciu do udziału w tym ich słynnym stażu. Czyli jeden staż na tydzień. I na koniec dziesięciu do piętnastu zwycięzców. Biorąc pod uwagę strukturę firmy, zatrudniają minimum osiem, dziesięć osób: kobieta w recepcji, lekarz, młody człowiek zapaleniec, na pewno informatyk i ktoś zarządzający, co najmniej dwie osoby prowadzące staż i na pewno jedna lub dwie gdzieś w samym brzuchu bestii.

Licząc średnie pensje i koszty obciążeń socjalnych, fundusz przeznaczony na płace sięga zapewne

dwustu tysięcy franków miesięcznie, trzydziestu tysięcy euro. Jeśli dodać koszty stałe, czynsze, opłaty, taksy i w końcu jakieś premie, kwotę tę można podwoić. Staże natomiast są chyba dość kosztowne: hotel, choćby skromny, dla piętnastu osób, trochę sprzętu, dwa dni kwalifikacji na pięć dni pracy. W przybliżeniu roczny obrót musi wynosić najmniej około miliona euro, przy dokręcaniu śruby i ścisłej kalkulacji. A wszystko po to, by złapać stu pięćdziesięciu do dwustu facetów, z których umieszcza się gdzieś najwyżej połowę lub dwie trzecie. Czyli jedna głowa mieści się w dziesięciu tysiącach euro. To dwumiesięczna pensja szczęśliwego wybrańca. Nawet sensowne. Firma, która płaci trzynaście wynagrodzeń ubrutowionych, na pewno jest skłonna w pierwszym roku zapłacić piętnaście, żeby zyskać pewność, że ma kogoś wartościowego, kogo nie będzie musiała douczać. Niezły interes.

Podczas gdy w myślach prześwietlałem jego pracodawców, lekarz badał mnie na wylot. Najpierw mnie zważył i zmierzył, obmacał całe ciało, także mięśnie, o których istnieniu dotychczas nie wiedziałem. Musiałem nadmuchiwać balony, przedtem i potem pedałowac na stacjonarnym rowerku; zmierzył puls, temperaturę, osłuchiwał mnie. Musiałem pokazać zęby, gardło i wszystkie części anatomiczne, do których miał dostęp - także odbył, co było eleganckim sposobem sprawdzenia moich upodobań seksualnych, zupełnie jak w wojsku.

Pozwolił mi się ubrać i poddał mnie następnej ankiecie - ci ludzie nie potrafią żyć bez kwestionariusza w rękę. Higiena w moim życiu, nawyki żywieniowe, przebyte choroby. Jak się wydaje, najważniejszy punkt dotyczył bólu pleców. Firmy nienawidzą dolegliwości pleców, które nawiedzają jednego na sześciu Francuzów, szczególnie w moim wieku: nie wiadomo, skąd to się bierze, nie wiadomo, jak to leczyć, i dziarski menedżer, za którego zapłacono majątek, żałośnie wlecze się po korytarzu, zbolaty i niezdalny do użytku; żyje od niepotrzebnej operacji do zabiegów nieskutecznego kinezyterapeuty i nie zajmuje się już pracą.

Lekarz obszedł biurko i przystąpił do badania bezpośredniego: uderzał mnie w nerki i wypatrywał najmniejszego grymasu. Pozostałem niewzruszony. Tak naprawdę nigdy nie cierpiałem na ból pleców.

Zadowolony, usiadł za biurkiem.

- Ma pan jakąś wiedzę medyczną? - spytał.

- Raczej nie. To nie moja dziedzina.

- A udzielanie pierwszej pomocy?

- Także nie. Wiem tylko, co to jest pozycja boczna, a to chyba niewiele.

- Myli się pan. To może się przydać. Proszę teraz zerknąć na to.

Podał mi listę hipotetycznych sytuacji: co zrobić, gdy współpracownik przewróci się na podłogę (wezwać pogotowie), gdy sekretarka dostanie ataku nerwowego, gdy klient nagle zacznie wymiotować (mój Boże, czy coś takiego może się zdarzyć?)

Na zakończenie dziecinna pułapka. Czy wiem, co leczą następujące leki i wymienione niżej związki? Pod płaszczykiem naukowej wiedzy chcieli oczywiście dowiedzieć się, czy miałem jakikolwiek kontakt, choćby pośredni, z: rakiem, AIDS, chorobami przekazywanymi drogą płciową, artrozą, chorobą Alzheimera i tak dalej. Odpowiedź przecząca na te pytania oznaczałaby chęć zatajenia, której się obawiali. Odpowiedź twierdząca - kompetencje medyczne, którym przed chwilą zaprzeczyłem. Postanowiłem grać w otwarte karty.

Lekarz nawet nie spojrział na kartki, które mu podałem. One też miały być przetworzone przez komputer. Wstał, a po chwili, tak jakby zmienił zamiar, podał mi receptę.

- Aha, niektórych badań nie możemy u nas wykonać. Zechciałby pan stawić się jutro rano, na czczo, we wskazanym tu laboratorium? Oczywiście pokrywamy wszelkie koszty.

Dopiero po wyjściu z gabinetu przeczytałem, co było napisane na recepcie. Pobranie krwi, prześwietlenie płuc, Doppler, USG brzucha. Komplet badań. Niczego nie pozostawiają przypadkowi. Przynajmniej zrobię wszystkie badania za darmo. Jeśli niczego nie trzeba będzie naprawiać, będę mógł przykleić winietę na przedniej szybie, tak jak w przypadku nieco starszych samochodów, mogących wzbudzać podejrzenia.

Pani z recepcji zadzwoniła po tygodniu, by ustalić termin rozmowy. Domyśliłem się, że przeszedłem przez poprzednie etapy. To bardzo pokrzepiające. Umówiliśmy się na piątek, trzy dni później, poprosiła też, żebym sobie zarezerwował całe przedpołudnie.

Udałem się tam ogarnięty czymś w rodzaju entuzjazmu. Świadomość, że nie uważają mnie za kogoś zupełnie beznadziejnego, dodała mi odwagi, bardzo w ostatnim czasie nadszarpniętej. Trzecia część moich konkurentów wypadła już z biegu. Zaczynałem nawet wyobrażać sobie linię mety: rozpromieniony szef na mój widok wymachuje czekiem na zaliczkę, której tak bardzo potrzebuję. To było nie do pomyślenia dwa tygodnie wcześniej, a teraz dzięki De Wavre International blask słońca staje się weselszy, ulice radośniejsze, ludzie bardziej przyjaźni, a mój własny oddech dużo lżejszy. Zła wiadomość - i od razu mamy wrażenie, że wszystko się wali, że już po nas. Dobra - i natychmiast czujemy się niepokonani, nieśmiertelni. W takim nowym stanie ducha otwierałem ciężkie drewniane drzwi prowadzące do tego świętego miejsca.

Tym razem zadbali o oprawę. Ostatnio odwiedziłem tyle biur dyrektorów do spraw zasobów ludzkich, że mogłem pokusić się o ustalenie pewnej typologii: tacy, którzy na brzegu stołu gromadzą stosy papierów, aby pokazać, że twój przypadek nie jest odosobniony, tacy, którzy - wręcz przeciwnie - mają biurko puste, bo chcą dać do zrozumienia, że nie mają nic do zaoferowania, tacy, którzy osłaniają się murem rodzinnych fotografii, chcąc zaakcentować 1 w zasobach ludzkich, tacy, którzy wieszają na ścianach plakaty znamienne dla stanu ducha firmy (młoda i nowoczesna albo klasyczna i solidna).

Tu miałem do czynienia z wystrojem wnętrza z lat trzydziestych: segregator z drewnianymi kółkami, jaki można już znaleźć tylko u antykwariuszy, dwa fotele z popękanej skóry, kilka starych bibelotów na półkach, z przesadną oszczędnością wypełnionych zdekompletowanymi książkami, trochę pożółkłe zasłony, na ścianie niewielka marina w lekko zakurzonej ramie. Pokój, w którym ktoś nie ogranicza się tylko do liczenia słupków cyferek, ale spokojnie sobie pomieszkuje, jakiś dobroduszny uczonec, taki, jakich widuje się na czarno-białych filmach. Albo wyrozumiały, opiekuńczy psychiatra.

Na biurku w stylu Ludwika XV ciemnozielona podkładka o zniszczonych rogach, niewielki notatnik i czarne pióro, niepodobne do tych markowych, jakie zwykle odkłada się z dyskretną ostentacją. Ani śladu komputera, organizera, telefonu komórkowego, żadnego gadżetu obowiązującego w rozpoczynającym się wieku. A za biurkiem kobieta o trójkątnej twarzy i wielkich czujnych oczach.

Powitała mnie z ulgą, tak jakby od dłuższego czasu tylko na mnie czekała. Uśmiechnęła się, lekko marszcząc nos, uśmiechem zarezerwowanym dla przyjaciół, i palcem wskazała mi fotel.

- Nie będziemy - zastrzegła już na wstępie - nawzajem się przechytrzać.

No nie, oczywiście że nie, tylko nie to między nami. W końcu jesteśmy współnikami, to chciała mi przekazać. Głos miała serdeczny, zabarwiony lekkim akcentem.

- Pańskie dotychczasowe rezultaty są raczej dobre, chcę to panu powiedzieć od razu. Nie ma tu nic, co by nas... zawiodło. Musimy działać szybko. Chciałabym tylko wyjaśnić parę detali.

Ach tak...

Wyjęła z szuflady kartkę papieru, jedną kartkę, której nie starała się zasłaniać. Kilka linijek, a właściwie kilka nieczytelnych słów. Rzuciła na nie okiem.

- Wczoraj otrzymaliśmy wyniki pańskich badań. Wygląda na to, że wszystko jest w porządku. Okropnie w normie, chciałabym mieć takie. Ale jak sądzę, nie uprawia pan dużo sportu...

To nie było pytanie, więc nie dostała odpowiedzi. Nie zrażając się, podjęła:

- Wie pan, to rzecz raczej rzadka. W pańskim wieku zawsze gdzieś się znajdzie jakieś kuku, cholesterol, cukier, ciut za wysokie ciśnienie.

Należało trochę się włączyć w jej wysiłki, mające na celu wciągnięcie mnie w tę grę. Odparowałem:

- Ale chyba nie eliminujecie ludzi z tego powodu? Machnęła ręką - smukłe palce z długimi paznokciami.

- Nie, oczywiście, że nie. Ale w przypadku jednej na siedem czy osiem osób dostrzegamy jakiś problem. Wie pan, takie przewlekłe sprawy, które zatruwają życie. To tak jak w klubie sportowym, nie lubią angażować gwiazdy, która zamiast startować, jest unieruchomiona. Wie pan, czemu przypatrujemy się z wyjątkową uwagą?

- Nie.

- Zawartości gamma GT.

- Co to takiego? Odchyliła głowę do tyłu.

- Szczęśliwy człowiek, który nie wie, co to takiego! To wskaźnik nadmiernego spożycia alkoholu. Przypadłość wątrobowa. Nie marskość, nic podobnego. Albo jeszcze nie. To tylko znak, że dana osoba troszeczkę za dużo pije. Taka rzecz eliminuje. Pewnego razu rozpoznaliśmy AIDS. Ta osoba nie wiedziała.

- I macie prawo wyeliminować kogoś z tego powodu? Nie mieliście na karku wszystkich możliwych stowarzyszeń homoseksualistów?

Wzruszyła ramionami.

- Nie, dlaczego? Przecież nikogo nie angażujemy. Na tym etapie tylko robimy bilans zdrowia. Nie ma umowy, niczego nie podpisujemy, nie obiecujemy. Coś pan podpisywał?

Nagle uświadomiłem sobie, że ona ma rację: niczego nie podpisywałem, nie było żadnych zobowiązań, ani z jednej, ani z drugiej strony. Z punktu widzenia prawa był to najzupełniej dobrowolny *check-up*.

- Oddajecie ludziom wyniki?

- Badań? Tak, oczywiście. To przecież ich ciało. Mają prawo wiedzieć. Pańskie wyniki czekają w recepcji.

- A pozostałych testów?

- Ach nie, to właśnie jest nasza metoda. Nasz patent. Jeśli udałoby się panu je zdobyć, moglibyśmy oskarżyć pana o szpiegostwo przemysłowe, czy Bóg wie, jak to adwokaci nazywają. Mogę zadać panu kilka pytań?

Gdy już byłem przekonany, że nie życzy mi źle i że inni mieli większe trudności niż ja, rozluźniłem się na tyle, że mogłem dotknąć sedna sprawy.

Spodziewałem się, że będę musiał udzielić dodatkowych informacji na temat rodziny czy

dokładnych przyczyn mojego zwolnienia z pracy, lecz zaskoczyła mnie kolejnym pytaniem:

- Boi się pan latać samolotem?

Przez chwilę dałem odczuć, że jestem niezadowolony.

- Eee, właściwie nie... Ale zawsze czuję lekki skurcz przy lądowaniu. To ma jakieś znaczenie?

Zaczęła się śmiać głębokim głosem, zbyt głębokim jak na tak delikatną kobietę.

- Ach nie, chodzi o zakład. Jeden z naszych psychoanalityków zawsze wyciąga z egzaminów wnioski a la Sherlock Holmes, wie pan, on mieszkał w Indiach i kuleje na lewą nogę. Trochę się z nim droczyliśmy z tego powodu. On sądzi, że pan boi się latać samolotem. A ja uważam, że nie. Na stole stoi butelka bordeaux. To nasza stawka. Lekki skurcz przy lądowaniu... Przegrał, no nie? Przecież wszyscy to odczuwają. Zupełnie zrozumiałe: pięćdziesiąt procent katastrof zdarza się podczas lądowania. Ale pan wsiada do samolotu bez oporu, prawda?

- Tak, oczywiście.

Zrobiła minę zadowolonej kotki.

- To znaczy, że przegrał. Ile lotów w tym roku?

- Niewiele. Ale w zeszłym sześć, nie, siedem.

Powtórzyła jak mała dziewczynka:

- Przegrał, przegrał, bardzo się cieszę. No dobrze, a teraz na serio. Przestał pan palić, prawda?

Kiedy?

- Sześć lat temu.

- Dokładna data?

- Już nie pamiętam. Chyba w sierpniu. Podczas wakacji.

- Jeśli nie może pan podać dokładnej daty, to znaczy że jest pan wyleczony. Każdy był palacz powie: przestałem palić dwudziestego czwartego listopada 1982 roku. Zapominają daty ślubu, urodzin dzieci, ale to pamiętają. Dużo pan palił?

- Paczkę.

- A jaką metodę pan zastosował? Plasterki?

- Nie, żadną. Po prostu przestałem palić.

- Brawo. Bohater. Wie pan, że jest pan bohaterem? Wyjątkowo rzadki przypadek.

Posuwałem się do przodu krok po kroczku, węsząc kolejne pułapki. Wydawało się, że tak sobie gawędzimy o tym i owym jak para starych przyjaciół, ale to była rozmowa kwalifikacyjna. Nie miałem przed sobą jakiejś postrzelonej trzpiotki, ale niebezpieczne drapieżne zwierzę, które chciało uśpić moją czujność, zanim zaatakuję.

- Nie mam poczucia, że bym był kimś wyjątkowo rzadkim - powiedziałem przezornie.

- A co mogłoby u pana wywołać takie poczucie?

- Nie wiem... Jakiś wyczyn, którego nikt inny by nie dokonał.

- Na przykład?

- Osiągnąć coś, do czego nie czułbym się zdolny.

- I nigdy nie dostał pan takiej szansy, prawda? Uśmiechnąłem się w duchu. Mam ją.

- Dostałem, oczywiście, że dostałem. Uratowałem dryfującą firmę, za którą nikt nie dawał nawet grosza. To figuruje w moim dossier.

- Ile etatów pan wtedy uratował? Pułapka.

- Nie lubię tego sformułowania... uratować etaty. Nie chodzi o to, by wyciągać z wody topielców. Trzeba ustabilizować działalność, tak żeby firma była dalej potrzebna i dochodowa.

Wtedy etaty pojawią się same. Gdy chce się jedynie ratować zatrudnienie, pogrąża się firmę.

Byłem dość zadowolony z mojej wyważonej odpowiedzi: humanista, lecz przede wszystkim ekonomista. Z oczu mojej rozmówczyni niczego nie mogłem wyczytać.

- Interesujące - powiedziała. - A więc nie jest pan wrogiem down-sizingu?

- To zależy. Jeśli chodzi o szybkie zyskanie jednego procenta więcej z narażeniem przyszłych zysków, nie wydaje mi się to sensowne. Ale jeżeli trzeba odchudzić firmę, której przetrwanie jest narażone na niebezpieczeństwo z powodu nieprzemyślanych kosztów, w takiej sytuacji akceptuję.

- Ma pan wiele zalet. A jednak właśnie to pana spotkało, prawda?

Chwyciła za skalpel i zaczęła ciąć żywe ciało, precyzyjnie, zawzięcie.

- W pewnym sensie tak.

- I nie ma pan do nich pretensji?

- Pretensje mam do siebie, że nie przeczulem tego odpowiednio wcześniej. Przeważnie jesteśmy skłonni uważać siebie za niezbędnych. Wie pani dlaczego? Bo jesteśmy niezbędni sobie samym.

Odchyliła się do tyłu na fotelu, patrząc w sufit.

- Wspaniale! Nie pomyślałam o tym. Pozwoli pan, że to wykorzystam?

- Proszę bardzo. Nie mam copyrightu.

Uśmiechnęła się miło, nagle stała się przyjacielska. W ten sposób chyba postępują toreadorzy: robią kilka wypadów, po czym przez chwilę pozwalają bestii odetchnąć.

Tylko przez chwilę. Szybko powróciła na środek areny.

- A firma, którą pan postawił na nogi, też pana zwolniła w podziękowaniu?

- Nie. Sam oszedłem. Miałem dobry rok, więc byłem dużo wart, za dużo, jak dla nich. To tak jak w klubie sportowym, prawda?

Uniknęła grożącego jej ciosu rogiem i znowu się uśmiechnęła.

- Dobrze. Szybko pan chwyta. Albo już dawno pan wszystko zrozumiał. Proszę mi opowiedzieć o pańskim zwolnieniu, tym ostatnim. Jak pan zareagował?

- A pani zdaniem, co ja tu robię?

- To musi być raczej zniechęcające, czy tak?

- Nigdy pani nie próbowała?

- Jeszcze nie.

Wydawało się, że sływać szczęk uderzających o siebie stalowych mieczy.

- Rzeczywiście, coś takiego trochę odbiera odwagę. To zależy od rezerw, jakie się posiada. „Jeśli możesz spokojnie patrzeć na zrujnowane dzieło twojego życia i bez słowa zabierasz się do odbudowy, będziesz mężczyzną, mój synu”. Kipling. Kiedy byłem mały, powiesili mi to w pokoju. Na pergaminie. W ramce.

Uniosła ręce, dłońmi do góry.

- Ach, ta wiktoriańska Anglia - westchnęła. - Co za mężczyźni, prawdziwi. Jak do tego doszło, że utracili Indie?

- Nie mieli szans. Było ich kilka tysięcy, a tamtych pięćset milionów. Nigdy nie należy godzić się na walkę, która niechybnie będzie przegrana.

- Machiavelli - stwierdziła.

- Nie, raczej jakiś Chińczyk, już nie wiem, który. Ale każdy to pani powie.

- To znaczy, że lubi pan walczyć tylko wtedy, gdy jest pan najsilniejszy?

- Nie całkiem tak. Wtedy, gdy mam dużą szansę, że w końcu będę najsilniejszy.

Oparła łokcie na stole i patrzyła na mnie, trochę z powagą, trochę z rozbawieniem.

- Proszę mi pomóc. Na pewno jest jakiś defekt w tym pancerzu. W którym miejscu?

- Defektem jest to, że nie ma defektu. Wyprostowała się.

- Może i ma pan rację. Rzeczywiście, to chyba jest defekt. Zadzwonimy do pana i podamy datę stażu.

Z trudem ukrywałem satysfakcję. Jednak nie składałem broni. Dopóki nie przekroczę progu, nie będę jeszcze bezpieczny. Wielu zostało ugodzonych śmiertelną strzałą w chwili, gdy przedwcześnie się rozluźnili.

Młoda kobieta patrzyła mi prosto w oczy.

- Zrozumiał pan, co powiedziałam?

- Tak, chyba tak. To znaczy, że nie oblałem egzaminu.

- Nie przegrał pan meczu. Mecz ze mną.

- Tak właśnie pomyślałem.

- Zauważyłam. Coś panu opowiem. Kiedy pracowałam jako szefowa do spraw zasobów ludzkich, spotkałam się z pewnym młodzieńcem. To było na południu Francji. Facet okazał się niezbyt elokwentny. Było ciepło, miał krótkie rękawy. Nagle ujrzałam bliznę na jego ramieniu. Spytałam, co to jest. Odpowiedział, że jest toreadorem w korridzie prowansalskiej. Wie pan, co to takiego?

- Nie.

- Tam na południu urządzają walki byków. Ale ich nie zabijają. Zawijają sznurek na rogach, a potem muszą go ściągnąć czymś w rodzaju haka. Czasami byk dosięga toreadora.

- To chyba niezbyt przyjemne.

- Niezbyt. Zdarzają się przypadki śmiertelne. Tego chłopaka zwierzę dopadło i zostawiło mu tę szramę. Spytałam, czy się wycofał, odpowiedział, że nie, absolutnie nie, nadal bierze w tym udział. Natychmiast go zaangażowałam. Jeśli ktoś ma na tyle butnej odwagi, żeby stanąć oko w oko z bestią, która posłała go do szpitala, trzeba to jakoś wykorzystać.

- No i?

- No i nic. To wszystko. W czasie stażu doświadczycie tego samego. Zrobią wam szramy i zobaczą, jak reagujecie. Mówię to panu, bo pan już wie. Mogłabym zadać jeszcze co najmniej pięćdziesiąt pytań, ale dla nas obojga byłaby to strata czasu. Jest pan za dobrze przygotowany. Tyle że tam zagra zupełnie inna muzyka. Będą prawdziwe kule.

- Pani chyba chciałaby, żebyśmy sobie skręcił kark.

- Nie, nie, proszę tak nie myśleć. Chcę tylko się dowiedzieć, co drzemie pod zbroją, tak z ciekawości. Ale niech nie traktuje pan tego jako zaproszenia na kolację. Być może nie kryje się tam nic.

To nie było zbyt taktowne, ale nie wypuściła następnej strzały, wyszedłem więc z podniesioną głową.

Gdy wróciłem do domu, moja żona Anna spytała, jak mi poszło. Odpowiedziałem

„myślę, że dobrze”. Takie zdanie najczęściej słyszała już od dwóch miesięcy - a może nawet od początku naszego małżeństwa. Nigdy nie oczekiwałem jakiejś szczególnej pomocy od nikogo, więc najlepszym sposobem odsunięcia tej pokusy była odpowiedź „myślę, że dobrze” na wszystkie pytania, bez względu na temat. Jak zawsze Kipling. Amerykański socjolog Riesman napisał kiedyś książkę, w której chciał wyjaśnić, że przeszliśmy od społeczeństwa złożonego z mężczyzn, którzy niczego nie potrzebują, by się ukształtować (*innerdetermined*), do społeczeństwa złożonego z

mężczyzn całkowicie zależnych od innych (*otherdeter-mined*). Zdecydowanie należą do tej pierwszej kategorii.

Wiem, że Anna z tego powodu cierpi - nie, to przesada: żywi pewną urazę. Sądzi, że nie proszę jej o podtrzymanie na duchu, bo nie jest dla mnie dość ważna. To nonsens. Jest nawet wręcz przeciwnie. Dlatego, że ją kocham, że boję się ją stracić, nie chcę okazywać moich słabości. Zostałem wychowany w systemie z lat sześćdziesiątych i to nadało ton naszemu związkowi: jestem silny, wygrywam i otrzymuję za to godziwe wynagrodzenie; jestem słaby, przegrywam i ponoszę karę. Anna nie wyszła za mnie dlatego, że szlochałem jej na piersi, ale dlatego, że odniosłem sukces i miała pozytywny wizerunek mojej osoby. Chcę go zatrzymać. Je zatrzymać: wizerunek i Annę. Znam mnóstwo facetów, którzy stracili pracę i zaraz potem żonę. Dlatego, że zmienił im się charakter i nie dawali już żonom tego, czego pragnęły. To może być przyjemne, choć tylko przez jakiś czas, zamienić rolę żony na rolę matki pocieszycielki. Jednak coś takiego szybko nuży; nie da się trwale zrewidować całej tej konstrukcji, na jakiej opiera się małżeństwo. „Niech Moc będzie z tobą”, u progu trzeciego tysiąclecia to ciągle najbardziej znane zdanie z najbardziej znanego filmu roku. Nie zrobiliśmy wielkiego postępu od czasu wielkich małą człekokształtnych.

To samo w interesach. Nie zawsze wygrywa najinteligentniejszy, lecz najbardziej brutalny, ten, kto dąży do czegoś więcej niż inni.

Anna mówi, że chce wszystko ze mną dzielić, że - bardzo dobrze pamięta - obiecywała, że będzie ze mną na dobre i na złe. A jeśli zachowam mój tajemniczy ogród, nie będzie mogła mnie kochać w pełni. Wiem na pewno, że tak myśli i że jest całkowicie szczerą. Mam też pewność, że się myli. Jeżeli zostałbym wyeliminowany z wyścigu, nie przestanie mnie kochać: będzie mnie kochać inaczej. Będzie kochać kogoś innego, innego mnie. To zbyt duże ryzyko.

Anna jednak zachowała się wspaniale. Kiedy oświadczyłem jej, że straciłem pracę, nie stwierdziła od razu, jak wiele jej przyjaciółek w tej samej sytuacji, że nie będziemy mieli dochodów - albo o wiele niższe, jakiś głodowy zasiłek. Nie pomyślała najpierw o sobie. Przez dłuższą chwilę starała się rozwiać moje poczucie winy, niepotrzebnie, bo wcale nie czułem się winny, i przywrócić mi motywację - także niepotrzebnie. Poprosiłem ją dość oschle, żeby przerwała tę doraźną psychologiczną terapię, i więcej o tym nie rozmawialiśmy. Od dwóch miesięcy pyta mnie czasem, niby obojętnie, jak tam moje sprawy, a ja niezmiennie odpowiadam, że mam coś na widoku. Wyraźnie widzę, że się niepokoi. O mnie. Za kilka tygodni, gdy nadejdą pierwsze miesiące bez wypłaty, będzie się też niepokoić o siebie i o nasze dzieci. Wtedy zaczną się schody, kiedy dojdzie do wniosku, że dzieci są w niebezpieczeństwie, z mojego powodu.

Nasze dwie córki nie są jednak narażone na jakieś wielkie ryzyko. Starsza, nieprzeciętnie zdolna, kończy uczelnię handlową, po doskonale zdanej maturze. Pod koniec roku wypuścimy ją na rynek pracy i zostanie zarzucona propozycjami. Młodsza nastrocza więcej problemów. Próbuje studiować historię sztuki na Wydziale Nauk Humanistycznych, co wydaje mi się niezbyt obiecujące. Widuję ją raz w tygodniu, a ona ma do mnie pretensje, że ją przytłaczam. Może robiliśmy to mimo woli, matka, jej siostra i ja, i chciałyby się wreszcie od tego uwolnić. Ale to już trwa zbyt długo. Myślałem, że moje bezrobocie ją do mnie zbliży: nie jestem już tym, któremu wszystko się udaje - tak jak jej starszej siostrze - ale tak jak ona kimś, kto wszystko niweczy. A tu nic z tych rzeczy. Ma na tyle taktu, żeby nieco złagodzić swoją agresywność, widać jednak, że się powstrzymuje - od czego? Nie chce mnie pograżyć? Zemścić się? Tańczyć po moim trupie? Moja klęska jest jej triumfem, a jednocześnie wkurza się na mnie, że udaje mi się uciec przed jej złością. W rezultacie prawie w ogóle ze mną nie

rozmawia. Ostatnio atmosfera niedzielnych obiadów stała się raczej przytłaczająca.

Tym bardziej że Anna ciągle pracuje. Była na tyle roztropna, żeby zdobyć etat w administracji; pensja jest skromna, ale stała. Kieruje biurem w rektoracie, działem technicznym, w którym dziewięćdziesiąt pięć procent to mężczyźni, jak we wszystkich służbach technicznych. Wodzi ich na pasku, co jest najlepszą metodą w takiej sytuacji. W domu znowu może być kobietą. To jeszcze jeden powód, żeby nie zamieniać ról.

Pani psycholog z De Wavre nie starała się zgłębić mojej sytuacji rodzinnej. Z początku nie rozumiałem dlaczego. We Francji rodzina jest bardzo ważna; każdy drapieźnik powie, że działa wyłącznie z myślą o swoich dzieciach. Zresztą jest w tym trochę prawdy: ojciec zrobi wszystko, żeby zachować uczucie córki, i jeśli ma się to odbyć poprzez zakup stadniny, bo panienka uwielbia kucyki pony, tatuś wydobędzie stadninę choćby spod ziemi. Nie ma nic bardziej upokarzającego niż odmówić przyjemności dziecku nie z racji wychowawczych, lecz dlatego, że finansowo nie można sobie na to pozwolić.

W De Wavre o tym wszystkim wiedzieli, tak jak i o tym, że nie mają żadnego sposobu sprawdzenia tego, co mógłbym im naopowiadać. Kiedy najlepszy przyjaciel nagle się rozwodzi i wyznaje, że jego życie już od lat było prawdziwym piekłem, jesteśmy ogromnie zdumieni: nikt niczego nie zauważył. Jak można to zapisać trzema krzyżykami w odpowiedniej rubryce kwestionariusza? A oni mieli gdzieś to, co ja przeżywałem. Interesowało ich tylko jedno: czy będą jakieś tego konsekwencje, które wpłyną na efektywność mojej pracy, a jeśli tak, to jakie? Aby to ocenić, nie musieli analizować charakteru członków mojej rodziny: wystarczył im mój.

To, co przeżywałem, było zresztą zupełnie bez znaczenia: niczym niezmałcone małżeństwo, dwoje odpowiednio zrównoważonych dzieci (no, może jedno trochę mniej niż drugie), żadnych narkotyków ani więzienia, ani podejrzanych kontaktów, żadnych słabości, rozsądne gospodarowanie rodzinnymi finansami. Żadnej rysy na pancerzu, mimo obaw pani psycholog. *Clean*. I bardzo chciałem utrzymać ten stan rzeczy, bo znajdowałem w tym zapewne coś w rodzaju szczęścia, albo przynajmniej braku nieszczęścia, jakby powiedzieli stoicy.

Jedną z gorszych stron bezrobocia jest to, że ma się zbyt dużo czasu na myślenie. Człowiek zwraca się ku przeszłości, dokładnie ją analizuje, rozbiera. To błąd. Bo w końcu dochodzi do wniosku, że sam jest odpowiedzialny za sytuację, w jakiej się znalazł, i zaczyna wszystko niszczyć tylko dlatego, że sytuacja jest chwilowo niedobra i że musiał gdzieś popełnić jakieś głupstwo. Ja żadnego nie popełniłem - no, może jedno głupstewko: nie oszacowałem właściwie tępoty mojego ostatniego pracodawcy. No i oczywiście powinienem był też zacząć wszystko od zera, lepiej się uczyć w szkole, wybrać lepsze liceum, skończyć ENA i zostać inspektorem finansów, bo na takim stanowisku nigdy nie płaci się za pomyłki, nawet te najpoważniejsze. Ale gdyby można było zacząć jeszcze raz, zrobiłbym wszystko to samo: ożeniłbym się z Anną, przyjąłbym te same propozycje pracy (oprócz ostatniej), kupiłbym to samo mieszkanie. Może tylko postarałbym się dać więcej luzu młodszej córce. W sumie, żyję raczej w zgodzie z sobą samym.

Dlatego odpowiedziałem Annie:

- Myślę, że dobrze.

Miałem zaufanie.

Staż zaczynał się w niedzielę. Na początku nie mogłem pojąć jednego: wielu menedżerów na kierowniczych stanowiskach wyjeżdża w weekend na jakieś wątpliwe seminaria. Sądziłem, że chowają się gdzieś po prowincjonalnych hotelikach z ładnymi sekretareczkami, i żał mi było ich żon,

które tak łatwo łykają tak duże kłamstwo. Nic z tych rzeczy. Organizatorzy konferencji skarżyli się, że za dużo czasu zabiera podróż, wprowadzenie się do pokoju hotelowego, prysznic po podróży i inne formalności trwające całe poniedziałkowe przedpołudnie, przez co marnuje się niemal pół dnia. Dlatego teraz wszystko zaczyna się w niedzielę wieczorem, po kolacji. Myślę, że za dwadzieścia lat będą zaczynać w sobotę rano od przyjęcia dla gości między godziną czwartą a szóstą, tuż przed wschodem słońca. A w wieku XXI wynajdą środek na całkowite zlikwidowanie snu, bo to straszliwa strata czasu.

Wyznaczono nam spotkanie na Dworcu Lyońskim, wczesnym popołudniem. Młoda kobieta w niebieskim kostiumie - nie był to mundurek hostessy, jednak coś w tym rodzaju - pochodząca z Antyli, rozdała nam bilety na TGV. Było nas piętnastu, ale w pociągu zamieniliśmy zaledwie kilka słów: nie tworzyliśmy jeszcze grupy.

Później wsiedliśmy do autokaru, który ruszył autostradą w kierunku Alp. Zaraz za Grenoble skręcał w las, na zwykłą szosę. Im dłużej jechaliśmy, tym bardziej dzika stawała się przyroda. Łagodne pastwiska z krowami ustępowały miejsca groźnym przepaściom, drzewa tłumili promienie słońca, mijaliśmy wodospady, rumowiska. Zagłębialiśmy się w coraz wyższe góry, niespodziewanie zwieńczone śniegiem, a powietrze stawało się coraz chłodniejsze.

Nagle, po wyjeździe z lasu, dotarliśmy na brzeg jeziora. Było absolutnie nieruchome jak cynkowa blaszana płyta, raczej biała niż błękitna. Autokar zatrzymał się, kazano nam wysiąść. Kobieta siedząca obok mnie zadrżała z zimna, otworzyła dużą walizę i wyjęła z niej zieloną kamizelkę. Musiała potem dogonić kierowcę, który już ładował bagaże na wózek.

Cztery pale wystawały z wody, wspierał się na nich pomost z porozsuwanych desek. Przy jednym z pali przycumowany był mały kuter. Wysiadł z niego mężczyzna o bardzo czarnych włosach. Zwinnym ruchem wskoczył na pomost i podszedł do nas nieco kołyszącym krokiem. Jakiś zbyt wyrośnięty młody człowiek obok mnie wymamrotał:

- Pociąg, autobus, statek... Mam wrażenie, że po drugiej stronie znajdziemy psy zaprzęgowe albo awionetkę.

Inny, bardziej okrągły, zagadał do marynarza:

- Nie ma tu drogi? Przepłyniemy przez jezioro?

Marynarz odparł:

- *Non capisco* /* *Non capisco* (wł.) - Nie rozumiem (przyp. tłum.).]

Mały grubasek zwrócił się do nas.

- Czy ktoś tu mówi po włosku? Wydaje mi się, że to włoski. Jesteśmy we Włoszech?

Przejechaliśmy granicę?

Jakaś kobieta odłączyła się od ogłupiałego stada, jakie tworzyliśmy. Kobiet było niewiele, zaledwie cztery. Ta jest najładniejsza, pomyślałem.

- Ja.

Zacęła rozmawiać z marynarzem, po chwili do nas wróciła.

- Wszystko jasne. Płyniemy na wyspę pośrodku jeziora. Jest tam hotel. Stateczek nie może zabrać nas wszystkich naraz, ma tylko dziesięć miejsc, więc robi dwa kursy. Musimy się podzielić. Kto chce płynąć pierwszy?

Najodważniejsi zrobili krok do przodu. Wśród nich i ja. Z ciekawości: to chyba nie był początek testu.

Przeprawa odbyła się tak spokojnie jak rejs po kanałach Wenecji. Wszyscy staliśmy - na kutrze

nie ma miejsc siedzących; trzymaliśmy się parapetu i wdychaliśmy ostrą bryzę, która niosła zapach świerków. Nie puszczać steru, marynarz wskazał palcem zielone wznesienie wyłaniające się z wody.

- *E li che andiamo* *[* *E li che andiamo* (wł.) - To tam płyniemy (przyp. tłum.).].

Mały grubasek nie ustępował; zwrócił się do ładnej kobiety:

- Ale czy to jest we Francji, czy we Włoszech? Proszę go spytać.

- Nie, nie, we Francji, tylko on jest Włochem.

Kiedy podpłynęliśmy, dostrzeżliśmy dachówki budowli, potem mury, zatopione między drzewami. Po przeciwnej stronie jeziora także znajdował się pomost, dokładnie taki sam jak pierwszy, tak samo prymitywny i tak samo toczony przez robaki.

Marynarz zręcznie rzucił cumę, owinał wokół jednego z palików i wyskoczył na deski.

- *Siam'arrivati. Tutti giu* *[* *Siam'arrivati. Tutti giu* (wł.) - Jesteśmy na miejscu. Proszę wysiadać (przyp. tłum.).] - obwieścił wesolo, nie wyłączając silnika.

Pomógł młodej kobiecie przekroczyć barierkę, niemal ją uniósł, stał, nie ruszając się z miejsca, gotów pomóc każdemu, kto miałby na sobie wąską spódniczkę.

Kiedy już wszyscy byliśmy bezpieczni na stałym lądzie, zaczął wyciągać walizki, rzucał je na pomost z ostrożnością właściwą bagażowym na lotnisku. Po chwili zapuścił silnik i wskoczył do łodzi.

- Ej - powiedział grubasek - nie ma mojej walizki, co pan zrobił z moją walizką?

Wysoki młody człowiek zaczął się śmiać.

- Tak samo jak przy podróżach samolotem: obiad w Paryżu, kolacja w Nowym Jorku, a bagaże w Hongkongu.

- Wcale mnie to nie śmieszy - obruszył się grubasek. Odezwała się kobieta.

- Bagaże też płyną na raty. Chyba nie wybierali walizek. Dostanie ją pan za dziesięć minut.

- Pani już tu była? - spytał młodzieniec.

- Nie. Po prostu obserwuję.

Ja też obserwowałem. W De Wavre powiedzieli mi, że dwie trzecie osób z naszej grupy do końca stażu zniknie bez śladu. Grubasek na pewno będzie jedną z nich. Ale kobieta od razu okazała się niebezpieczna. Po trzech słowach wypowiedzianych po włosku zaczęła grać rolę przywódcy. Za chwilę, jeśli jej pozwolimy, zacznie wydawać nam rozkazy. Ja też nie miałem swojej walizki, ani przez moment jednak nie zapomniałem, dlaczego tu jestem.

- *Su, dai, andate...* *[* *Su, dai, andate* (wł.) - Proszę, śmiało (przyp. tłum.).].

Ustny egzamin z włoskiego mógł być pierwszą próbą. Na ich miejscu wybrałbym raczej angielski lub chiński. Albo - po jakimu mówią w Hongkongu? Chyba po amerykańsku...

- Musimy iść tędy - powiedziała kobieta.

Jeszcze nie zaczęła zdania, a już znalazłem się przed nią, na czele pochodu. Grubasek oparł się o pal, skrzyżował ramiona i uparcie czekał na walizkę, zamiast pójść z nami.

Na końcu alei cztery stopnie prowadziły do budynku hotelu, stojącego na zboczu wzgórza. Tu czekał na nas komitet powitalny w osobie młodej dziewczyny w dżinsach, damskiego odpowiednika młodzieńca, który pełnił tę samą funkcję w De Wavre: szczerą twarz, wesola, żywa, od razu wzbudzająca sympatię. To podziałało uspokajająco: jeśli w każdym takim miejscu udało im się zatrudnić recepcjonistów, co to jednym uśmiechem potrafią rozbroić największych ponuraków, zapewne umieją rozpoznać kompetencje niezbędne na każdym poziomie. Nieraz jest trudniej znaleźć

dobrego stewarda niż dobrego analityka finansowego.

Dziewczyna powiedziała nam, że nazywa się Nathalie. Wydawała się zachwycona naszym przybyciem, przyjęła nas tak, jakby każdego osobiście tu zaprosiła. Spytała, jak minęła podróż, wyraziła żal, że pogoda jest dość ponura, po czym - trzymając w ręku duży czerwony zeszyt - przydzieliła nam pokoje. Powtarzała po kilka razy każde nazwisko, patrząc w oczy wywoływanej osobie. Stara mnemotechniczna metoda. Jak dobrze wiedzą agenci handlowi i politycy, jedyne, czego się nie wybacza, to zapominania nazwisk. Rozmówca już nie istnieje, nie wyróżnia się z tłumu, jego indywidualność jest unicestwiona, jego ego upokorzone; większość ludzi nie może tego znieść. Nathalie została nienagannie wyuczona: po upływie pięciu minut znała nas wszystkich.

- Bagaże, w miarę jak będą przybywać, złożymy w holu - oświadczyła. - Mamy tylko jeden kłopot, hotelowy boy dziś rano zachorował, musicie sami przyjść po walizki.

Jakiś menedżer w okularach w złoconych oprawkach i ciemnym krawacie uniósł brwi.

- Ach tak? Proszę powiedzieć, może są jeszcze jakieś problemy? Nathalie obdarzyła go promiennym uśmiechem.

- Oczywiście. Nie działa ogrzewanie, kucharka właśnie urodziła, nie dostarczono nam żywności, a co do telewizji, mamy tylko jedną kasetę z Fort Boyard. Nie, żartuję, wszystko inne funkcjonuje jak najlepiej.

Skarcony menedżer nie miał innego wyjścia, jak tylko odpowiedzieć jej uśmiechem.

- Pokoje mieszczą się wyżej - ciągnęła Nathalie. - Gdy numer zaczyna się od jedynek, pokój jest na pierwszym piętrze, jeśli od dwójki, na drugim. Nie wymyślili nic skomplikowanego. Nie ma windy ani klimatyzacji. Ale z tyłu jest basen. Jeżeli ktoś przywiózł sobie harpun i zdoła rozbić lód, ma szansę złowić fokę. Beze mnie, jeśli można. Taka szansa istnieje, śnieg jeszcze nie spadł.

- Czy w zimie jezioro zamarza? - spytał menedżer.

- Nie. Za duże i za głębokie. Nie dość zimne. Na łyżwy trzeba chodzić gdzieś indziej.

- Aha, to łyżwy, właśnie zastanawiałem się, co jest takie ciężkie w pani walizce - odezwał się przysadzisty mężczyzna do ładnej kobiety mówiącej po włosku.

- Nie, to piętnastotomowa encyklopedia - odcięła się. - Zrobię powtórkę, zanim rozpoczną się testy.

W kilku słowach Nathalie udało się nas odprężyć tymi nieznośnymi żartami, co w naszym środowisku zwykle zapoczątkowuje nawiązanie więzów społecznych. Wdzięcznie z tego wybrnęła.

- Możecie teraz pójść do pokoi, wziąć prysznic, jeśli ktoś chce. To nie rozkaz, jeśli ktoś woli coś wypić, bar jest otwarty. O, jest reszta grupy...

Nasi towarzysze niedoli stopniowo wypełniali hol hotelowy, zziębnięci, dyszący: zbocze było dość strome, chcieli nas dogonić, szli za szybko. Nathalie wzięła swój zeszyt.

Dostałem pokój 211, przedostatni w końcu korytarza. Był umeblowany w stylu wiejskich hoteli, zupełnie inaczej niż Hilton i międzynarodowe karawanseraje. Drewniane łóżko, gruby piernat, nocny stolik, rustykalny, z niepasującą szufladą, dwie niewielkie czerwone zasłony w wąskim oknie, telefon, a zamiast szaf ściennych ogromna szafa zajmująca połowę powierzchni pokoju, zagradzająca częściowo wejście do łazienki. Wypróbowałem materac, podskakując na nim dwa czy trzy razy (twardy, ale nie niewygodny), potem zdjąłem czarną słuchawkę telefoniczną wiszącą nad wezglowiem łóżka - jedyne ustępstwo wobec nowoczesności. Odczekałem dziesięć dzwonek. Nikt nie odbierał. Może Nathalie jest sama w recepcji, zajęta przydzielaniem miejsc w obozie. Albo chcieli odizolować nas od cywilizowanego świata.

Posłuchałem Nathalie, wzięłem prysznic w małej kabinie ukrytej za szafą, po czym się przebrałem. Jaki look wybrać? Kiedyś wbito mi do głowy, że ubranie jest pierwszym elementem komunikacji, tym, który zostaje zarejestrowany w pamięci przed wszystkimi pozostałymi. Inny sposób powiedzenia, że suknia zdobi człowieka. Tutejsze otoczenie nie narzucało codziennego uniformu, czyli szarego garnituru z ciemnym krawatem. Wybrałem beżową kurtkę i niebieskie spodnie, swobodny strój, lecz elegancki, coś pośredniego między ubraniem miejskim a battledresse. Odrobina płynu po goleniu i mogłem wyjść.

Nathalie skończyła przydzielanie pokoi, teraz urzędowała za barem. Moi towarzysze-konkurenci powoli się zbierali, po chwili wahania przy drzwiach wchodzili i wtapiali się w grupę. Salon-bar był dość duży, ale szybko go wypełnili. Pod belkowanym sufitem chodzili z niepewnymi minami, udając, że przez szerokie okna oglądają widoki, albo zbyt uważnie wpatrując się w małe górskie malowanki, które zdobiły ściany. Miałem wrażenie, że jestem na wernisażu, gdzie nikt nikogo nie zna i gdzie nie ma co oglądać. Najwyraźniej inni utknęli w tym samym punkcie: wszyscy prosili o szklankę gazowanej wody, a potem szukali spokojnego kącika, skąd mogliby w spokoju obserwować grupę.

W końcu tę początkowo przyciężką atmosferę rozładował pewien wesolek, ktoś taki zawsze musi się znaleźć w każdej grupie wycieczkowej: ekstrawertyczny Południowiec, głośno komentujący wszystko, co widzi. Poinformował nas, że nazywa się Morin, uważa, że jest mroźno, a pracuje w branży opakowań. W scenie jak z wojskowego dowcipu, której żywiołowość nie łagodzi prostactwa, powtarzał grę słów na temat swojej profesji, mówił, że może zaraz napakować Nathalie, jeśli ona, tak jak by to było zupełnie naturalne, uważa go za niezłego pakowacza. Nathalie uśmiechała się w milczeniu. Cztery czy pięć osób zgromadziło się wokół niego, chłonąc ten gejzer humoru.

Ładna kobieta znajdująca włoski odwróciła się do mnie i cicho powiedziała:

- Nieprawdopodobne, chyba zapłaciło mu za to biuro informacji turystycznej?

Nie znalazłem żadnej błyskotliwej odpowiedzi. Z tyłu za mną dwaj starsi uczestnicy stażu wpatrywali się w wizerunek zwierzęcia stojącego na skalistej grani. Zdaniem jednego z nich to była zwyczajna kozica, drugi twierdził, że to kozica pirenejska; ograniczona wiedza zoologiczna nie pozwalała im rozstrzygnąć sporu. Niski grubasek zajął jeden z trzech foteli i ze zmęczoną miną przeglądał jakieś pismo turystyczne.

Po pewnym czasie Nathalie zaklaskała, żeby zwrócić naszą uwagę.

- Teraz przejdziemy do stołu. Po kolacji, o wpół do dziewiątej, macie państwo spotkanie w sali konferencyjnej na pierwszym piętrze, od schodów na prawo, tam dostaniecie odpowiednie instrukcje. Życzę wszystkim smacznego.

Wysoki szczupły, z nadmiernie sterczącym jabłkiem Adama, szepnął:

- Założę się, że będzie fondue. W Alpach zawsze na początku podają fondue, żeby ludzie się zbratali.

Przegrał. Podano raclette.

Jadalnia była urządzona w tym samym stylu co inne pomieszczenia: ściany obite boazerią, masywne belki podpierające sufit; wielki kominek, na razie pusty, obwieszony dawnymi wiejskimi narzędziami, o trudnym do odgadnięcia przeznaczeniu. Cztery duże okrągłe stoły przykryte były ciężkimi czerwonymi obrusami.

Przy każdym stole sześć miejsc, czwarty stół bez nakrycia. Usiedliśmy na chybił trafił, Morin Południowiec pośrodku grupki, która otaczała go już przy barze.

Znalazłem się przy stole obok mężczyzny z nadmiernie wystającym jabłkiem Adama z tego prostego powodu, że wszedł do jadalni równocześnie ze mną. Gdy tylko usiadł, podał mi rękę i się przedstawił:

- Hirsch. William Hirsch. Branża informatyczna.

Miał bardzo niski i bardzo dźwięczny głos. Nie znam się raczej na anatomii, ale pomyślałem, że to chyba nie ma związku z rozmiarami jego jabłka Adama. Ja także się przedstawiłem.

- Carceville. Jérôme Carceville. Doradztwo w zarządzaniu.

- No to będzie mnie pan potrzebował - stwierdził Hirsch.

Naprzeciwno nas szczypty mężczyzna, nienagannie ubrany, jeden z nielicznych, którzy pozostali w garniturze i pod krawatem, uśmiechał się spod okularków bez oprawek.

- Zgadza się - powiedział. - Ale trzeba zacząć od zlikwidowania aberracji w informatyce.

Hirsch aż drgnął wobec takiej zaczepki.

- W informatyce nie ma aberracji. Wręcz przeciwnie, wszystko jest całkowicie zgodne z logiką. Aberracja polega na tym, że ludzie nie zawsze postępują logicznie, stąd biorą się wszelkie błędy.

- Tak, tak - kpił ciemny garnitur. - Wszyscy tak twierdzą. *Bug* nie istnieje, prawda? Windows to system stabilny i racjonalny. Kiedy nawala, na przykład dziesięć razy dziennie, to błąd użytkownika.

Hirsch, zbity z tropu, lekko poczerwieniał. Ciemny garnitur zwrócił się do swojego sąsiada, wysokiego osiłka o zaróżowionej twarzy.

- Nie chciałem urazić naszego przyjaciela. Informatycy to trochę tak jak mężowie: każdy wiesza psy na swojej żonie, ale nie pozwoli, żeby ktoś inny ją krytykował. Czyż nie?

Wysoki siłacz skinął głową, Hirsch odetchnął.

- To prawda, że czasami zdarzają się jakieś problemy - przyznał. - Nawet my nie zawsze je rozumiemy. Tylko że większość ludzi nie widzi ich tam, gdzie one naprawdę są. Nie skarżą się na to, że coś nie działa, narzekają na to, co działa, a czego nie potrafią uruchomić. Dziewięć razy na dziesięć po prostu sami coś partaczą.

Ciemny garnitur zaprzestał walki.

- No tak. Ale proszę mi nie mówić, że nigdy nie ma kłopotów z hardware'em.

- Hardware nie nastęcza trudności - zauważył Hirsch. - Jeśli kabel jest wadliwy, wymieniamy go i tyle. Jediną poważną trudność nastęcza brak standardu, bo wtedy części nie są kompatybilne i zachodzą niezgodności. To samo będzie, gdy zamontujemy część od peugeota do renaulta. Nie, słowo daję, prawdziwe kłopoty sprawia software, oprogramowanie. Tu mogą być *bugs*.

- Skąd się biorą, może pan wie, jako specjalista? - spytał nasz piąty towarzysz, nieduży mężczyzna o ponurym spojrzeniu.

Hirsch, zadowolony, że uznano go za specjalistę, zaczął długi wykład na temat zbyt dużej liczby linii, jakie zawierają programy. W tym czasie milczący kelner w niebieskim stroju stawiał na pomocniku mnóstwo wiktuałów: ser krojony w plastry, szynka, bekon, pancetta, korniszony i małe cebulki. Przy sąsiednim stole wybuchały śmiechy: Południowiec wszystko razem nabrał na tygielek, po czym wsunął do podgrzewacza.

- Myśli, że to McDonald! - zawołał ktoś.

Dalej śmiechy. Morin próbował jakoś wyciągnąć stos, który się zaklinował i zaczynał dymić. Napotkałem spojrzenie mężczyzny w ciemnym garniturze. Chyba przyszła mu do głowy ta sama myśl, co mnie: Morin dobrze przeszedł przez wstępne testy, nie był chyba takim głupkiem, jak chciał to pokazać - co za kanalia, kamuflował swoje zamiary nadmierną gadatliwością. Prawdopodobnie były

tu dwie kategorie ludzi: ci, którzy naprawdę chcieli zwyciężyć i zrozumieć, że walka już się rozpoczęła, oraz ci, którzy przybyli na egzamin poprawkowy, żeby spędzić przyjemnie czas, zanim zostaną definitywnie odrzuceni. Ani przez chwilę nie zapomniałem, jaki jest powód mojej obecności tutaj; dwie trzecie spośród nas wylecą przed upływem tygodnia. A ja koniecznie musiałem przetrwać.

Przeżuwając plastry sera, ukradkiem obserwowałem innych uczestników. Ciemny garnitur to niebezpieczny facet, tak jak i kobieta znająca włoski. Hirsch mi nie zagrażał; był może najlepszy w swojej kategorii, ale nie w mojej, nie mieliśmy więc żadnych sprzecznych interesów. Mały grubasek był zbyt chwiejny psychicznie, żeby to przetrwać, wielki czerwony za bardzo milczący, łatwo go zastraszyć. Grupa przy stole Morina nie budziła moich obaw: mieli ochotę się pośmiać, zabawić, w decydującej chwili zabraknie im tak niezbędnej koncentracji. Sam Morin zostanie oceniony w działaniu. Trzech dobrych, siedmiu złych, jeden niewyraźny: wszystko się zgadza. Pozostało jeszcze pięciu, mały ponury, który chyba nie ma możliwości zaistnienia, ale na pewno może przysporzyć kłopotów, i cztery osoby przy trzecim stole, niekompletnym: kobieta w kamizelce, druga kobieta nieco przygaszona i dwóch mężczyzn, którzy konsumowali bez słowa, jeden brodaty, drugi łysy. To stół pokonanych, cztery osoby i żadna nic nie mówi. W najlepszym razie z ich czwórki pozostanie tylko jedna.

Odwróciłem się w stronę garniturowca. On także obserwował mnie ukradkiem, po raz kolejny nasze spojrzenia się skrzyżowały. Miał oczy bez wyrazu, oczy zabójcy, czujne i puste.

- A pan jest z jakiej branży? - spytałem.

Wahał się przez sekundę.

- Mam wykształcenie prawnicze - odparł.

Tak, ja też ssałem smoczek, a potem poszedłem do szkoły. Nie takiej odpowiedzi oczekiwałem. Otworzyłem usta, żeby kontynuować przesłuchanie, ale uprzedził mnie Hirsch.

- Prawnik, co? Teraz rozumiem, dlaczego drażnią pana informatycy. Wy po prostu nie wiecie, co z nami robić.

Zamiast zaprotestować, garniturowiec nic nie odpowiedział. Hirsch dalej próbował drażnić, czym zdobywał przewagę.

- Wasze prawa nie uwzględniają tego, co my robimy. O wiele szybciej posuwamy się do przodu. Weźmy na przykład Internet. Nikt nie jest w stanie wprowadzić tu uregulowań prawnych: to sieć ogólnoswiatowa, a nie istnieje prawo ogólnoswiatowe. Kiedy zostaną wydane dwa postanowienia sądu, jedno w Ohio, a drugie w New Hampshire, proszę mi powiedzieć, jak pan je zastosuje w Karaczi...

Garniturowiec uśmiechnął się, czy może raczej lekko rozciągnął wąskie wargi.

- Dobrze pan zrozumiał. Jeden szczegół: ja nie ustanawiam prawa. Wręcz przeciwnie. Moja praca polega na obchodzeniu prawa. I z tego punktu widzenia informatyka naprawdę otwiera fascynujące perspektywy. Nie ma żadnych uregulowań, absolutna pustka prawna. Podobno natura tego nienawidzi, ale my uwielbiamy. Nam to dodaje skrzydeł, tym żyjemy.

- Powinien pan napisać książkę. *Pochwała pustki*, autorstwa... jak nazwisko? - wtrąciłem się.

Wyciągnął swoją szufelkę z podgrzewacza, starannie zeszkrobał ser i precyzyjnym ruchem przekroił na pół małą cebulkę. Podniósł głowę.

- Charriac. Emmanuel Charriac. *Pochwała pustki*... Ciekawe. Ale jeśli to jest aż tak puste, kto to przeczyta?

- A jakie to ma znaczenie? - odezwał się mały ponury. - Książka przeważnie zawiera tylko pewną

ideę, rozciągniętą do znudzenia. Wystarczy przeczytać artykuł omawiający, to tak jakby się przeczytało książkę. Dwieście następnych stron powinno tylko dowieść owej idei. Udowodnienie twierdzenia. Potem już nigdy tego nie potrzebujemy, zadowolamy się samym twierdzeniem.

- Gdyby zaliczył pan dogłębne studia matematyczne, po pierwsze, teoria interesowałaby pana bardziej niż wynik, po drugie, nie byłoby pana tutaj - stwierdził Charriac z miną żaby czatującej na komara.

Później zorientowałem się, że to typowy sposób rozumowania Charriaca. Myślał szybciej niż inni, nie odpowiadał więc na pytanie, ale od razu na zarzut, który rozmówca na pewno postawi po jego odpowiedzi. Wizualizował implikacje każdego zdania i dochodził do konkluzji bez uwzględnienia dialogu pośredniego. W takim razie liczą się tylko oni dwaj: on i brodacz przy czteroosobowym stole. Przysłuchiwanie się ich rozmowie było wyczerpujące.

- Ale przecież ja skończyłem dobrą uczelnię - zaprotestował ponury. - Nie politechnikę, nie państwową szkołę wyższą, ale renomowaną uczelnię.

- Ja też bardzo lubię prowincję - powiedział Charriac i zamilkł.

Normalny dialog zabrzmiałby tak:

- „Paryską uczelnię?”

- Nie, na prowincji.

- Jak wiadomo, główne wyższe uczelnie są w Paryżu, a szkoły tylko renomowane na prowincji.

Lubi pan prowincję?

- Tak, lubię.

- Ja też bardzo lubię prowincję”.

Z pięciu zdań Charriac przeskoczył cztery. Dzień później, aby załagodzić to, co mogłoby być niepokojące w tej jego bystrości, stwierdził, że przeraża go czas stracony na mielenie ozorem, po to by wypowiadać ogólnie oczekiwane i niepotrzebne kwestie.

Na deser podano po kawałku tortu czekoladowego z wiśniami i bitą śmietaną. Południowiec głośno wyraził zdumienie, że brak serów, wywołując znowu lekko tłumione śmiechy. Przy jego stole wszyscy doskonale się bawili, z wyjątkiem kobiety znającej włoski; właśnie zaczęli trzecią butelkę białego wina.

Potem wniesiono kawę i pojawiła się Nathalie. Nie jadła z nami kolacji. Nikt się temu nie dziwił: należała do personelu, a byliśmy przecież w hotelu, a nie na letnich koloniach. Nie przyszedł też nikt z kierownictwa De Wavre.

- Jest ósma dwadzieścia pięć - oświadczyła. - Zebranie o ósmej trzydzieści.

- Nastawcie zegarki - dodał Południowiec.

Poczułem w żołądku lekki skurcz niepokoju, jaki zwykle poprzedza ważne momenty.

Sala konferencyjna była podzielona ruchomą ścianką na dwie części. Z jednej strony dwadzieścia krzeseł, każde z pulpitem do pisania, jak w liceum, naprzeciw dwa spartańskie fotele, ergonomiczne siedziska, na których nie można usiąść, gdy nie ma się standardowych rozmiarów. W kącie tablica i niewielki stolik, na nim pojemnik pełen flamastrów. Całość wyglądała raczej, powiedzmy, skromnie, żeby nie użyć słowa „nędznie”. Zupełnie jak na sesji szkoleniowej dla upośledzonych w rozwoju.

Druga połowa sali, widoczna przez szpary w przepierzeniu, była chyba bardziej zbliżona do tego, czego się spodziewaliśmy: rzędy komputerów oddzielonych od siebie zielonymi roślinami i podręcznymi stolikami, w głębi wielki ekran wideo sto dwadzieścia cali, dwie kamery na stole, wszystkie gadzety nowoczesnego komunikowania. To chyba przewidziano na później.

Kiedy weszliśmy, siedzieli już tam dwaj nieznanymi nam mężczyźni. Jeden raczej wysoki, prawie łysy, ale zarosnięty gęstą brodą, tak jakby owłosienie z głowy zsunęło mu się na podbródek. Większą uwagę zwracał ten drugi. Jakieś pięćdziesiąt lat naznaczonych głębokimi zmarszczkami na twarzy wilka morskiego - poranej i ogorzałej. Zielone oczy i przesadnie białe zęby dopełniały obrazu filmowego amanta. Umięśniony, o silnych ramionach, płaskim brzuchu, należał do tego rodzaju osób, których sama obecność zmienia atmosferę. Siedząca w kącie Nathalie wydawała się niemal bezbarwna.

Przywitał się i przedstawił: Joseph Del Rieco, kierownik projektu w De Wavre.

- Jestem tutaj - wyjaśnił głębokim głosem adwokata - aby państwa przebadac ze wszystkich stron. Proszę się nie niepokoić, przeważnie wszystko dobrze się kończy. Ostatnia próba samobójcza: ponad sześć miesięcy temu.

Jego *opening joke* wywołał jedynie wymuszone półuśmieszki.

- Jutrzejczy dzień poświęcimy na testy - ciągnął. - Następnie przejdziemy do fazy symulacji. Trochę tak jak piloci samolotów: zanim wpuści się ich za stery jumbo jeta, który kosztuje pół miliarda i przewozi setki ludzi, sadza się ich w symulatorze lotów na ziemi i poddaje próbom w sytuacjach krytycznych. A potem mówi im się tak: ty będziesz pracował na linii transatlantycznej, ty dostaniesz myśliwiec, a ty awionetkę. I to jest dokładnie to samo, co my zrobimy tutaj. Stworzymy wam sytuację kryzysową i zobaczymy, jak zareagujecie. Później powiemy: ty możesz kierować Microsoftem, a ty najwyżej ciężarówką do przewozu pizzy. To równie wielka odpowiedzialność jak w lotnictwie. Ktoś nieodporny na nagły wstrząs także za sterami przedsiębiorstwa może wyrzucić miliardowe szkody i pozostawić za sobą tysiące trupów wśród pracowników i akcjonariuszy. Zobaczymy też, jaki jest wasz styl dowodzenia i jak zachowujecie się w zespole. W Japonii, zanim przyjmą ludzi do pracy, wysyłają ich na tydzień w wysokie góry. Aby zrozumieli, że zespół ludzi ubezpieczanych jedną liną wart jest tyle, ile jest wart jego najsłabszy element; że jeśli ktoś spadnie w przepaść, pociągnie za sobą wszystkich pozostałych, że zespół ludzi nie może iść do przodu szybciej niż najwolniej poruszający się uczestnik wyprawy. Tak wygląda nasz program. Nie mogę nic więcej powiedzieć, reszta to niespodzianka. Jakieś pytania?

Po wygłoszeniu krótkiej przemowy przez chwilę przyglądał się uważnie każdemu z nas po kolei. Nie tak jak prelegenci, którzy mają w zwyczaju patrzeć na każdego słuchacza, żeby nikogo nie pominąć, jednak tak, jakby już teraz starał się nas prześwietlić na wylot. Co ciekawe, jego twarz była zarazem przyjazna i stanowcza, niemal agresywna. To chyba bezwzględny facet. Mówił dalej, już łagodniejszym tonem:

- Wszystko będzie się wydawało grą. Ale, jak wiecie, to nie tylko gra. Istnieją gry bardzo poważne. Ta właśnie taka jest. Wiecie też, co możemy dla was zrobić, jeśli wygracie. Lecz proszę się nie niepokoić, gdy przegracie, nic wam się nie stanie. Będziecie mieli za sobą tygodniowy pobyt w uroczym miejscu, z sympatycznymi ludźmi, i tyle.

Przy ostatnim zdaniu uśmiechnął się ironicznie. Potem niedbałym ruchem ręki wskazał brodacza, który - jak się zdawało - drzemiał z tyłu, za jego plecami.

- Jean-Claude, mój asystent. Umie uruchomić wszystko to, czego ja uruchomić nie umiem: komputery, wideo, mikrofony, gadżety, które nigdy nie chcą działać bez zarzutu. A kiedy coś nie chce działać, to na pewno jego wina. To bardzo wygodne, bo nigdy nie mam sobie nic do zarzucenia. No ale na serio, jest bardzo dobry. Jeśli napotkacie jakiś problem techniczny, zwróćcie się do niego. Jednak tylko techniczny. Niczego innego nie wie. Poznaliście już Nathalie. Nie szukajcie u niej

pocieszenia, nie zatrudniliśmy jej jako sanitariuszki. Nie próbujcie też opowiadać swojego życia, to jej nie interesuje. Codziennie zaczynamy o dziewiątej rano, a kończymy o... kończymy, kiedy skończymy. Jeśli macie jakieś potrzeby osobiste, chcecie leki czy skarpetki na zmianę, musicie powiedzieć o tym dwadzieścia cztery godziny wcześniej, pojedziemy kupić. Na wasz koszt. Są pytania?

Nathalie zakasłała, zanim się odezwała. Po barytonie Del Rieco jej głos nagle wydał się cieniutki.

- Śniadanie od siódmej do wpół do dziewiątej, w restauracji. Nie podajemy do pokoi. Obiad od wpół do pierwszej do pierwszej, kolacja od wpół do ósmej do ósmej. Może się zdarzyć, że zechcecie ominąć jakiś posiłek. Wtedy trzeba godzinę wcześniej zamówić kanapki. Zawsze proszę się zwracać do mnie. Reszta personelu nie jest upoważniona do rozmów. W podziemiu jest siłownia, telewizja w salonie. Nie przypuszczam, żebyście mieli czas na kąpiel, ale jeśli tak, proszę uważać, woda w jeziorze jest lodowata. Tylko pan Del Rieco dokonał tego wyczynu.

Del Rieco zademonstrował śnieżnobiałe zęby.

- Ach tak, wtedy gdy dostałem zapalenia płuc - zażartował.

Pani w kamizelce nieśmiało uniosła palec.

- A jeśli ktoś zachoruje, co wtedy?

Del Rieco znowu przybrał poważny ton.

- W zasadzie nie powinno się to zdarzyć, wszyscy przeszliście wymagane badania. Jeśli to katar lub skręcona kostka, mamy wszystko, co potrzeba. Nathalie była pielęgniarką. Jeśli zawał, sprawa jest dużo poważniejsza. Pogotowie potrzebuje około dwóch godzin na przysłanie helikoptera. Gdyby jednak chory za bardzo cierpiał, zastanowimy się, czy go nie dobić. Jak dotąd nigdy nie mieliśmy takiego problemu. Natomiast czasem ludzie nie wytrzymują albo po prostu rezygnują. Spokojniutko ich ewakuujemy i jeszcze tego samego wieczoru są w domu. Ale to rzadkie przypadki. Zatuszowanie luki we wcześniejszych testach, przeprowadzanych w firmie.

Mężczyzna z jabłkiem Adama podniósł rękę.

- Czy prowadzicie jakieś statystyki? Dotyczące tutejszych wyników? Żebyśmy mieli pojęcie...

Del Rieco zmrużył oczy. Nie odwracając się, dał znak swojemu asystentowi.

- Jean-Claude, statystyka. Wie pan, to nie ma wielkiego znaczenia. Każda grupa jest inna. Bywa, że prawie nikt nie zostaje, a czasem zostają prawie wszyscy. Proporcje nieobowiązujące. Powiem tak z pamięci: w pierwszych dniach mamy pracę dla niemal jednej trzeciej osób, jedna trzecia figuruje w naszych kartotekach na wypadek, gdyby gospodarka potrzebowała wszystkich, a jedna trzecia zostaje wyeliminowana. To mniej więcej bilans roczny. Ale każda sesja ma swoją własną dynamikę, mniej lub bardziej elastyczną.

- Zgadza się - potwierdził Jean-Claude, przeglądając kilka wydruków z komputera.

- A więc, na koniec zadośćuczynimy zwyczajowi. Poproszę, żeby się państwo przedstawili. Oczywiście wszyscy wiemy, że nie da się zapamiętać piętnastu nazwisk, nie, szesnastu, i że ta ceremonia jest niepotrzebna. Jednak w każdej głowie zostaną dwa lub trzy nazwiska, które później wyłonią się z pamięci, co może okazać się przydatne. Spokojnie: to nie jest test.

Mały grubasek wyjął z kieszeni organizer. Del Rieco zmarszczył brwi.

- Nie, nie, niczego nie zapisujemy. Powiedziałem, że to nie jest test.

Okrągłutki nie ustępował.

- Jeśli to nie test, nie ma protokołu, można robić, co się chce. Pan mi tylko trochę komplikuje

sprawę: wszystko zapamiętam i po wyjściu stąd zapiszę na mojej maszynie.

Spojrzenie Del Rieco stwardniało. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że ten typek specjalnie go sprowokował. Zanim Del Rieco nas przetestował, buntownik postanowił przetestować jego. Takie rzeczy zdarzają się przeważnie pierwszego dnia szkoły; byliśmy ciekawi, jak się z tego wywinie.

- Dobrze - powiedział. - Zwykle analizuję wszystko, co się tu dzieje, zatem i teraz przeprowadzę analizę. Wydaję polecenie, a ten pan oświadcza, że się nie zastosuje. Dlaczego? Bo chce zobaczyć, czy ustąpię, i przekonać się, kto tu jest szefem. No więc tak: zrobi pan, co zechce, ale w pewnych ramach, które ja określam. Jeśli te ramy się panu nie podobają, odpływa pan łodzią. Nie muszę się tłumaczyć ani wyjaśniać, dlaczego robię to, a nie tamto. Tutaj nie ma demokracji przedstawicielskiej. To nie jest test, jak powiedziałem. Ale pan chciał próby sił i właśnie ją mamy. Schowa pan notes i jeśli chce pan wysłuchać tego, co zostanie powiedziane, a potem zapisać, to pańska sprawa. Ale jeśli mówię: nie notować, to znaczy nie notować. Czy dość jasno się wyraziłem?

Mały grubasek rzucił mu nienawistne spojrzenie i schował organizer. Zamiast zyskać jeden punkt, stracił go. Nie wykazał sprytu; żeby jeszcze pogorszyć swoją pozycję, wybełkotał kilka słów przeprosin:

- Przykro mi, nie chciałem robić takiego zamętu, wydało mi się to po prostu bardziej praktyczne, i tyle.

Del Rieco przyjął jego kapitulację i się rozchmurzył.

- To jest praktyczne, ma pan rację. Ale nie o to mi chodziło. Na razie wszyscy jesteście równi, nikt nie wykracza poza linię startu, starter jeszcze nie wyciągnął pistoletu. Zapomnijmy o tym, i już.

Tak jak przewidywał Del Rieco, nie zapamiętałem nawet połowy nazwisk. Próbowałem systemowo kojarzyć każde z jakąś zewnętrzną cechą charakterystyczną: Hirsch i jabłko Adama, Morin i akcent marsylski, Charriac i okulary bez oprawek. Mały ponury nazywał się Pinetti, a ładna kobieta znająca włoski - Laurence Carre. Wysoki czerwony nosił nazwisko, które tak jak u Charriaca zaczynało się na Cha: Chamont, Chavet, Cha... coś takiego, a brodac - brzmiące z arabska. Mały grubasek, który szukał zwady, nazywał się Aime Leroy, a pani w kamizelce mówiła tak cicho, że nikt nic nie zrozumiał.

Każdy miał jakąś specjalność. Hirsch powtarzał, że jest informatykiem, Charriac prawnikiem, Morin to handlowiec, Pinetti doradca finansowy, a Laurence Carre była dyrektorem zasobów ludzkich, a później dyrektorem w branży komunikacji społecznej. Natomiast Aime Leroy, ciągle jeszcze obrażony za otrzymaną burę, przedstawił się jako kierownik, nie podając dodatkowych szczegółów. No i jeszcze szefowa kancelarii, inżynier (jaki? tajemnica), kierownik szkolenia i inne ciekawostki zoologiczne. Jak widać, nie było dwóch takich samych zawodów, za to pełen wachlarz rozmaitych profesji. W De Wavre chyba specjalnie tak wykalkulowali - żeby nie dopuścić do bezpośredniej rywalizacji.

Tylko dwie osoby nie wyjawily swojego wieku. Oczywiście dwie najstarsze. Zbliżały się do pięćdziesiątki lub ją przekroczyły, dobrze wiedziały, że w dzisiejszym środowisku ekonomistów to element wykluczający (z wyjątkiem stanowiska kierowniczego: nic nie stoi na przeszkodzie, by dyrektor miał nawet osiemdziesiąt lat, byleby jego współpracownicy mieli mniej niż połowę, a sekretarki zaledwie jedną czwartą).

Niektórzy robili aluzje do miejsca zamieszkania (w większości paryżanie). Inni się tego wystrzegali. W obecnej dobie konieczna jest mobilność, opowiadanie o lokalnych korzeniach mogłoby stanowić zaprzeczenie uczestnictwa w mondializacji. Morin wybrnął z tego, wygłaszając

krótki speech, który chyba często sobie powtarzał:

- Ja mieszkam w Marsylii. Gdybym powiedział Rennes czy Strasburg, nikt by nie uwierzył. Nie mam telewizyjnej wymowy, ale używam tych samych słów, co wy, prawie tych samych, i pokażę wam, że jestem równie dobry.

Pięć czy sześć osób oświadczyło, że żyją w związku małżeńskim i mają dzieci, co zawsze uspokaja pracodawców. Reszta nic nie mówiła, nawet ci, którzy nosili na palcu obrączki. Wysoki, chudy, bardzo ciemny młodzieniec zapewnił z dumą, że został dopuszczony do igrzysk olimpijskich; nikt nie zapytał, w jakiej dyscyplinie.

Przegląd siedzących przy stole dał mi wiele do myślenia. Przeważnie w tego rodzaju ćwiczeniach ten, kto pierwszy zabiera głos, nadaje ton. Pozostali poprzestają na podchwyceniu tematu, dodając tylko oryginalny szczegółik osobisty. Tutaj wszyscy pilnowali wszystkich. Nikt nie chciał się wyróżnić, każdy starał się mówić jak najmniej. Nikt nie zadawał pytań, Del Rieco ani razu nie interweniował. Inna sprawa, że musiał mieć wszystkie nasze dane i na pewno wiedział o każdym z nas więcej, niż sobie wyobrażaliśmy. Nie zabierał już głosu, zamknął zebranie bez komentarza.

Jeszcze nie było dziesiątej, nikomu nie chciało się spać. Morin znalazł trzech partnerów do gry w karty, Hirsch usiadł przy barze i dyskutował o informatyce z człowiekiem o arabskim nazwisku, Pinetti włączył telewizor. Wyszedłem przed budynek pooddychać świeżym powietrzem.

Laurence Carre siedziała na dużym kamieniu i paliła papierosa, patrząc na jezioro. Nad powierzchnią unosiła się nieprzyjemna mgiełka. Podeszedłem bliżej.

- Wygląda pani jak Lamartine w trakcie pisania *Jeziora*. Nie odwracając się, odparła:

- To nie to jezioro. A Lamartine, mimo nazwiska, był mężczyzną.

Usiadłem obok niej, na ziemi.

- La Martine. Nigdy o tym nie pomyślałem. Myśli pani, że był gejem?

Nie odpowiedziała na tę trochę głupią uwagę. Popatrzyła w niebo, rozjaśnione zimnym blaskiem gwiazd.

- To z powodu zanieczyszczenia powietrza.

W końcu spojrzała na mnie. W półmroku dostrzegłem tylko jej gładki policzek i zarys ramienia.

- Co z powodu zanieczyszczenia?

Jej głos był tak chłodny jak powietrze wokół nas. Najwyraźniej przeszkodziłem jej w medytacji.

- Chodzi o gwiazdy. O wiele lepiej je tu widać, bo nie ma zanieczyszczenia.

Odwróciła się, zmęczona.

- Nieprawda. To z powodu świateł. W Paryżu i w dużych miastach jest za dużo świateł. Kilka lat temu przeleciała kometa. W mieście była niewidoczna. Należało pojechać na wieś, tam gdzie panują prawdziwe ciemności. Jeśli zapalić światło, znika.

Odruchowo podniosłem płaski kamyk, wstałem i rzuciłem go na powierzchnię wody. Sądząc po odgłosie, odbił się jeden raz i zatonął.

- To trochę tak jak z nami, prawda? Będziemy się wzajemnie oświeślać, aż niektórzy znikną.

Nie odpowiadała, więc wróciłem do hotelu. Może myślała, że ją podrywam. Nie miałem głowy do takich rzeczy.

Poszedłem do pokoju, przeczytałem kilka stron powieści kryminalnej i zgasilem światło. Pod kołdrą było ciepło, leniwie się przeciągnąłem. Odczuwałem coś w rodzaju obawy i zarazem ekscytacji - zwykle nazywa się to tremą. Przeważała jednak ekscytacja, więc nie od razu zasnąłem.

Następnego dnia zszedłem na dół przed ósmą rano. Mimo to byłem jednym z ostatnich. Jadalnia

wyglądała jak salon fryzjerski: wszyscy mieli jeszcze wilgotne włosy po prysznicu, mężczyźni byli starannie ogoleni, roztaczali zbyt intensywną woń dezodorantu i płynu po goleniu. Te rozmaite zapachy mieszały się z zapachem ciepłych rogalików i kawy, tworząc przedziwne, miłe połączenie, świadczące o porannym dynamizmie, higienie, zdrowiu i energii. Laurence Carre przybrała bojowy wygląd: usta trochę za czerwone, rzęsy troszeczkę zbyt czarne.

Ludzie kolejno zajmowali pozostałe jeszcze wolne miejsca. Znalazłem się między dwoma mężczyznami, których nazwisk nie zapamiętałem. Oni byli przekonani, że już się gdzieś spotkali. Pracowali w jednym przedsiębiorstwie naftowym, ale w innych działach, usiłowali przypomnieć sobie, gdzie mogli się spotkać. Wyglądali na zachwyconych i zdumionych takim zbiegiem okoliczności. Nie było w tym jednak nic dziwnego: poszczególne środowiska społeczne są dość wąskie, więc gdy zbierze się przypadkowo szesnaście osób, co najmniej dwie musiały wcześniej mieć ze sobą jakiś kontakt. W końcu, porównując daty, doszli do wniosku, że wspólnego pracodawcę mieli jedynie przez sześć miesięcy.

Po śniadaniu nastąpiła krótka przerwa. Nie było jeszcze dziewiątej. Palacze wyszli przed dom, by oddawać się swojemu nałogowi, inni przepychali się, chcąc rzucić okiem na lokalny dziennik lub zatelefonować do rodziny. Charriac otworzył laptop i przeglądał pocztę internetową. Przechodząc, rzuciłem:

- Nie jestem pewien, czy to dozwolone... Ledwo uniósł głowę.
- Wszystko, co nie jest zabronione przez prawo, jest dozwolone. Tak stoi w konstytucji.

Nie pozostawiłem mu ostatniego słowa.

- Ale wczoraj powiedziano, że tu nie ma demokracji.

Upierał się przy swoim.

- No to wstępuję do partyzantki.

Odpuściłem.

Przedpołudnie było pracowite. Testy, testy i jeszcze raz testy, mnóstwo stron do wypełnienia; siedzieliśmy przy uczniowskich stolikach, każdy pracował na własny rachunek. Pytania były bardzo różnorodne. Tu i ówdzie dostrzegaliśmy strzępki testów osobowościowych, których pułapki już poznaliśmy. Ale przeważnie chodziło o studium przypadku. Co zrobić w takiej czy takiej sytuacji? Czy powinno się zwolnić skutecznego, lecz nieuczciwego księgowego, czy tylko udzielić mu napomnienia? (Zwolnić; gdy pozostanie bezkarny, dalej będzie robił swoje). Czy wnosić skargę, gdy pojawiają się nieuczciwości, nawet jeśli wizerunek firmy może na tym ucierpieć? (Tak; wcześniej czy później sprawa wyjdzie na jaw i wtedy zarzucą ci brak reakcji). Jak rozładować ostre napięcie między kierownikiem rasistą a pracownikiem pochodzącym z Afryki? (Odprawić obu; w razie konfliktu nigdy nikomu nie przyznawać racji, to przedsiębiorstwo, a nie sąd). Po trzech pierwszych stronach zwolniłem dziesięć osób. Ironia czy sadyzm: oni pytają nas, czy słusznie postępują, odrzucając nasze usługi. My jednak, już z góry, byliśmy po drugiej stronie bariery, a przy zmianie pozycji zmienia się punkt widzenia.

Inne przedstawione dylematy były tego samego kalibru. Niektóre poruszały kwestie życia prywatnego i w ogóle moralności, ale większość dotyczyła problemów, jakie rzeczywiście występują w firmach. Mogliśmy odpowiedzieć tak lub nie albo szerzej wyjaśnić swój wybór. Pytania nie były zbyt trudne. Trzeba tylko patrzeć dalej niż czubek własnego nosa i rozpatrywać następstwa dalekowzrocznie, a nie impulsywnie załatwiać sprawę w sposób doraźny. Bardzo sprytnie nie włączyli w to żadnej kwestii dotyczącej związków zawodowych czy partii politycznych z obawy

przed gromami ze strony komisji do spraw ochrony danych informatycznych lub też ze strachu, że ktoś niezadowolony mógłby przekazać dokument prasie. Natomiast postawiono kilka pozornie nieszkodliwych pytań odnośnie do polityki gospodarczej państwa. Silna moneta czy słaba, na przykład. (Słaba; tylko banki są zainteresowane silną monetą, a ja nie miałem ochoty pracować w sektorze bankowym). Albo trzydzieści pięć godzin: powinno się protestować, chyba że ktoś chce zostać etatowym pracownikiem związkowym lub ministrem. Zresztą ten punkt nie dotyczył nas, kadr kierowniczych.

Siedzący wokół mnie konkurenci nie ociągali się z odpowiedzią. Nikt nie patrzył w okno, jak to zwykle bywa podczas egzaminów. Chcieli sprawić wrażenie, że wszystko jest bardzo łatwe i że natychmiast znajdują rozwiązania. A przecież sesja nie była mierzona stoperem i nawet Del Rieco na samym początku opuścił salę, pozostawiając nas pod nieszkodliwym nadzorem swojego asystenta: nikt nie miał interesu w przepisywaniu od sąsiada.

Dostaliśmy też jeden test w kolorze, którego sensu nie zrozumiałem. I wreszcie ostatnia strona, czysta, zachęcała, byśmy w dowolny sposób wyjaśnili nasz punkt widzenia. Napisałem, że niełatwo znaleźć ogólną odpowiedź, gdy każdy przypadek ma swoją specyfikę, i że chociaż dobrze jest mieć pewne zasady, poszczególne dane mogą posłużyć za pretekst do ich naruszenia.

W południe niejaki Jean-Claude zebrał nasze prace. W barze, gdzie nikt nie pił alkoholu, Morin zaczął zawzięcie dyskutować z Aime Leroy, małym grubaskiem, o rasizmie. W jego firmie, jak mówił, osiemdziesiąt procent robotników to ludzie pochodzący z krajów Maghrebu. Gdyby szef był rasistą, należałoby go zwolnić albo spodziewać się strajku generalnego. Leroy się nie zgadzał. Według niego jeden Francuz na trzech uważa się za rasistę, więc lepiej przekonywać niż atakować. Morin odpowiedział, że nie sposób przekonać rasistę, tak jak nie da się z jełopa uczynić inteligenta. Nikt inny nie był na tyle nieostrożny, by mieszać się w ten spór.

Tak jak po wyjściu z egzaminu maturalnego każdy starał się dowiedzieć, co myślą inni. Wysoki czerwony (wiadomo już, że nazywa się Chalamont) oświadczył sentencjonalnie, że było kilka zdecydowanie niedobrych odpowiedzi, ale ani jednej naprawdę dobrej, bo w każdym przypadku chodziło o sytuacje, w których na interwencję jest za późno.

- Uważam, że pytanie o rozwód było zbyt osobiste - odezwała się pani w kamizelce.

Wywnioskowaliśmy więc, że jest rozwódką.

- Albo te kolory - powiedział Hirsch. - Chcą wiedzieć, czy jesteśmy daltonistami, czy jak?

- Nie, nie, to rzecz o wiele bardziej finezyjna - odparł Pinetti. - Niektórzy leczą kolorami.

Choruje pan na anginę, pokażą panu kolor niebieski i wraca pan do zdrowia.

- To rzeczywiście działa? - spytał Hirsch.

Pinetti się zaśmiał.

- Nie, oczywiście, że nie.

- Chyba że się w to wierzy - wtrącił brodac. - Wychodząc z założenia, że przynajmniej jedna trzecia chorób ma podłoże psychosomatyczne, jeśli pan uwierzy, wszystko może pana wyleczyć: napar z ziół, Lourdes, więc dlaczego nie kolor?

- Tak, ale to są praktyki szarlatańskie - oburzył się Hirsch.

- A astrologia? - zapytał Pinetti. - Kilka lat temu mieliśmy do dyspozycji wszystko, grafologię, przejście Księżycy w czwarty znak zodiaku, wszystko. Przychodził pan z dyplomem Massachusetts Institute of Technology, a mówili panu, że Jowisz ma na pana zły wpływ.

Hirsch odwrócił się do Laurence Carre.

- Naprawdę? Nie mogę wprost uwierzyć! Pani z tego korzystała, będąc na kierowniczym stanowisku?

Odpowiedziała krótkim „nie”, nawet na niego nie spojrzała. Nathalie zakończyła tę dyskusję, informując, że czas na obiad.

Popołudnie okazało się o wiele bardziej interesujące. Tym razem Del Rieco osobiście poprowadził zebranie.

- Pobawimy się troszkę, tak dla odprężenia. Oto pierwsza z gier. Jesteście rzecznikami spółki budowlanej i dowiadujecie się, że na budowie doszło do wypadku. Zawaliło się jedno piętro, są ofiary, nie wiecie ile. W dziesięć minut napiszecie komunikat, potem go nam przeczytacie. Oczywiście każde z was mogłoby zasugerować się tym, co powiedzą przedmówcy, więc oddacie mi wszystkie komunikaty, a potem przeczytacie je dokładnie, słowo w słowo. Dziesięć minut. Zauważcie, że zwykle tyle czasu dzieli wiadomość o wypadku od pierwszych telefonów dziennikarzy. Aha, jeszcze jedno, jako przedstawiciel prasy będę mógł zadawać pytania. Ale wy nie. Okej?

Aime Leroy podniósł rękę.

- Ja tego nie umiem, to nie moja działka. Osoby, które już to robiły, będą w lepszej sytuacji. Gdybym ja był szefem przedsiębiorstwa, miałbym do tego odpowiedniego człowieka i zdałbym się na niego.

- Zgoda, ale wie pan, człowiek, którego pan zatrudnia do takich rzeczy, właśnie wyjechał na urlop, a budynek nie uprzedził go, że się zawali. Jest pan sam na budowie, a dzwonią dziennikarze. Zwykle tak to się odbywa. Może pan im powiedzieć, że nikt nie ma prawa udzielać informacji, to jedna z możliwości. Sam pan decyduje. Spokojnie, będą też inne zabawy, bardziej panu pasujące, w ostatecznym rozrachunku nikt nie ucierpi.

Leroy wymruczał coś niezrozumiałego i usiadł, nadąsany.

- Stop, dziesięć minut - rzucił Del Rieco.

Kiedy czas upłynął, Del Rieco ułożył nasze komunikaty na swoim stole i poprosił panią w kamizelce o przeczytanie tego, co napisała. To była katastrofa. Inni też nie okazali się lepsi. Aime Leroy, ciągle niezadowolony, sucho oświadczył, że trzeba poczekać na ekspertyzę i na razie niczego więcej nie wie. Hirsch coś bredził, uśmiechając się, jak sądził, uspokajająco, a wyglądał przy tym na lekko upośledzonego. Morin wykazał się otwartością, poniosło go jednak i przekroczył zakres tematu, co oschle zarzucił mu Del Rieco.

Laurence Carre okazała się skuteczna. Występowała tuż po Pinettim - nie patrzył nam w oczy, a jego niepozorny wygląd przekonał nas w końcu, że w rzeczywistości są setki ofiar i że jego przedsiębiorstwo ma wiele do ukrycia. Ona natomiast opisała sytuację autorytatywnym tonem, ograniczając się do niezbitych faktów. Po raz pierwszy Del Rieco się wtrącił. Innych pozostawił samym sobie, jednak ją postanowił mile polechtać.

- Ile dokładnie jest ofiar?

- Jeszcze tego nie wiemy - odparła.

- Jeszcze pani nie wie czy nie chce powiedzieć?

Odwróciła się do Del Rieco, włączając się w grę.

- Proszę pana, jest pan dziennikarzem, profesjonalistą tak jak ja. Wie pan, co się dzieje, kiedy wydarzy się tego rodzaju tragedia. Niekiedy mija wiele dni, zanim ustali się definitywny bilans. Przekazuję wszystkie informacje, jakimi dysponuję, nie mogę podać tych, których nie mam.

- Ale dwie czy dwadzieścia? - nalegał Del Rieco.

- Dwie czy dwadzieścia to i tak za dużo. Proszę pozwolić pomyśleć o tych, którzy znajdują się jeszcze pod gruzami i których staramy się wydobyć. Na nich w tej chwili się koncentruję. Mam nadzieję, że wydobędziemy ich żywych.

- Oj - zaprotestował Aime Leroy. - Ona wykracza poza temat. Del Rieco uśmiechnął się rozbawiony. Gestem poprosił Laurence Carre o opuszczenie podium.

Przyszła kolej na Charriaca. On także był pewien siebie, od razu znalazł odpowiedni ton, pozwalając, by jego wypowiedź zdradzała powstrzymywane emocje.

- Co do odpowiedzialności, oczywiście ustali to śledztwo. Jeśli nasza firma jest w to uwikłana, nie wykręci się; wyciągniemy z tego konsekwencje. Na razie niczego nie ustalono, mamy jedynie sprzeczne hipotezy. Ale obiecuję wam - położył duży nacisk na to słowo - że dowiecie się wszystkiego. Jesteśmy to winni prasie, a zwłaszcza rodzinom ofiar. Ta tragedia porusza nas wszystkich. Pragniemy prawdy, bo chcemy spać spokojnie.

- Ale sen waszych ofiar to sen wieczny - przerwał Del Rieco. Charriac przeszył go wzrokiem pełnym pogardy.

- Zazdroszczę, że ma pan nastrój do gierek słownych. Ja jestem przybity, utraciłem wszelkie poczucie humoru. I to na długo.

W głębokiej ciszy wrócił na miejsce. Był tak dobry, że wszyscy mieliśmy wrażenie, że katastrofa rzeczywiście się wydarzyła, że naprawdę ci nieszczęśni robotnicy zostali przygnieci betonowymi blokami.

Ja byłem ostatni. Nie ułatwił mi zadania. Del Rieco podał mi mój tekst, a ja nagle postanowiłem się go nie trzymać, dołączając do buntowników.

Wszystko zostało już powiedziane, wszystkie rejestry wypróbowane. Pozostając w tym samym klimacie, nie osiągnąłbym wiele więcej. Bez namysłu zacząłem improwizować:

- O godzinie 15.23 na budowie należącej do naszej korporacji wydarzył się wypadek. Natychmiast zawiadomiono policję, która zaplanowała akcję ratunkową. Nasze przedsiębiorstwo zostało zawiadomione o 15.44, zrobił to majster, którego nazwisko i inne dane państwu udostępnię. Powiedział nam, że zawaliło się piętro i są ofiary. Był bardzo poruszony, nie wspominał nic o przyczynach wypadku. To jedyny bezpośredni kontakt, jaki mieliśmy. Według naszego wykazu na budowie pracowało szesnastu robotników. Nie wszyscy na tym samym piętrze, ale sądzimy, że wielu z nich mogło się znaleźć wśród ofiar. Nie ma powodu przypuszczać, że osoby niezwiązane z firmą mogły się znaleźć na budowie, bo wstęp jest wzbroniony. W chwili, gdy do państwa mówię, nie wiemy nic ponadto. Strażacy i sanitariusze już tam pracują, ja natychmiast się do nich udaję. Prefektura policji udostępniła salę dla przedstawicieli prasy. Spotkam się tam z wami około godziny 17.00, tak abyście zdążyli na wieczorne wydanie. Wtedy dostarczę dokładniejszych i pewniejszych informacji. Dziękuję państwu.

Nie patrząc na Del Rieco, zakończyłem i wróciłem na miejsce. Siedzący obok mnie Hirsch zrobił do mnie minę pełną aprobaty.

- Bardzo profesjonalne - szepnął.

Del Rieco rzucił w moją stronę przeciągłe spojrzenie pozbawione wyrazu. Musiał być wściekły, ale nie chciał prowokować nowego incydentu.

Uzupełnił swoje notatki, wstał i splótł palce przed sobą jak wykładowca, kołysząc się lekko.

- Gdybyśmy byli na sesji szkoleniowej, miałbym pewne uwagi. Ale nie jesteśmy tu po to, by się

doskonalić, chociaż niektórym i to by się przydało. Teraz już na to za późno. Z jednym wyjątkiem włączyliście się do gry...

- Jakim wyjątkiem? - Aime Leroy poderwał się z krzesła. - Może ja?

- Nie, nie pan. Proszę mi pozwolić prowadzić ten staż zgodnie z moim zamysłem i nie przerywać.

Przejdziemy do czegoś innego. Tym razem chodzi o rozmowy kwalifikujące do pracy...

- Już to znamy - szepnął do mnie Hirsch. - Specjaliści.

- ...w których będziecie grać rolę osoby na kierowniczym stanowisku w dziale zasobów ludzkich.

Będziecie...

Jak zwykle Leroy zaczął protestować:

- Jest tu osoba, która była dyrektorem do spraw komunikacji, a także kierownikiem działu zasobów ludzkich. Wszystkie wasze skecze będą skierowane do niej. Wystarczy uznać ją za osobę wybitną i zrobić coś, co nas interesuje!

- Czy to się odnosi do mnie? - spytała Laurence Carre.

Jej głos zmroziłby nawet wampira. Nigdy nie widziałem jej uśmiechniętej, z jednym wyjątkiem: gdy rozmawiała z Włochem na pomoście. Leroy nie ustępował.

- Tak, do pani. Dlaczego pani pyta, czyżby było takich więcej?

- A co pan myśli? Że jestem kuzynką tego pana? A może jego kochanką? Że to wszystko zaaranżował dla mnie? Gdyby tak było, bardzo by mi to schlebiało, ale widzi pan...

Del Rieco uderzył w stół.

- Dosyć! Panie Leroy, proszę zrobić mi przyjemność i poczekać do końca stażu. Jeśli coś się panu nie podoba, może pan zawsze napisać do De Wavre International, poinformować ich, że dałem dowód oburzającej stronniczości. Jak pan zauważył, jest tu po trochu wszystkiego. To czysty przypadek, że jedna z osób wykazuje się cechami, które już pierwszego dnia ją wyróżniają. Przynajmniej w teorii. To tak jak w Tour de France: są szosowcy i górale. Na etapach nizinnych wygrywają szosowcy. W górach przekonamy się, co pan ma nam do pokazania, jeśli będzie pan do tego zdolny i jeśli pan dotrwa.

Leroy wykrzywił się i zamilkł. Laurence Carre ze wzgardą uniosła podbródek.

Rozmowy kwalifikujące były niejednakowo zabawne. Del Rieco dawał każdemu kandydatowi fikcyjny życiorys i obserwował, czy ten, kto odgrywa dyrektora, wynajduje pułapki. Niektórzy chętnie włączyli się w grę, inni wysilali się, chcąc przedłożyć rozmówcy problem nie do rozwiązania: tor przeszkód, wymieniane w przelocie ułomności nie do pokonania. Morin wymyślił oszałamiający numer Południowca jękały, ale światowego eksperta od metali szlachetnych, co wywołało głośnie śmiechy. Pod koniec każdej rozmowy dyrektor sporządzał krótką notatkę, potwierdzającą lub nie przyjęcie do pracy. Mnie przypadł człowiek o arabskim brzmieniu nazwiska, El Fatawi, czy coś w tym rodzaju; postanowiłem zwerbować go do pracy jako szefa ochrony, pod warunkiem że natychmiast dostarczy swój rejestr karny - szybko zrozumiałem, że tutaj tkwił *bug*. Potem rozmawiałem z Chalamontem, proponując moją kandydaturę na stanowisko szefa szkolenia. Nieszczęśnik nie zadawał odpowiednich pytań, więc nie dowiedział się, że zostałem wyrzucony z prywatnego szkolnictwa z powodu podejrzenia o molestowanie seksualne - przyjął mnie do pracy.

Pod wieczór musieliśmy bronić naszych rozmaitych opinii podczas kolejnych obrad przy okrągłym stole. Pierwsze na temat dopingu w sporcie, drugie na temat zalegalizowania konopi indyjskich i trzecie - losu nieletnich przestępców. Ćwiczenia takie przypominały ustny egzamin do ENA, kiedy trzeba przez dziesięć minut rozprawiać na dowolny, zupełnie nieznaną temat, robiąc

wszystko, by ukryć swoją niekompetencję. Tak często uczestniczyłem w dyrektorskich zebraniach, że tego rodzaju ćwiczenie nie sprawia mi najmniejszej trudności: Zauważyłem, że po raz kolejny nie zestawiono mnie ani z Charriakiem, ani z Laurence Carre. Najwyraźniej zastosowali tu system eliminacji - najlepsi nie byli dopuszczani do konfrontacji bezpośredniej. W każdym razie taki nieskromny wniosek wyciągnąłem z tego dnia.

Przy kolacji zajęliśmy prawie te same miejsca, co poprzedniego wieczoru. Zawsze fascynowała mnie kwestia przyzwyczajzeń, jak szybko się tworzą? Każdy miał już wyznaczone swoje miejsce, wkrótce także kółko do serwetki. Były tylko dwie czy trzy zmiany: Laurence Carre, którą najwidoczniej znużył show Morina, dosiadła się do naszego stołu, a Chalamont dołączył do grupy czteroosobowej. Zaczynały się zarysowywać pewne powiązania: Morin i jego przypoehlebna publika, jedyny stół w komplecie, dalej pięciu wybrakowanych i nasze kółko: Carre, Charriac, Hirsch, Pinetti i ja. Klub Morina nie był tak bardzo hałaśliwy jak poprzedniego wieczoru; chyba trawili męczący dzień, który wyssał z nich energię. W drugim końcu jadalni Chalamont i pani w kamizelce jedli w milczeniu, w towarzystwie El Fatawiego i łysego.

- No, no - odezwał się Pinetti, siadając. - To mi pochlebia, że zostałem dopuszczony do czołówki.

- Nic nam o tym nie wiadomo - odparła Laurence Carre. Pinetti poruszał widelcem.

- Ejże, wszyscy dobrze widzieli. Chwilami rzeczywiście trzeba się zastanowić, dokąd tamci zmierzają, ale w zasadzie wszystko jest jasne.

Laurence Carre znowu zrobiła sceptyczną minę, a sarkastyczny półuśmiezek zagościł na wąskich ustach Charriaca.

- Pani jest nieufna - skomentował. - Ja też, jeśli mam być szczerzy. Obserwują nas pod różnymi kątami. Wydaje się, że to takie laleczki, jedna w drugiej, w środku jeszcze trzecia i tak dalej.

- A co w ostatniej? - spytał Hirsch.

Charriac wznosił oczy w górę.

- Kto wie? Może diament. A może nic.

- Myślę, że to zależy od każdego z nas - stwierdził Hirsch. - Nie ukrywali tego: oskubią nas, listek po listku, jak karczochy. Żeby zobaczyć, w którym momencie pęknie.

- Karczochy nie pękają - zauważyła Laurence Carre.

- Karczochy nie, ale my pewnie tak - podsumował Hirsch. Zapadła cisza. Kelner roznosił zieloną sałatę przybraną kawałkami sera gruyere.

- Marzę o posiłku, w którym nie byłoby sera, ani kawałka. Utyjemy od tego co najmniej piętnaście kiło - prychnął Pinetti.

- To z powodu krów - powiedział Hirsch. - Muszą gdzieś zbyć ten jedyny produkt. A propos krów, czy wiecie, że to krowy niszczą warstwę ozonu? Wiatry, które puszczają, zawierają duże ilości metanu.

Laurence Carre mlasnęła językiem z obrzydzeniem.

- Proszę, jesteśmy przy stole. Jeśli mamy rozprawiać o gastrycznych kłopotach przeżuwalcy, wracam do Morina. Zachowuje się dość swobodnie, ale przynajmniej nie jest wulgarny.

Hirsch poczerwieniał, zawstydzony. Szukał jakiejś ciętej riposty, bez skutku, więc pochylił się nad talerzem. Charriac popatrzył na niego z nieukrywaną przyjemnością, potem z rozbawieniem na Laurence Carre i przeciągnął się na krześle.

- Ach, bardzo lubię takie przekomarzania... A z panią na pewno będzie wesoło.

Laurence Carre spojrzała na niego z ukosa.

- Nie interesuję się jakoś specjalnie wpływem trawienia bydła na środowisko. Ale jeśli wszyscy tu obecni chcieliby wysłuchać wykładu na ten temat, ja się nie wyłamię.

Charriac koniuszkiem paznokcia podrapał się w brew, po czym położył łokcie na stole, oparł podbródek na splecionych palcach i przyglądał się Laurence Carre.

- Pani jest cudowna. Mówi pani tak, jakby czytała tekst. Odwrócił się do nas, biorąc nas na świadków.

- Prawda? Coś wspaniałego, nieczęsto się to spotyka. Wydaje się, że pisze sobie odpowiedź w głowie, a potem ją odczytuje. Jak pani to robi?

Laurence Carre pochyliła głowę i zjadła jeden liść sałaty. Jednak Charriac nie dawał jej spokoju.

- Proszę nie przyjmując tego źle, przeciwnie, to bardzo dobrze. Ale ma pani taki sposób wyrażania się... na wskroś literacki, po prostu. Kiedy się pani słucha, to tak, jakby się czytało książkę. Nigdy się pani nie rozluźnia?

Powoli spojrzała na niego.

- Na pewno nie z panem.

Charriac uspokajająco uniósł rękę, dłonią do góry.

- Och, nie oczekiwałem tego. Tak jak pani na chwilę nie zapominam, że jesteśmy... konkurentami, w pewnym sensie. Tak naprawdę to nie była prośba o rękę, wie pani?

Pinetti odezwał się ponuro.

- Doprowadzą do tego, że będziemy ze sobą walczyć. Mówię wam. Już się zaczęło i tak się skończy.

Charriac przez chwilę skupił uwagę na sobie.

- Pewnie, że tak. A jak sądzicie, dlaczego zebrali nas tu w grupie? Gdyby chcieli nas egzaminować indywidualnie, mogli przeprowadzać testy w Paryżu. Ale oni chcą zobaczyć, co się dzieje, kiedy jesteśmy wszyscy razem. I kto przeżyje tę przerażającą dżunglę ludzkich relacji w atmosferze współzawodnictwa.

- I to podobno ja mówię, jakbym czytała tekst - westchnęła Laurence Carre.

Charriac niedbałym ruchem odbił piłeczkę z głębi kortu.

- Ja też umiem czytać, wbrew pozorom. I umiem też panować nad każdym słowem, które wypowiadam. Ale to nie wymaga jakiegoś wielkiego wysiłku, nie muszę być sztywny jak kolek. Droga pani, tutaj nikt nie życzy pani źle. Jeśli znajdzie się pani na mojej drodze, po prostu panią zabiję, przedtem jednak pošlę pani kwiaty.

Charriac z łatwością zdobył znaczną przewagę nad wszystkimi współbiesiadnikami. Jednak nie nade mną. Nic nie mówiłem. Poprzestałem na obserwacji. Klepał się po piersi jak goryl, narzucając swoją wolę małpy wyższego rzędu tym, którzy później mogliby mu zagrozić. Przejrzałem jego grę: usiłował wywołać w nich strach, osłabić ich, zamykając im dziób. Potem zbierze tego owoce. Udało mu się, mniej lub bardziej, zbić ich z tropu, ale na mnie nie wywarł wrażenia.

Musiał to wyczuć, więc zwrócił się do mnie.

- A nasz przyjaciel jest taki milczący...

Właśnie ugniatałem kulkę z chleba. Kciukiem wystrzeliłem ją na talerz. Odczekałem trzy sekundy i odpowiedziałem:

- Kiedy człowiek strzela, nie opowiada swojego życia. Charriac zaklaskał czubkami palców wskazujących.

- Brawo. Sergio Leone, prawda? Kowboj jest w opałach i wyciąga pistolet, a tamten mu tłumaczy, jak go zabije. Wspaniała scena. Uwielbiam westerny, a pan?

- Też. Pod warunkiem że jestem po dobrej stronie pistoletu.

Zmarszczył czoło.

- A to zdanie jest z czego? Coś mi to przypomina...

Po sałacie wniesiono steki z frytkami.

Pinetti udał, że przeprasza:

- No, widzicie, znowu krowa... Doprawdy, nic na to nie poradzę...

Laurence Carre, urażona za porównanie do kołka, postanowiła pokazać, że potrafi żartować:

- Ciekawa jestem, jak zrobią sorbet z krowy, na deser - powiedziała łagodnie.

Pinetti się ożywił:

- Chyba pani wie, że we wszystkim jest łój wołowy? Nawet w lodach. Kiedy nastąpił ten kryzys ze wściekłymi krowami, dowiedzieliśmy się, że dodają go nawet do kosmetyków!

Charriac zrobił skonsternowaną minę.

- I znowu zaczyna! Pan Pianetti postanowił całkiem odebrać nam apetyt! Przecież powiedzieliśmy już, że pani...

- Pinetti - przerwał mu Pinetti. - A nie Pianetti. Pinetti.

- Och, przepraszam. Za karę ma pan prawo nazwać mnie raz Chirac, zamiast Charriac.

- Znam zabawniejsze gry słów - odezwała się Laurence Carre, znów oschłym tonem.

Hirsch pokręcił głową.

- Jesteście okropnie męczący!

Miał trochę racji. Ale też nie miał za wiele doświadczenia: towarzyskie spotkania przy posiłkach obfitują w takie popisy krasomówcze - wyróżni się jeden, najsilniejszy, najsprytniejszy lub najwspanialszy mówca, który będzie dominował nad resztą. Z wyjątkiem rzadkich przypadków, gdy chodzi o prawdziwych przyjaciół, między którymi nie ma żadnego konfliktu, posiłek zwykle jest tylko pretekstem do ustalenia pewnej hierarchii, parawanem dla wyrafinowanej gry; kolejne etapy tej gry komentuje się po zakończonym meczu. Arystokracja naszego demokratycznego społeczeństwa po prostu przejmuje zwyczaje szlachty ancien regime'u, gdy hrabiowie i baronowie, nie mogąc już walczyć na szable, do zabijania stosowali ośmieszanie, ranili wstydem, a ciętego języka używali zamiast sztyletu.

Na stół wjechał kosz z owocami - zamiast sorbetu z wołowiny, którego tak się obawiano. Laurence Carre wzięła brzoskwinię, umiejętnie ją obrała, po raz kolejny dając dowód nienagannego wychowania. Charriac końcem palców obdzierał ze skóry banana, Pinetti wgryzł się w jabłko, ja na nic nie miałem ochoty.

Po kawie wyszedłem przespacerować się nad jeziorem. Ja także powoli wpadałem w rutynę. Wschodził księżyc. W słabym świetle ściana świerków skrywała swoje tajemnice. Zszedłem na sam brzeg, zamoczyłem rękę w lodowatej wodzie. Nie powiewał najlżejszy nawet wiaterek, powietrze było chłodne.

Nie słyszałem, kiedy nadeszła Laurence Carre. Tak jak poprzedniego dnia usiadła na skale, rozpościerając wokół siebie czerwoną spódnicę. Cudownie wprost wtapiała się w pejzaż ze spojrzaniem utkwionym w dali i profilem odcinającym się na tle tafli jeziora.

Powiedziałem dobry wieczór i zbierałem się do odejścia; wtedy ona się odezwała.

- Ten Charriac... Nie podoba mi się. Co pan o nim myśli?

- Nic dziwnego, tyle razy panią atakował.

Zachnęła się.

- Owszem, ale nie w tym rzecz. To nic takiego, jestem przyzwyczajona. Wie pan, w takim środowisku kobiecie nie jest łatwo. Ale kiedy powiedział, że mnie zabije, naprawdę miał ochotę to zrobić... Nie odniósł pan takiego wrażenia? To było tak... niespodziewane...

Mówiła, patrząc na drugi brzeg jeziora, jakby myślała na głos. Musiałem podejść bliżej, żeby wszystko usłyszeć.

- To taka metafora. Wzruszyła ramionami.

- Oczywiście. Chodzi o władzę. Oni wszyscy mówią, że pieprzą konkurenta, że mogą mu nadmuchać, wiadomo gdzie, i takie tam rzeczy. Kiedy myślą, że nie słucha, używają bardzo seksualnego języka. Ale to dziwny seks: kochać się to posunąć albo wydymać. Tak sobie wyobrażają związek dwojga ludzi. Nie zauważył pan?

- Zauważyłem.

Trochę zaskoczył mnie szorstki język, jakiego użyła. Jednak przecież przytoczyła tylko wyrażenia, które w gronie męskim słyszałem tysiące razy. Ona zapewne także, chociaż nasi wspaniali koledzy starają się w jakimś stopniu powstrzymać w obecności dam.

- Poza tym przemoc, w dosłownym słowa znaczeniu: zabić, podeptać, puszczyć go z torbami... No dobrze, to gra, świat taki jest. Słowa. Ale Charriac to coś innego. Dlaczego powiedział, że chce mnie zabić? Bo nie może ze mną zrobić niczego innego?

Odwróciła się do mnie przodem, przez chwilę na mnie patrzyła, a potem wygładziła spódnicę. Najpierw się zdziwiłem, potem osłupiałem. Ani przez chwilę nie spodziewałem się tak bezpośredniego sformułowania. Ale też, pomyślałem po chwili, nie znalazła się tu tak całkiem przypadkowo. Jej numer z wielką panią, trzymającą się sztywno zasad, był wart południowego cyrku Morina. Podrapałem się w brodę.

- Nie powiedział, że chce panią zabić, powiedział, że robi to, gdy stanie pani na jego drodze.

Westchnęła, jeszcze raz przygładziła zagniecenie spódnicy.

- Co za różnica. Przyzwyczaję się do tego, pan także. Wszyscy wiemy, że jest tylko kilka miejsc, może nawet tylko jedno lub dwa. A wszyscy chcemy je zająć. Gdybyśmy nie chcieli, nie byłoby nas tutaj. Dlaczego on to powiedział?

- Żeby panią zastraszyć.

Powoli wstała, zeszła nad samo jezioro i przystanęła, plecami do mnie, ze skrzyżowanymi rękami.

- Może. Albo chce, żebym zrozumiała reguły gry. Zadrzała, zrobiła kilka kroków wzdłuż brzegu. Szedłem za nią, zachowując dwumetrową odległość. Miała opuszczoną głowę, patrzyła na kamienie. Próbowałem ją uspokoić:

- Charriac nie jest na topie. Inaczej nie byłoby go tutaj. To może najlepszy z rezerwistów, ale siedzi na ławce rezerwowej, a nie biega po boisku. Dlatego się wścieka. Pani jest niebezpieczna, bo przed chwilą Del Rieco zwrócił na panią uwagę. Więc Charriac próbuje panią wyeliminować.

Zatrzymała się, zmniejszając odległość między nami.

- I myśli pan, że on mnie zabije?

- Boi się pani?

Po raz pierwszy się uśmiechnęła, jej zęby zalśniły w świetle księżyca.

- Nie. Gdybym się bała, byłabym kasjerką w supermarkecie. Albo prowadziłabym sklep z

wyrobami artystycznymi, który utrzymywałby mój mąż chirurg. Nie. Po prostu wyczuwam agresję u tego typka. To nie tylko rywalizacja. Jest w nim nienawiść.

- Ja tego nie poczułem - próbowałem ją uspokoić.

- Bo nie jest pan kobietą - szepnęła.

Czy naprawdę się bała? Tak bardzo, że musiała się tym z kimś podzielić? Szukała sprzymierzeńca? Nie знаła mnie, nic o mnie nie wiedziała, mogłem przecież być tak samo niebezpieczny jak Charriac. Czy może próbowała mnie podejść, bo nie chciała walczyć na dwóch frontach?

- Widzi pani, ja także chcę dostać pracę - powiedziałem cicho.

Ciągle patrzyła na kamienie.

- Tak. Wiem. Każde słowo staje się bronią, każdy przebłysk ludzkiego odruchu słabością, każde zwierzenie zdradą. Och, inni się nie liczą. Morin i jego grupa. Im się wydaje, że zdają maturę. Albo że to coś w rodzaju zjazdu. Zobacz pan, za dwa dni spytają, czy może jest tu w okolicy jakiś nocny klub. Ze sto razy wysyłali swoją kandydaturę, odpowiedzieli na pięćdziesiąt ogłoszeń i dla nich to nic nadzwyczajnego. Postawili sto franków na osiemnastkę, jak w ruletce, i czekają, czy coś z tego wyniknie. Inaczej niż ja. I Charriac. I pan. Czy nawet Pinetti lub El Fatawi. To będą finaliści. Będzie jatka, panie Carceville.

Znowu westchnęła i pomasowała sobie ramiona, żeby się rozgrzać.

- Przykra sprawa - mówiła dalej. - W innych okolicznościach może byśmy sympatyzowali. Ale oni tak chcieli. Chcą się dowiedzieć, czy potrafimy być bezlitośni. Nie mogę sobie pozwolić na niepowodzenie w De Wavre. Wszystko, tylko nie to.

Interesująca informacja. Niby od niechcienia nakłoniłem ją, by mówiła dalej.

- Ta firma ma aż takie znaczenie?

- De Wavre? To *must*. Wszystkie korporacje się do nich zgłaszają, od roku, dwóch lat. Jeśli oni dają rekomendację, rozkłada się przed panem złoty most. A jeśli z pana rezygnują, jest pan skończony. Punktem wyjścia są Administracja, Akademia Górnicza, Drogi i Mosty i tyle. Aha, jeszcze Harvard. W pogoni za pracą bierze się pod uwagę tylko De Wavre. Ostateczny przesiew. Jeśli odpadasz, zostajesz kierownikiem działu u Tatiego, w najlepszym razie. Nie wiedział pan?

- Byłem w PME*[* PME - sektor małych i średnich przedsiębiorstw (Petites et Moyennes Entreprises) (przyp. red.)]. Oni mają inny sposób rekrutacji.

- Tak, kiedy są mali, jakoś leci. Wie pan, byłem szefową do spraw zasobów ludzkich. Widziałam, jak to się robi. Psiakrew, nie powinnam panu tego mówić, to pana zmotywuje.

Laurence Carre była ostatnią Francuzką, która mówiła „psiakrew” zamiast „cholera”.

- Dlaczego panią...

Zatrzepotała rękami.

- Wywalili? A to już moja tajemnica. A pana?

Nie czekała na odpowiedź - zresztą odpowiedzi nie było - i ruszyła przed siebie. Oddalaliśmy się od hotelu, widzieliśmy już tylko niewyraźną poświatę między drzewami. Nagle przed nami wyrosła skała. Ścieżka odchodziła od jeziora, zagłębiała się w las. Laurence kręciła głową na prawo i na lewo.

- To znaczy, że wrócimy dopiero za dnia?

Zrobiła w tył zwrot, a ja poszedłem za nią. Potknęła się o kamień. Na chwilę się o mnie oparła, zaraz potem przeprosiła.

Kiedy doszliśmy do końca alejki, na wprost pomostu, próbowałem bardziej ją wysondować.

- Zna pani tego Del Rieco? Zawahała się.

- N...nie. Właściwie nie. W De Wavre mają jednego czy dwóch guru. Poznałam faceta, który został przyjęty do pracy za ich pośrednictwem, mówił o nich „trepanatorzy”. Del Rieco to pewnie jeden z nich.

- Zauważyła pani, że oni z nami nie jedzą?

- Oczywiście. Wspólne posiłki jakoś łączą. Moglibyśmy pociągnąć ich za język. Sympatyzować z nimi.

- Uwieść ich.

Zezłościła się, rzuciła mi wściekłe spojrzenie.

- Wszyscy jesteście tacy sami! Myślicie, że kobiety mają wyłącznie ten jeden argument. Seks, wszędzie tylko seks!

- Nie - wybełkotałem żałośnie. - Powiedziałem „uwieść” w sensie ogólnym...

Zignorowała mnie, dalej mrużyła pełne złości oczy.

- Nie uwodzi się trepanatora. Nawet nie ma co próbować.

Rozłożyłem ręce na znak, że jestem niewinny.

- Nigdy o tym nie pomyślałem. Przysięgam. Byłem od tego jak najdalszy... zresztą, nie tylko kobiety uwodzą. Jest na to tysiące sposobów.

Uśmiechnęła się do mnie sarkastycznie.

- Jestem pod wrażeniem! Od czasu do czasu, kiedy czara się przepełni, ogarnia mnie fala kobiecości. Trzeba to ścierpieć. Proszę nie mieć do mnie o to pretensji.

Potem nie zamieniliśmy już ani słowa. Poszedłem do pokoju i zagłębiłem się w moich ulubionych zagadkach kryminalnych.

We wtorek rano zaczął się prawdziwy staż. Del Rieco, jak zwykle, zebrał nas w sali konferencyjnej. Wyjaśnił, że wchodzimy w fazę symulacji, która potrwa trzy dni. Zostaniemy podzieleni na trzy zespoły - każdy będzie stanowił zarząd firmy. Wystartują z tej samej pozycji, rozpoczną walkę o rynek, dysponując sprawiedliwie rozłożonymi atutami. Od nas zależy wygrana lub przegrana. Żadnych zasad, z wyjątkiem jednej: Del Rieco jest panem tej gry, tylko on może powiedzieć, czy nasze inicjatywy są udane, czy chybione. Możemy się zorganizować i działać, jak nam się podoba, nasza pomysłowość nie jest niczym ograniczana. On dostarczy nam wszystkie niezbędne dokumenty, bilanse, wykazy, listę personelu, opis tendencji rynkowych, wszystko to, co dyrektor przechowuje w dobrze zabezpieczonych szufladach swojego biurka. Jeśli będziemy potrzebować czegoś jeszcze, Del Rieco na naszą prośbę nas w to zaopatrzy.

Powiedział, że to metoda przejęta z gry *Dungeons and Dragons*. Odrobina hazardu, ale nie więcej niż w życiu. Najprościej mówiąc, poniesiemy konsekwencje decyzji, jakie sami podejmiemy. Mamy prawo do trzech bezsennych nocy, jeśli sobie tego życzymy, ale on, Del Rieco, nie będzie osiągalny między północą a szóstą rano.

Naturalnie Aime Leroy nie omieszkał wznieść barykady obiekcji. Jak się liczy punkty? Żadnych punktów, odpowiedział Del Rieco, poprzestanę na obserwowaniu tego, co się będzie działo. Od którego momentu wiadomo, że się wygrało? Tu się nie wygrywa, będzie po prostu końcowy bilans, mniej lub bardziej korzystny.

W jaki sposób dobierane są zespoły? Za to ja odpowiadam, odparł Del Rieco. Można tu coś zmienić? Nie. No dobrze, a jeśli w zespole coś jest nie tak, to wszyscy są w gorszej sytuacji,

prawda? Kiedy zatrudnia was jakaś firma, zniecierpliwił się Del Rieco, nie możecie wybierać kolegów; w każdym razie nie na początku. Jakim materiałem dysponujemy? Komputery, papier i długopisy. A co będziemy produkować? Nieważne, to, co nam się podoba. Haczyki do wędek, zaproponował Pinetti, tak dla żartu. Okej, zgodził się Del Rieco, haczyki do wędek.

Później ogłosił skład zespołów. Charriac znalazł się w grupie z Pinettim, Morinem i dwoma oryginałami z bandy Morina. To był zespół A. Zespół B: Laurence Carre, El Fatawi, Chalamont, Aime Leroy i dwaj inni goście Morinsa. Ja, w zespole C, otrzymałem w spadku Airscha, panią w kamizelce, która zwierzyła się nam, że nazywa się Marilyn (ale nie Monroe, natychmiast uściśliła, na wypadek - mało prawdopodobny - gdyby ktoś miał wątpliwości), ciemnego krępego sportowca Mastroniego i jeszcze kobietę - skromnego rudzielca o zmęczonym spojrzeniu - która przedstawiła się jako Brigitte Aubert. Mentalnie składam ukłon Del Rieco: w każdym teamie był jeden dobry, jeden lub dwóch nie bardzo złych i dwa mało znaczące ogony.

Wszyscy mieli swoje piętro i swoją salę: na drugim Charriac, na pierwszym Laurence Carre, na parterze my, w małym lokalu z dużym stołem, tuż obok kuchni.

- Przynajmniej prowiant jest pod ręką - pocieszał się Hirsch.

Gdy się tam instalowaliśmy, Nathalie przyniosła stos dokumentów. Niewielka sala pachniała farbą. W kącie stał komputer, po drugiej stronie stołu tablica, i tak jak obiecał, Del Rieco dostarczył papier i długopisy.

Poczekalem, aż wszyscy się usadowią, i od razu przejąłem kierownictwo akcji.

- Proszę posłuchać, jestem doradcą w dziedzinie organizacji. Stracimy mniej czasu, jeśli pozwolicie mi przygotować plan działania. Jeśli popełnię jakieś głupstwo, od razu mi to powiedzcie, zmienimy, co trzeba. Musimy grać jak zespół: razem zwyciężymy albo razem przegramy. Nie będziemy się kłócić, bo czas nagli. Nie powinniśmy nic przed sobą ukrywać. Ani też niczego wynosić na zewnątrz. Od tej chwili prowadzimy wojnę: nasi jedyni przyjaciele znajdują się tutaj, na zewnątrz są ludzie, którzy bardzo źle nam życzą. Znam trochę dwie, trzy osoby wśród naszych przeciwników. To profesjoniści. Chcecie tej roboty? No więc wyprujemy sobie flaki i ją dostaniemy.

Ta wojownicza przemowa bardzo spodobała się obu paniom. Siedzący obok mnie Hirsch także żywo wyraził aprobatę. U Mastroniego wyczułem raczej rezerwę, więc zwróciłem się bezpośrednio do niego.

- Okej, a pan, co pan umie?

- Jestem handlowcem.

- Dobrze. Zostaje pan szefem sprzedaży. Niech pan poszpera w pamięci i opowie nam coś o sytuacji rynku i o strategii, jaką pan zaleca. Ty, Hirsch, przyjrzyj się komputerowi, zobacz, co on potrafi. Na pewno są w nim jakieś programy, zorientuj się, co możesz z tym zrobić. Jeśli tobie się nie uda, nie uda się nikomu innemu. Pani Marilyn, potrzebujemy kogoś, kto by wszystko skrupulatnie notował. Wszystko, ze szczegółami. Pamięć naszej grupy. To rzecz niezbędna. Jest pani sekretarką dyrektora, więc wie pani, że od tego w połowie zależy skuteczność każdego szefa.

Zaróżowiła się, mając moje słowa za komplement. Wystarczająco dowartościowałem każdego z nich, by mogli natychmiast zabrać się do pracy. Z błyskiem w oku Hirsch włączył komputer i zaczął przebierać palcami. Mastroni przeglądał plik papierów przyniesionych przez Nathalie. Zwróciłem się do rudej.

- A pani, co pani potrafi oprócz bycia piękną? Uśmiechnęła się niewyraźnie, trochę z

zadowoleniem, trochę ze wzgardą.

- Pracuję w reklamie.

- Będziemy pani bardzo potrzebować przy rozruchu, kiedy już wszystko uporządkujemy. A tymczasem...

Zaskoczyła mnie, gdy oświadczyła:

- Rozumiem, kiedy źle się dzieje, ucinamy budżet. Tymczasem mam za zadanie powęszyć po trochu wszędzie. Zorientować się, czy dam radę zdobyć jakieś informacje.

- Doskonale!

Wstała, robiąc szelmowską minę. W najlepszym razie dowie się, jakie nastroje panują w innych zespołach. W najgorszym - odpocznie sobie i nie będzie nam się pętać pod nogami. Hirsch odezwał się przez ramię:

- Word, Excel, bilanse... klasyczny *packaging*. Ale nie ma Internetu. A przecież jest w sieci, to mnie zastanawia. Poczekaj, jeszcze coś spróbuję, momencik.

Zupełnie spontanicznie, gdy tylko znaleźliśmy się w tej sali, przeszliśmy na „ty”. Bardzo liczyłem, że znajdę w nim oparcie. Mastroni przesunął w moją stronę stos papierów, przedtem wyjął z niego kilka kartek.

- Przyjrzę się temu z bliska. Ale z reszty nic nie rozumiem, nigdy nie byłem dobry w odczytywaniu bilansu.

Machnąłem ręką.

- Nie ma sprawy, zajmę się tym.

- Czy ktoś życzy sobie kawę? - spytała Marilyn.

Mastroni uniósł głowę.

- Niech pani przyniesie wiadro. I pięć słomek.

Przyciągnąłem do siebie kartonowe teczki; cieszyłem się, że tak gładko przebrnąłem przez pierwszą przeszkodę. Wszyscy byli dość grzeczni, jak dotąd nikt nie sprzeciwiał się mojemu przywództwu. Miałem nadzieję, że Charriac i Laurence Carre napotkali więcej trudności i stracili więcej czasu. Zazwyczaj dyrektor generalny połowę czasu spędza na porządkowaniu spraw personalnych. Powinienem pomyśleć o podziękowaniach dla Del Rieco: dali mi zespół jak na zamówienie.

Zagłębiłem się w bilansach. Ratio EVA/MVA, suma bilansowa, starałem się przyswoić sobie jak najszybciej tę gmatwaninę, jaką mnie obdarzyli. Kapitał spółki wydał mi się trochę za mały w stosunku do wysokości obrotu, ale nie jest to poważne utrudnienie, dopóki nie trzeba występować o kredyt. Sytuacja finansowa wyglądała na zrównoważoną, zadłużenie w normie. Jedyne przez ostatnie trzy miesiące zanotowano lekkie załamanie zbytu.

Przedstawiłem tę kwestię Mastroniemu.

- Zauważyłem - odpowiedział.

- Pana zdaniem, co się dzieje?

Natychmiast się rozpogodził. Był w swoim żywiole.

- Widzi pan, w pewnym momencie rynek się nasycy, nie da się tego uniknąć. Wszystkie krzywe ostatecznie przybierają kształt S: kiedyś jednak się spłaszczają, dlatego że wszyscy są nasyчени. Wtedy trzeba szukać nowego rynku zbytu, eksportować, przyciągnąć nowe grupy konsumentów albo błyskawicznie wprowadzić nową technologię, co sprawia, że produkt wychodzi z mody i rodzi się potrzeba czegoś innego. A poza tym... chce pan wiedzieć, w czym sęk?

- Oczywiście.

- Jest nas za dużo. W tym sektorze nie ma miejsca na trzy przedsiębiorstwa. Dwa tak, ale nie trzy.

- A jedno? - zażartowałem. Uśmiechnął się.

- Aaa, jedno to byłoby jeszcze lepiej.

Pokiwałem głową. Zawsze to samo. Wszyscy złotouści, którzy gloryfikują konkurencję, w rzeczywistości marzą wyłącznie o monopolu. Wystarczy zobaczyć, co wyrabiają, kiedy wychodzą ze studia telewizyjnego.

A więc przynajmniej jedna z trzech ekip powinna odpaść. W De Wavre chcieli wi edzieć, jak się do tego zabierzemy i kto pierwszy zniknie z powierzchni ziemi. Marilyn wróciła z dzbankiem kawy i kilkoma filiżankami na tacy, którą chwiejnie niosła.

- Zauważyliście? - spytała wesoło. - Ja nazywam się Marilyn, a pan Mastroni, mało brakowało, a nazywałby się Mastroianni. To mógłby być piękny film, Marilyn Monroe i Mastroianni, czyż nie? Dlaczego o tym nie pomyśleli?

Nikt jej nie odpowiedział. Hirsch przesunął się z krzesłem, żeby siedzieć do nas przodem, i spytał:

- Co mam im powiedzieć?

- To znaczy?

- Jest tu coś w rodzaju Intranetu. Możemy porozumiewać się ze wszystkimi: z wodzirejem, którym chyba jest Del Rieco, firmą A i firmą B. Przekazywać sobie wiadomości. Udostępnili nam system, który umożliwia kontakt tylko z Del Rieco, ale ja trochę tam pokombinowałem i mogę wejść, gdzie mi się podoba.

Pochyliłem się do przodu - nie umiałem ukryć zadowolenia, więc klepnałem go z aprobatą.

- Napiszę do nich „kuku” - zaproponował. Powstrzymałem go ruchem ręki.

- Nie, stop. Niekoniecznie muszą o tym wiedzieć. Naprawdę możesz wejść w ich komputery?

- Nie, tylko w pocztę. To było przewidziane. Ale jeśli jest sieć, jest też sposób na wniknięcie w nią. Jedyne wyjście, żeby mieć spokój, to wyłączyć całą linię. Jeżeli Del Rieco chce mieć kontakt z nami i z tamtymi... gdzieś musi być węzeł.

To otwierało perspektywy.

- I uda ci się przeczytać, co będą mieli w poczcie? Zastanawiał się chwilę.

- Na razie nie. Jednak taka możliwość istnieje. Trzeba im wpuścić szkodliwy plik. Wtedy będę mógł wchodzić, gdzie zechcę. Ale żeby to zrobić, muszę choć raz się z nimi połączyć. A potem to już się przylepia jak guma do żucia i są załatwieni, wchodzę, kiedy chcę. Tak robi Microsoft z Pentium III.

- A ty możesz to zrobić?

- Chyba tak. Muszę się zorientować. Tyle że to zajmie mi cały dzień.

- Dobrze. Nie potrzebujemy ani ciebie, ani komputera. A możesz zrobić to samo z komputerem Del Rieco?

Dotknął swojego jabłka Adama, zawahał się.

- Chyba nie. Jest zakodowany. To nie jest niemożliwe, potrzeba jednak tygodnia, jeśli nie ma się szczęścia. Kiedyś faceci kodowali imionami swoich dzieci. Teraz stosują litery, ale pomieszane. Jest siedem miejsc, więc muszą gdzieś to zanotować, żeby nie zapomnieć. Jak mi znajdziecie kod, powiem wam, o co chodzi temu Del Rieco.

- Świetnie! Marilyn, niech pani spróbuje znaleźć... jak ona się nazywa, ta ruda?

- Brigitte.

- Właśnie. Proszę jej powiedzieć, żeby natychmiast do mnie przysłała. Na pewno zastanie ją pani z uchem przy drzwiach. Ale my chyba mamy tu lepszy sposób.

Marilyn posłusznie wstała, miło się do nas uśmiechnęła i wyszła z sali. Spojrzałem na Mastroniego. Miał uważną minę przezornego obywatela, który widzi, jak ktoś popełnia przestępstwo, jednak zastanawia się, czy powinien interweniować.

- Myślicie, że to dozwolone? - spytał. - Chcę powiedzieć: czy nas wszystkich za to nie wywalą?

- Dobre pytanie. Popatrzcie, co się dzieje na giełdzie: wszystkie chwytły dozwolone, byleby nie dać się złapać.

Właściwie, jak na razie, nie zrobiliśmy niczego zakazanego. Del Rieco dostarczył nam komputer, ale nie dołączył zakazu korzystania z niego. Co więcej, nie byłem niezadowolony z tego, że zamknęliśmy mu gębę, demontując jego prymitywny system, nawet jeśli ceną miałyby być przywołanie do porządku. Hirsch zabrał się do pracy; popatrzyłem na Mastroniego.

- No dobrze, Mastroni, proszę mi zrobić plan dystrybucji.
- Możemy przejść na ty - zaproponował. - Jeśli pan zechce...
- Proszę bardzo. To się wręcz narzuca.

Nie chciałem zazdrości w naszej grupie. Dostrzegłem, że lekko rozszerzyły mu się źrenice. W scenach uwodzenia to wskaźnik budzącego się zainteresowania seksualnego: obserwacja wielkości źrenic pozwala ustalić, na jakim etapie jesteśmy. U Mastroniego nie o to chodziło, ale zrobiłem mu przyjemność. Pochylił się nad papierami.

- Mamy mnóstwo drobnych dystrybutorów. Sądzę, że to sklepy z artykułami myśliwskimi i wędkarskimi. Przede wszystkim jednak mamy dwóch poważnych klientów: sieć supermarketów, która bierze jedną trzecią produkcji, i centralę zakupów, która odbiera prawie jedną czwartą. Wydaje mi się, że właśnie tu napotkamy przeszkodę ze strony tamtych. Jeśli stracimy jednego lub dwóch klientów albo po prostu któryś z nich zmniejszy zamówienie, już po nas.

No tak, logiczne. W naszych czasach produkcja jest tylko częścią zbytu; we wszystkich branżach supermarketów stawiają producentów w sytuacji przymusowej.

- Są silniejsi niż my? - spytałem.
- Ależ oczywiście. Oni zajmują się nie tylko haczykami do wędek. Nie można więc było ich odkupić i stać się własnym sprzedawcą.
- A w porównaniu z tamtymi jesteśmy drożsi czy tańsi?

Kilkakrotnie poruszał ręką od prawa do lewa.

- Pośrodku. Zespół A jest droższy, B tańszy. Myślę, że A robi produkt bardziej wyrafinowany, są chyba mniej zależni od wielkich nabywców. A grupa B - tanioczę.

- Myśli pan... Myślisz, że można się spodziewać wojny cen? Znowu się zawahał. Mastroni należał do ludzi, którzy nigdy nie są pewni tego, co mówią, i z których trzeba kleszczami wrywać informacje, gwałcąc ich pełną skrupułów przezorność.

- Pewnie tak. Trudno powiedzieć. Ty możesz zdecydować, czy sprawa jest warta zachodu.

Nagle poczułem o wiele mniejszą wdzięczność wobec Del Rieco. Pozycje średnie są najgorsze. Bez trudu można stosować wysoką technologię, którą bardzo drogo się sprzedaje, albo też produkować buble za trzy grosze, ale pomiędzy tymi dwiema możliwościami kumulują się trudności i ryzyko.

Wróciła Marilyn, popychając przed sobą Brigitte Aubert, która żuła gumę.

- Niczego nie znalazłam - powiedziała z jakąś paradoksalną satysfakcją. - Wszyscy się zabarykadowali. Ale za to przeszukałam całą tę budę i już wiem, gdzie rezyduje Del Rieco. Za garażem dla łodzi jest coś w rodzaju górskiego domku, ukrytego pod drzewami. To tam. Poszłam za kelnerem, zanosił mu papier.

A to dopiero kawał drania! Tak więc Del Rieco ma tajemne apartamenty, gdzie po cichu knuje swoje niebezpieczne plany! Mocno ścisnąłem ramię Brigitte.

- Świetnie, teraz proszę posłuchać: ukrył gdzieś kod. Siedem liter na skrawku papieru. Prawdopodobnie gdzieś blisko komputera. Jeśli pani znajdzie ten kod, podwajam pani wynagrodzenie.

Parsknęła śmiechem. Po chwili lekko wypięła skromną pierś - w odpowiedzi na mój uścisk.

- Podwójne zero to niewiele... Mimo to dziękuję. Czy to takie ważne?

- Bardzo ważne. Bardzo. Jeśli zdobędziemy kod, mamy zwycięstwo w kieszeni. Dowiemy się, jakie są wszystkie parametry. Tylko pani może to zrobić.

Przymknęła oczy, przybrała pozę gwiazdy.

- A to dopiero! Już tam idę.

Mastroni poczekał, aż wyjdzie, i skomentował powoli:

- Ty decydujesz, ale to może okazać się trochę niebezpieczne, no nie? Jeszcze nie zaczęliśmy na dobre, a już zaczynamy oszukiwać...

- Posłuchaj, nie oszukujemy. To oni oszukują. Od samego początku. Nie mówią nam nawet połowy tego, co tam sobie knują. A potem stwierdzą: ty jesteś zero, ty jesteś dobry, a my nigdy nie dowiemy się dlaczego. Zastanów się, czy powiedzieli ci, po co robią to wszystko, co znosiłeś aż do teraz? Powiedzieli ci?

- Nie - przyznał z żalem.

- No widzisz? Chcą, żeby to było tak jak w życiu? No więc takie będzie. Wszystkie chwytły dozwolone. Interesy to tak jak wojna. Mastroni, to są nasi wrogowie. Jesteś bezrobotny, prawda?

Kręcił się na krześle, skonsternowany.

- Tak.

- A wiesz dlaczego? Dlatego, że jesteś beznadziejny, no nie? Tak ci powiedzieli prosto w oczy? Nie jesteś, dobrze o tym wiesz. Ale to wojna. Wzywają cię i mówią: „Proszę pana, bardzo nam przykro, ale widzi pan, amerykańskie fundusze inwestycyjne wymagają piętnastu procent rentowności, a my tego nie osiągamy, więc z przykrością musimy pana zwolnić”. Tak ci powiedzieli, prawda? A może się mylę?

- Nie piętnastu - sprostował z godnością.

- Nie, nie podali ci liczby. Ale ja ci mówię, że to piętnaście procent. Oni nabijają sobie kabzę, a ty zastanawiasz się, czy jutro starczy ci na chleb. Nie zaliczyłeś wielkich korporacji, nie masz czterech miliardów obrotu i nie wiesz, jak spłacisz kredyt na dom. Mówią ci: „Niech pan się cieszy, jeśli będzie naprawdę źle, jest jeszcze zapomoga”. Ja znam takich, co biorą zapomogę, a ty?

- Ja też - zgodził się.

Moje słowa wywarły skutek: zaczynał się ożywiać. Nie spuszczałem z tonu.

- A czy oni są gorsi od innych? Nie. Po prostu mają na ich miejsce nowych. Ile masz lat, Mastroni?

- Czterdzieści sześć.

- No to już jesteś prawie staruszek. Przez dwadzieścia lat wyciskali cię jak cytrynę, a teraz cię wyrzucają jak śmiecia. A ty ciągle ich szanujesz? Chcesz jeszcze z nimi grać? Popatrz prawdzie w oczy: już zagrałeś. I przegrałeś. To nie gra, Mastroni. To dżungla. Jeśli nie masz zębów tak ostrych jak oni, pożrą cię. Są więksi, mocniejsi, silniejsi. Bardziej niegodziwi. Urodzili się w odpowiednim miejscu. I gardzą tobą. Wiesz, że tobą gardzą? Wszyscy. Posłuchaj, kiedy na ulicy wpadasz na mięśniaka, który chce cię załatwić, masz tylko jedno wyjście: kopa w jaja. I to właśnie im zrobimy. Co ty sobie myślisz? Że Del Rieco jest po twojej stronie? Po twojej stronie nikt nie stoi, Mastroni. Może twoja żona, a i to nic pewnego. Del Rieco jest po ich stronie. Pracuje dla nich, nie dla ciebie. Usiadł z nami do stołu, powiedział ci miłe słówko jeden raz, choć jeden raz? Nigdy. Płacą mu za to, żeby znalazł najsprytniejszego spośród nas. Już my mu pokażemy. Pokażemy mu, że jesteśmy

sprytniejsi niż on. Zemdli go od tego, wyprują mu się bebechy. Chce, żebyśmy się pozabijali? Okej, pozabijamy się. Ale jego też. Nie rozumiałaś, że to pułapka? Głęboka, ogromna pułapka? Podoba ci się to, że traktują cię jak dziwkę za dwadzieścia franków?

- Niech pan mówi za siebie - odezwała się Marilyn, która słuchała nas, wyglądając przez okno.

- Przepraszam, poniosło mnie. Wnerwiłem się. Myślę, że wy wszyscy też. Co to za kretyńskie gierki? Mamy im pokazać, że jesteśmy zdyscyplinowani, dzielni jak żołnierze, czysti i tak dalej? No więc nie. Jesteśmy źli. Tak samo źli jak oni. Nie będziemy grać według ich reguł, bo oni ich też nie przestrzegają. Wydaje nam się, że będziemy boksować jak dżentelmeni, a dostajemy kopa w kolana. To nie jest boks, to wolnoamerykanka, *catch*. Wiesz, skąd to się wzięło? *Catch as catch can*. Łap, gdzie popadnie. Tkwimy w gównie, tylko głowa wystaje. Kiedy przyjdą, żeby nas definitywnie pogrzyść, ugryziemy ich w łydki. Biorę wszystko na siebie, Mastroni. Jeśli cię spytają, powiesz, że to rozkaz. Co ryzykujemy? Jeśli zagramy tak, jak oni chcą, przegramy. Popatrz tylko na tę firmę, która produkuje te zasrane przynęty i zależy od jednego klienta. Jutro rano, kiedy będziesz sobie nad tym łamać głowę, dostaniesz taki mail: „Przykro mi, albo obniżacie cenę o dwadzieścia procent, albo kupujemy gdzie indziej”, i nie pozostanie ci nic innego, jak strzelić sobie w łeb. I chcesz się w to bawić? Dostać w pysk i jeszcze dziękować? Nie widzisz, że to wszystko wielka blaga? No to my ich też zabajerujemy, ale w drugą stronę, przegrana za przegrana. De Wavre i te ich testy! Renoma międzynarodowa! Gdybym umył zęby, mógłbym się roześmiać!

- Dobrze powiedziane - rzucił Hirsch, nie odwracając się. Marilyn milczała, patrzyła pustym wzrokiem, ale nie straciła ani słowa z mojej przemowy. Jej mina także nie wyrażała niezgody. Wstałem, byłem u kresu sił.

- Wszystkie chwytaki dozwolone, Mastroni. Przychodzi taki moment, gdy nawet kury buntują się przeciw lisowi. Przychodzi taki moment, gdy przypominamy sobie, że jesteśmy mężczyznami, i z dumą stajemy na nogi. Del Rieco nie ma nam nic do powiedzenia? Doskonale, my jeszcze też nie. Ale wszystkiego się dowiemy. Dostyc już manipulacji. Ja, pokonany czy niepokonany, wyjdę stąd z podniesioną głową. Albo nogami do przodu. Twierdzisz, że to twoja ostatnia szansa? Wykorzystaj ją w pełni. Niczego nie ryzykujesz, Mastroni. Oni myślą, że już nie żyjesz. Nie rozumiesz, że dokonali wyboru? Ja ci powiem kto: Charriac i Laurence Carre. Do pozostałych wyślą odpowiednie pismo. Otóż nie! Tym razem tak nie będzie. To zależy od ciebie, Mastroni. Od ciebie i od tego, co masz w gaciach. Tylko ty to wiesz.

Mastroni siedział z opuszczoną głową. Uniósł ją i dwa razy zamrugał. Czuję się tak, jakbym dowodził oddziałem na wietnamskim ryżowisku. Sam nie wiedziałem, skąd mi się wzięło to wszystko, co mówiłem, ta cała przemowa bojowo nastawionego macho za trzy grosze. To do mnie niepodobne. Może od czasu zwolnienia z pracy coś we mnie wzbierało, gdzieś na dnie duszy, i nastąpił wybuch. Może Laurence Carre miała rację, że od czasów Cro-Magnon niewiele się zmieniło, że zbyt wielka presja budzi dzikie instynkty, przyczajone w głębi kory mózgowej, skrywane pod masą zdroworozsądkowych przemyśleń i zwyczajów, pod miękką pierzyną postindustrialnego komfortu, tłumiącego nienawiść i złość. Tak naprawdę chyba przemawiałem raczej do siebie, a nie do Mastroniego.

Szeroko się do nich uśmiechnąłem.

- No dobrze, koniec. Grzecznie poprowadzimy firmę, ale chciałbym, żebyście wiedzieli, że jeśli będzie trzeba, pójdę na całość. Del Rieco tyle razy nam powtarzał, że chce wiedzieć, co w nas siedzi. No to ja mu pokażę, aż mu odbije się to czkawką. Jedziemy na tym samym wózku. Jeśli

stwierdzicie, że przesadzam, jeśli przestaniecie mi ufać, powiedzcie mi to i wtedy ktoś inny pokieruje operacją. Nic trudnego, nie będę miał pretensji. Umowa stoi?

- Zaczęło się - powiedział nagle Hirsch. - Mamy mail. Zachichotałem.

- Supermarkety? Dwudziestoprocentowa obniżka?

- Nie, informują tylko, że chcą jeszcze raz porozmawiać o cenie.

Rozłożyłem ręce.

- Co to ja mówiłem? Punkt dla nas, udaje nam się przewidzieć, co zrobią. Powiedz im, żeby przedstawili propozycję.

Hirsch odsunął krzesło i odszedł od ekranu.

- Nie umiem pisać, to nie moja specjalność... Marilyn odwróciła wzrok od okna.

- Ja napiszę. Umiem niewiele, ale listy potrafię pisać. Mogę spróbować? Najpierw napiszę na papierze, więc jeśli trzeba będzie coś zmienić...

Uniosłem kciuk na znak zgody.

- To szyte grubymi nićmi - stwierdziłem. - Cokolwiek naiwne. Chcą wiedzieć, czy potrafimy zaoszczędzić i dokręcić śruby.

Czy możemy utrzymać się przy niskich cenach. Więc co należy zrobić?

Hirsch i Marilyn wykrzyknęli chórem:

- Personel!

Udzielila mi się ich wesołość, nawet Mastroni nie zaciskał już ust.

- Wygrana! *Down-sizing*. Wyrzucimy ze dwie osoby, żeby im sprawić przyjemność, bo bardzo chcą zobaczyć, czy potrafimy być bezwzględni. Ale ja doszukam się prawdziwych oszczędności. Ty, Hirsch, możesz skontaktować się z tamtymi i wlepić im tę twoją sztuczkę, to dobry moment. Myślę, że dostali taki sam mail, ale muszę sprawdzić.

Mastroni obszedł stół i pochylił się nad moim ramieniem.

- Chciałbym zobaczyć, jak ty to robisz, nie przeszkadza ci? Nigdy tego nie rozumiałem...

Rozłożyłem przed sobą kartki z bilansem.

- To całkiem proste. Przeglądasz najważniejsze stanowiska, duże wydatki. Mówią ci, że nie można tego tknąć. No to szlaban na telefon, ograniczasz opłaty stemplowe, takie tam drobiazgi. Oszczędzisz ze trzy franki i kiedy już przestaniesz kłócić się ze wszystkimi, zostaje ci tylko personel. I świadomość, że choć masz mniej ludzi, wykonasz jednak tę samą robotę. Że płacisz bandzie nierobów i za mało z nich wyciskałeś. Jeśli w to nie wierzysz, nie słuchasz ich i zabierasz się do wysokich stanowisk. I wtedy zdajesz sobie sprawę, że spokojnie możesz ich ruszyć.

Hirsch wyprężył się i zrobił znak V, znak zwycięstwa, nie spuszczając z oczu komputera. Po chwili dał wyraz swojej pogardzie.

- No to mają! - krzyknął. - Wiecie, co im zrobiłem? Podpisałem nazwą supermarketu i dodałem tylko „Pilne”. Pomyślą: no tak, chcą nas zestresować, i odpuszczą sobie. Nigdy się nie dowiedzą, że wszedłem do ich systemu.

- A nie dostali takiego samego maila? - spytał Mastroni. - Od tego samego nadawcy? Od razu zauważą, że coś tu nie gra...

Hirsch usiadł.

- Cholera, nie pomyślałem o tym... W jakich godzinach można pójść się utopić w jeziorze?

Uspokoilem go:

- Nie przejmuj się, dostali to. To tylko start. Taki sam dla wszystkich. Dopiero teraz zaczną się

kwestie sporne. Ale gdzie jest Brigitte, co ona tam wyrabia? Może właśnie gzi się z Del Rieco?

- Chyba nie posunęłaby sumienności zawodowej aż do tego stopnia - odezwała się Marilyn, której absolutnie nie poruszała nasza żółdacka gadanina.

- Mam nadzieję, że nie - odparłem.

Przez wzgląd na nią. Miałem jednak nadzieję, że tak. Rozległo się pukanie do drzwi i weszła Nathalie, świeża, radosna. Hirsch przypiął się do monitora jak uczeniak przyłapany na gorącym uczynku, Mastroni pograżył się w swoich papierach. Chyba nie zauważyła naszego skrepowania.

- Jest do was poczta - oznajmiła wesoło.

Podala mi faks od dystrybutora, taki sam, jaki dostaliśmy mailem.

- Otrzymaliśmy już to przez Intranet... Uniosła brwi.

- Ach tak? Odkryliście Intranet? To dobrze. Powiem o tym panu Del Rieco. To mi oszczędzi chodzenia. Od teraz wszystko będzie wam przesyłał tą drogą...

Zrobiłem skonsternowaną minę.

- Więc już pani nie będzie do nas przychodzić? Ach, gdybym wiedział... No ale trudno, niech pani wpadnie czasem na kawę, będzie nam przyjemnie.

- Obiecuję - przyrzekła i zrobiła w tył zwrot.

Kiedy zniknęła za drzwiami, Hirsch z wyrzutem mlasnął językiem.

- Głupi jesteś, za każdym razem będziemy musieli wszystko ukrywać...

- Ależ nie, coś ty, ona nie przyjdzie. Powiedziałem tak tylko dlatego, że zawsze trzeba mieć dobre stosunki z niższym personelem. Oni też istnieją i są zadowoleni, kiedy się ich dostrzega. Mogą dać jakiś cynk...

Marilyn podała mi list, który właśnie skończyła pisać.

- Proszę popatrzeć, czy panu pasuje. Ja wyjdę na papierosa, jeśli można.

Otwierając drzwi, odwróciła się i spojrzała mi w oczy.

- Cieszę się, że jestem z panem. Pan rzeczywiście jest królem łajdaków. Chyba mamy jakąś szansę...

I po tym nieoczekiwanym oświadczeniu zamknęła za sobą drzwi. Mastroni dał mi lekkiego kuksańca.

- Nie przejmuj się. To chyba był komplement.

Hirsch, zdumiony, wpatrywał się w drzwi.

- Oj, mamuśka Marilyn ma temperament... Zatkano mnie...

- No... - odpowiedziałem zamyślony. - Wygląda na nietykal ską, a drzemie w niej niespodziewany potencjał...

- Zaliczyła sporo przelatanych godzin - wtrącił Hirsch. Kiwnąłem głową.

- Właśnie. Kiedy byłem młody, chciałem grać w tenisa. Kupiłem superraketę, nowiutki kostium, chodziłem na treningi i tak dalej. Pewnego dnia wróciłem do domu i powiedziałem do ojca: „Ograł mnie facet, który miał dziurawe łapcie na nogach i odrapaną raketę”. Ojciec na to: „Widzisz, synku, jeśli tak wyglądał, znaczy, że bardzo dużo grał. Musisz mieć się na baczności”. Poruszyło mnie to. Nigdy tej lekcji nie zapomniałem.

Rzuciłem okiem na projekt listu Marilyn i dodałem:

- Ten list jest bez zarzutu. Naprawdę ekstra. Wyraża trochę zdziwienia, trochę zakłopotania, jest i chłodny, i jednocześnie serdeczny. Chłopaki, mieliśmy do czynienia z doskonałą firmą, a nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy.

- Tak samo jest, kiedy wracasz od kochanki - mruknął Hirsch.

Podczas gdy stukał w klawiaturę, otworzyłem okno. Wszyscy się spociliśmy i nawet nie zdawali sobie z tego sprawy, więc w niewielkiej sali zaczynało zalatywać kowbojem. Marilyn na pewno poczuła przykry odór wcześniej niż my i dlatego szybko wyszła.

Wciągnąłem wielki haust leśnego powietrza. Trochę wilgotne, trochę pachnące drewnem. Zapach żelu pod prysznic, świeży, łagodzący. Niebo się zachmurzyło. Z miejsca, w którym stałem, mogłem dostrzec tylko połyskiwanie jeziora i świerki, ale ani śladu obecności człowieka.

Gdy znów usiadłem, Mastroni studiował listę personelu. Ten facet to pracoholik. Palcem podkreślił kilka linijek.

- Wiesz, nie masz racji. Możemy porobić oszczędności. Popatrz, cztery osoby w biurze recepcji, cztery. I dwóch kierowców luksusowych samochodów. Co to za typki? Potrzebujemy ich?

- To twój kierowca i mój kierowca! Tak mi się zdaje... Chyba nie wyrzucisz mojego kierowcy?

- A ja? - zajączał Hirsch.

- Ty jeździsz metrem. Wszyscy geniusze żyją w nędzy. Zignorowałem jego zabawne protesty i poklepałem Mastroniego po ramieniu.

- Oczywiście, wywalasz kierowców. I połowę hostess. Zaraz, zaraz, czy my robimy też wędki? Czy tylko haczyki na przynęty?

Mastroni się roześmiał.

- Nawet haczyków nie robimy! Nie wiem, co robimy. Jakiś produkt, i tyle, to może być byle co. Po prostu tamten głupek gadał coś o haczykach, no i wszyscy się napalili na te haczyki, ale w końcu chyba wsadzimy je sobie w tyłek!

- Musimy to urozmaicić. Nawet najlepszy produkt świata, jeśli wytwarzany jest tylko on, nie wytrzymuje trzech lat. Wszystko zbyt szybko idzie naprzód. Trzeba coś wymyślić. Mamy dział rozwojowo-badawczy?

- Co?

- Dział rozwojowo-badawczy. Laboratorium z takimi, co wymyślają różne różności.

- Nie. Wydaje mi się, że nie...

- No to co to jest za buda, ta firma, którą nam wepchnęli? Nie ma możliwości rozwoju, nie można wprowadzić innowacji, nie można nikogo zwolnić, więc co da się zrobić oprócz wyrzucenia hostess i przyjęcia ludzi z dyplomem na miejsce robotników? Sprzedajemy wszystko i przestawiamy się na branżę nieruchomości, co o tym myślicie?

- Może i jest to jakaś opcja - odpowiedział Hirsch. - Oni pewnie chcieli, żebyśmy doszli do takiego wniosku.

Nie wziąłem tego za dowcip. Od samego początku głównym pytaniem było: czego oni od nas chcą? To nie miało nic wspólnego z symulacją czy z *wargame*. Ciągłe jeszcze trwał test. Testowali nas, psy Pawłowa. Prawdopodobnie nie obchodziło ich, czy poprawimy bilans. Może chcieli tylko wystawić na próbę nasze nerwy. Nagle jasna myśl przebiła mrok mojego umysłu. Strzeliłem palcami.

- Hej! Nie myślicie, że nas podglądają? Że gdzieś są kamery? Mikrofony? Oni są do tego zdolni!

Hirsch lekko zbladł. Uderzył w ścianę i powiedział:

- W każdym razie to nie jest lustro weneckie. Kamer nie widzę. Nie da się aż tak ich zminiaturyzować.

Cofnął się i podejrzliwie spojrzął na ekran monitora.

- Jeśli nas obserwują, to przez to.

Mastroni, także pod wpływem ogólnie panującej paranoi, przeciągnął ręką pod stołem i wywrócił krzesła. Jeszcze nachylał się do przodu, gdy rozległa się muzyka, pierwsze dźwięki *Dixie* z dziecięcej pozytywki. To nie mógł być telefon komórkowy: powiedziano nam, że w tej odległej okolicy nie ma przekaźnika i nie dochodzą tu żadne fale. A jednak to, co Mastroni wyciągnął z kieszeni marynarki, bardzo przypominało telefon.

- Nie sądziłem, że tu zadziała - usprawiedliwił się i przyłożył aparat do ucha.

- Jeśli to twoja żona, powiedz, że zaraz wracasz - drwił Hirsch.

- Nie, to nie ona... To... Ktoś powiedział „Pilne” i wyłączył się...

Odsunął słuchawkę od ucha i popatrzył na nią z pełną zdziwienia nieufnością, tak jakby poczuł jakąś śmierdzącą substancję.

- Myślałem, że tu nie ma przekaźnika - powtórzył. Uspokoilem go łagodzącym gestem.

- Żaden kłopot. Niektóre sieci łączą się przez satelitę, nie potrzebują przekaźnika. To dla badaczy poszukiwaczy.

- Ależ to bardzo drogo kosztuje! Sześćdziesiąt franków za minutę!

- No i co z tego? To jakiś problem? Myślisz, że zależy im na sześćdziesięciu frankach? Hirsch, „Pilne”, właśnie tak napisałeś do tamtych, prawda?

Hirsch potwierdził. Dokończyłem myśl:

- Czyli ktoś zauważył, że grzebiemy w sieci.

- Del Rieco! - poderwał się Hirsch. - Jesteśmy spaleni!

To była hipoteza. Dawał nam do zrozumienia, że nas widzi i woli, żebyśmy przestali. Jednak istniała też inna możliwość. Charriac pokazał nam laptop (Bóg jeden wie, jakimi programami naładowany). Niewykluczone, że był w nim i telefon satelitarny.

Dobrze się bawiliśmy, napędzając sobie wzajemnie stracha. Ale należało przejść do rzeczy poważnych. Zagłębiliśmy się w papierach, pracowaliśmy szybko, lecz skrupulatnie. Mastroni rzeczywiście znał wszelkie tajniki sprzedaży. Poprzez Mistrza wysłał kilka wiadomości do najważniejszych klientów. Natomiast w innych dziedzinach nie był mi w najmniejszym stopniu pomocny. Hirsch jeszcze raz przeliczył wszystkie pozycje bilansu i znalazł drobną pomyłkę w składkach ubezpieczeniowych. Potem wytłumaczył Marilyn, która wróciła ze swojego zastrzyku nikotyny, jak wprowadzić dane na arkusz kalkulacyjny. Brigitte Aubert ze swojej misji przyszła z niczym. Del Rieco zamknął się w domku i nie było sposobu, żeby się z nim skontaktować. Przez chwilę kręciła się po sali, po czym wraz z Mastronim zaczęła zastanawiać się nad kampanią promocyjną.

Przed południem doszedł do nas kolejny mail, tym razem z centrali zakupów. Narzekali na nieregularne dostawy. Mastroni przejrzał papiery spedytorów, wysłał faks kwestionujący skargi na naszego konwojenta, i poprosił Mistrza o udostępnienie listy konkurencji. W odpowiedzi otrzymał wykaz czterech przedsiębiorstw transportowych i natychmiast spytał, jakie są ich warunki.

- Proszę o składanie ofert przetargowych?

- Nie. Za dużo przepisów. Nie będziemy się bawić w odklejanie kopert nad parą po to, by je później zalepiać, jak to się zwykle robi. Przeprowadź tylko rozpoznanie. To nic nie kosztuje i do niczego nas nie zobowiązuje.

Pięć minut później sieć supermarketów nawiązała z nami kontakt. Wszystko dokładnie rozważyli i chcieli dwuipółprocentowego rabatu; utrzymywali, że inna ekipa proponowała im trzy procent.

- To chyba żart - zasugerował Hirsch. - Jeśli chcesz, zajrzę do ich systemu, żeby się dowiedzieć,

co naprawdę proponują?

- Nie. Prawda czy kłamstwo, to nic nie zmienia. Oni chcą dwa i pół, a uzasadnienie, jakie podają przez grzeczność, nie ma żadnego znaczenia. Odpowiedz półtora i zobaczymy, czy zareagują. W najgorszym razie zyskamy trochę na czasie.

Brigitte Aubert uniosła głowę, z uśmiechem niedowierzania na ustach.

- Zupełnie jak sprzedawcy dywanów na suku. Macie ochotę na herbatkę miętową?

- Wie pani, w gruncie rzeczy zawsze było tak samo. Tyle że teraz nosimy krawaty zamiast skórzanych kapci. No i całość jest trochę bardziej wyrafinowana. Ale zasada się nie zmieniła. Ja żądam więcej, oni też, i musimy znaleźć na to jakiś sposób. Oni mówią dwanaście, ja trzy, i godzimy się na siedem, o czym wszyscy wiedzieli już od początku. A sześć miesięcy później zaczynamy od nowa.

Około wpół do pierwszej Nathalie osobiście przysłała powiedzieć, że podano obiad. Hirsch złapał ją za ramię.

- Drogie dziecko, czy moglibyśmy dostać telefon?

- A po co?

- No, żeby zatelefonować... Do innych zespołów, na przykład. Wzruszyła jednym, prawym, ramieniem.

- Spytam pana Del Rieco, ale wydaje mi się, że tak. Nie jestem pewna, czy w tej sali jest gniazdko. A co do rozmów z tamtymi, możecie po prostu wejść po schodach...

Mieliśmy tak głębokie przekonanie, że zamknięto nas w czymś w rodzaju łodzi podwodnej, że nawet o tym nie pomyśleliśmy.

- Rozwiązanie proste i doskonałe - stwierdził Mastroni obojętnym głosem.

Wstałem.

- Róbcie, co chcecie, ale ja idę jeść. Nie ma nic gorszego niż hipoglikemia. Już zaczęła czynić spustoszenia.

Obiad był dziwny. Wszyscy rozumieli, że staliśmy się już bezpośrednimi konkurentami. Jednocześnie usiłowaliśmy utrzymać coś z poprzedniej zażyłości, tak przecież względnej. Dokładnie tak jak podczas konkursowego egzaminu, gdy umieszcza się kandydatów w jednej stołówce: solidarni we wspólnym położeniu ofiar machinacji De Wavre International, ale przeciwnicy, wyczuleni na wszystko, co ktoś inny przeoczy, i ostrożni, by samemu się nie zdradzić. To nadawało osobliwy ton rozmowie: półsłówka, niedopowiedziane zdania, zawoalowane aluzje, tłumiona ironia. To była też, co zrozumiałe, parada kłamców: nawet na konferencji prasowej nie wypowiada się tylu łgarstw, ile usłyszałem tamtego dnia.

Ekipa Charriaca w komplecie zeszła do jadalni i zajęła osobny stół. Od czasu do czasu głośno rzucali jakieś zdanie przeznaczone dla nas. Przeważnie jednak szeptali między sobą. Morin zapomniał już o swoich niewybrednych dowcipach; miałem wrażenie, że nie mówi nawet z południowym akcentem. Charriac bezsprzecznie był szefem. Pozostali pochylali się mu do ucha, patrzyli na niego, zanim się odezwali; był w samym środku Ostatniej Wieczery, sztywny, dumny, otoczony dworakami. Brakowało mu tylko aureoli - i może Judasza.

Drugi stół był prawie pusty, siedzieli przy nim tylko Aime Leroy i El Fatawi, obaj z gangu Laurence Carre. Bezceremonialnie usiadłem obok nich.

- Jak leci, harcerzyki?

El Fatawi zrobił niewesołą minę.

- Katorga. Jeśli w tym wyścigu mamy fory, musimy być najlepsi, zważywszy na ciężar, jakim nas obarczyli. W dodatku mamy problemy organizacyjne. Może udzieliliby pan nam drobnej konsultacji?

Na brzegu talerza uformowałem małą kupkę tartej marchewki, obok położyłem dwa plastry górskiej szynki.

- Ale ja jestem drogi, wie pan...

- Cena nie gra roli, tak czy owak nie zapłacimy panu. - Gest zawodu. - Nie płacimy składek na ubezpieczenie, nie płacimy podatków, nie płacimy naszym dostawcom... Natomiast jeśli chciałby pan obietnic, mamy ich w nadmiarze.

- Aż do tego stopnia?

- Nie. Jest jeszcze gorzej. Leroy, proszę mi podać butelkę, wypiję sobie na pocieszenie.

- Muzułmanie nie piją alkoholu - zauważył Aime Leroy.

- Nie. A katolicy nie kłamią, nie zabijają, odpuszczają winy i nie robią nic, aby się wzbogacić.

Proszę podać mi butelkę.

Wszedł Hirsch, usiadł obok mnie i, Bóg jeden wie dlaczego, wziął na zapas pięć czy sześć kromek chleba, które położył przy kieliszku. Może obawiał się racjonowania.

- Co się dzieje? - spytał.

- Nic. Przedstawiają nam skecz z Dziedzińca Cudów. Chalamont dołączył do naszego stołu. Rozwijał serwetkę, gdy El Fatawi dopytywał się o Laurence. Chalamont odpowiedział, że jeszcze pracuje.

Zabraliśmy się do jedzenia spaghetti bolognese, gdy przysiedli się do nas z kolei dwaj ostatni członkowie ekipy Carre; wkrótce za nimi pojawili się Mastroni i Brigitte Aubert. Zajęli stół czteroosobowy. Rozmawiali o pogodzie, nie do przewidzenia w górach, o deszczu, który może padać. My także szukaliśmy jakiegoś bezpiecznego tematu, gdy El Fatawi westchnął.

- W dodatku produkujemy haczyki do wędek! Kompletna bzdura! Co za kretyn wpadł na taki pomysł?

- Ten kretyn to ja - rzucił Pinetti od sąsiedniego stołu. Dowód, że nie uronił ani słówka z naszej pogawędki.

- Przepraszam - wymamrotał El Fatawi bez przekonania.

- Szukałem produktu, którego technologia byłaby dla wszystkich dostępna - przechwalał się Pinetti. - Żeby nie działać na waszą niekorzyść. Powinniście mi dziękować.

El Fatawi nie miał najmniejszej ochoty na kłótnię. Uniósł miękko rękę.

- No dobrze, dziękujemy.

Ale Pinetti wgrzyzał się kłami w sam miąższ i drażył dalej.

- No jak tam, podobno jesteście w rozsypce, jak mi mówiono... Przez półtorej godziny decydowaliście, kto pokieruje firmą, i ciągle nie możecie dojść do porozumienia?

Nie zdążyłem zastanowić się, skąd to wie. Laurence Carre nadeszła ostatnia. Była bledsza niż poprzedniego dnia, niewielka bruzda lekko rozciągała jej usta. Zawahała się chwilę, popatrzyła na jedyne wolne miejsce naprzeciw Charriaca, po czym usiadła tam z ponurą miną. Charriac skłonił się uprzejmie.

- Droga pani, wygląda pani na zmęczoną... proszę się rozluźnić. Może troszeczkę wina?

Odmówiła ruchem głowy.

- Niech pani sobie wyobrazi - mówił dalej Charriac - że mój znamienity współpracownik Pinetti właśnie przekomarzał się z pani ludźmi. Dowiedział się, nie wiem skąd, że miała pani drobne

trudności organizacyjne...

- Z gazety - wtrącił Morin. - To było w gazecie.

- ...a ten głupek myśli, że to mogłoby zaszkodzić waszej skuteczności. Co za niedorzeczność.

Proszę pomyśleć o *major companies*: personel bezustannie wzajemnie się wykańcza, rzucają sobie kłody pod nogi i wszystko gra.

- Proszę się zająć swoimi sprawami, panie Charriac - odparowała Laurence Carre. - Zaczynacie dopiero kiełkować.

Wyczuwało się w jej głosie jednocześnie zmęczenie i energię, która je zwalczała. Ta kobieta nie rezygnowała tak łatwo. Charriac klepnął się po udzie.

- Kiełkować! Dobrze sobie! Mam nadzieję, że tak! Myślę, że moje plany przypadną wam do gustu.

Laurence odwróciła głowę, jej spojrzenie spotkało się z moim. Nie prosiła o pomoc, ale jej smutek wzbudzał litość. Czyżby już przegrywała w tej grze? A może, co się zdarza, była po prostu zmęczona po nieprzespanej nocy? Ledwo dostrzegalnym ruchem brody Hirsch wskazał Charriaca i szepnął mi dokładnie to samo, co Laurence Carre poprzedniego dnia:

- Ten typak ma w sobie coś, co mi się nie podoba.

W pozornie nieuważnym spojrzeniu El Fatawiego ujrzałem niby przypadkowy błysk; zrozumiałem, że słyszał i aprobuje. Kelner spytał, czy może już sprzątać ze stołu, ale otrzymał tylko oschłą odpowiedź Charriaca:

- Nie, nie, poczekamy na panią Carre...

Marilyn rozpaczliwie usiłowała ożywić zamierającą rozmowę:

- W górach najgorsze są burze...

Charriac, którego rozbiegane oczy nie przestawały bacznie obserwować całej sali, skorzystał z okazji:

- Burza chyba właśnie nadchodzi... Pioruny i błyskawice... Ale widzi pani, ja to lubię! Nigdy nie wiadomo, w kogo trafi piorun, to bardzo zabawne...

Hirsch zdobył się na kiepską replikę:

- Widziałem nawet zmoknięte zraszacze. Charriac z powagą skinął głową.

- Zgadza się. Ale to dlatego, że ktoś nadepnął na rurkę. Tutaj nikt nie jest do tego zdolny, prawda?

Uznałem, że najwyższy czas interweniować.

- Oczywiście, że nie. Jeśliby tak było, wszyscy sprzymierzili by się przeciw tej osobie. A przecież nikt tego nie chce. To byłaby pozycja... raczej niewygodna...

Popatrzyłem prosto w szare oczy Charriaca. Nie odwrócił wzroku; jego bezbarwne spojrzenie się wyostrzyło.

Przyglądał mi się przez chwilę, zaczął bawić się widelcem, udawał obojętność i mówił do obrusa.

- Powiedzmy, że ktoś próbuje oszukiwać. Usiłuje na przykład, to czysta hipoteza, zobaczyć, co się dzieje w komputerach innych zespołów. Och, nie ma tu sędziów, nie ma policji, żadnych trybunałów handlowych... Ale taka postawa byłaby zupełnie nie na miejscu... Co więcej, naiwna. Bo na przykład w naszym zespole jest najlepszy światowy specjalista informatyk: tu obecny nasz przyjaciel Delval.

Skierował kciuk w stronę faceta z drużyny Morina, tak nierzucającego się w oczy, że go dotąd nie zauważyłem.

- On właśnie byłby zdolny, w odwecie, zaszczerpić napastnikowi jakiegoś, nie wiem jakiego, wirusa. I zrobiłby się z tego niezły bałagan. A przecież to nie jest wojna! Nasze interesy są zbieżne!

Nasz wspólny Mistrz, przynajmniej przez ten tydzień, czcigodny Del Rieco, odpowiednio to sprecyzował: wezmą wszystkich dobrych. Jako że wszyscy jesteśmy dobrzy, powinniśmy sobie wzajemnie pomagać, a nie dokuczać...

Chciałem odpowiedzieć, ale Laurence Carre mnie uprzedziła.

- ...oświadczył wilk, dysząc nad domkiem małych świnek - dokończyła.

Słyszając to, Charriac uśmiechnął się łakomie. Popatrzył na nią jak kot przyglądający się rybce w akwarium.

- Droga pani, nie wie pani, jak wielką sprawia mi przykrość. Zawsze byłem wobec pani uprzejmy, lojalny, bez zarzutu, a pani mnie nie lubi. Tak, tak, dobrze widzę, pani mnie nie lubi! Niech pani posłucha chociaż głosu rozsądku, jeśli głos serca jest ochrypły!

Pochylając się nad stołem, zrobił gest, jakby chciał wziąć ją za rękę.

- Dlaczego? - zajęczał komicznie. - Dlaczego pani mnie nie lubi?

Członkowie jego gangu śmieli się, zachwyceni. Inni milczeli, mimo woli poruszeni tą sceną. Laurence, być może podniesiona na duchu po spożyciu mięsnych protein, łagodnie zabrała rękę.

- Chce pan, żebym panu powiedziała? No to powiem. Należałam do pańskiego świata, panie Charriac. Świata, z którego pan po chodzi. W którym ciągle pan żyje. Dosiadałam waszych kucyków, kąpałam się w waszych basenach, umierałam z nudów w Gers czy Luberon, piłam waszego wieloletniego szampana, podawanego przez kelnera emigranta, zabieraliście mnie do Wenecji na wasze zjazdy. Miałam to wszystko, tak jak pan. Ale pewnego dnia mnie wyrzucono. Wtedy zobaczyłam ten wasz świat z zewnątrz. Jest twardy, brutalny, zakłamany i fałszywy; nienawidzę go. Charriac próbował ją powstrzymać.

- Droga pani... Ktoś panią popchnął, pani upadła i zabolęła panią, to normalne. Ale my panią postawimy na nogi i szybko zapomni pani o bólu...

- Ale ja nie chcę! - krzyknęła z wściekłością. - Stało się, dziękuję, wystarczy! Nie interesuje mnie widok trzech kontrolerów finansowych, kłócących się o miliardy, zostawiających na lodzie tysiąc biedaków, którzy nic z tego nie pojmują!

Charriac rozłożył ręce.

- Mój Boże, syndykalistka!

- Nie, panie Charriac, nie! W to też już nie wierzę. To po prostu...

Przerwał jej.

- Mogę zadać pani jedno pytanie?

Pozwoliła szybkim ruchem głowy. Obok mnie Hirsch opierał się łokciami na stole i głaskał się po wardze koniuszkiem kciuka. Ja też byłem ciekawy, dokąd to wszystko nas zaprowadzi.

- Oto moje pytanie - powiedział powoli Charriac. A po chwili podniósł głos i prawie krzyknął:

- W takim razie, na litość boską, co pani tu robi?

- A pan, panie Charriac? - odpowiedziała tym samym tonem. - A pan? Pana też wywalili? Nie, nie sądzę: pan za bardzo jest do nich podobny, wręcz taki sam jak oni wszyscy. Pan jest w ich obozie. Do jakiego stopnia, panie Charriac?

Przełknął ślinę, zbity z tropu.

- Chwileczkę, o co właściwie pani mnie oskarża? Nie pamiętam...

Laurence nie odpuszczała.

- Każdy z nas tutaj chce tej pracy, którą być może dostanie, i umiera ze strachu; tylko dwie osoby są spokojne, udają dowcipnych, drocą się ze wszystkimi i wszystko wiedzą: Del Rieco i pan. Ja

dodają jeden plus jeden, ciekawe, wychodzi dwa.

Charriac miał minę szczerze zakłopotaną.

- Chwileczkę - powtórzył. - Pani myśli, że ja pracuję dla nich? Że jestem tu po to, żeby was szpiegować? Dodatkowy test? Bzdura!

Teraz Laurence z kolei pochyliła się ku niemu, jak podczas meczu bokserskiego.

- Wie pan co, oni wiedzą wszystko, nie można mrugnąć, żeby się o tym nie dowiedzieli. Nie jadają z nami, nie siedzą z nami w biurach i nie ma kamer. No więc?

Charriac się uspokoił. Już jej nie słuchał; myślał. Albo był doskonałym aktorem, albo reagował zadziwiająco szybko.

- Zdrajca? - wycedził. - Możecie myśleć, co chcecie, ale ja wiem, że to nie ja... To znaczy, że w każdym zespole umieścili jednego...

- Niech pan skończy z tymi głupotami, panie Charriac! - krzyknęła Laurence. - Nie uda się panu wyprowadzić nas z równowagi. Cóż to, jakaś nowa gra? Chodzi o to, żebyśmy się wzajemnie podejrzewali? Jest tu tylko jeden zdrajca, pan!

Patrzył na nią już bez ironii, która nagle się gdzieś ulotniła.

- Albo pani. To byłby niezły numer...

Nikt się nie spodziewał, że Chalamont, czerwony grubasek, zdecydowanie położy kres tej rozgrywce:

- Zaraz, zaraz, o co wam chodzi? Chcecie zrobić z nas wariatów? Zdrajca na każdym kroku? To ma być selekcja czy może szkolenie CIA?

- Pani Carre wysunęła hipotezę, której nie można tak z miejsca odrzucić - odparł powoli Charriac. - Ale nie można też uznać jej za wiążącą.

Zwrócił się do Laurence.

- Niech pani sobie myśli, co pani chce - ciągnął. - Ja też zostałem „wywalony”, jak to pani elegancko określa. To się zdarza nawet najlepszym. Zbieg okoliczności. Ja jednak jeszcze wsiądę do tego pociągu. I to już. Wiszę na drzwiach i tuż obok mam schodki do wagonu. Jeśli bawi was pozostanie na peronie i wegetacja, to wasz problem. Ja chcę tam wrócić. I jeżeli mamy tu zdrajcę, niech idzie i opowie to wszystko panu Del Rieco. To nie jest deklaracja zasad.

- A jeżeli trzeba mnie zabić, pan mnie zabije, wiem o tym - dokończyła Laurence nieprzyjemnym tonem.

- Otóż to. Bo ja nie jestem ani zmęczony, ani zniechęcony. I mam jeszcze chęć na te winogrona, które dla was są zbyt niedojrzałe. Rozsmakowałem się w nich. Jeśli wśród nas jest ktoś, kto woli mieszkać w M-2 na przedmieściu, wstawać o piątej rano i RER-em jechać do pomocy społecznej po odbiór zapomogi, niech wstanie i to powie. W ten sposób szybko znajdziemy szpiega.

Kelner wniósł desery, gruszki Piękna Helena. Morin odzyskał werwę i zaczął opowiadać kawał, bardziej banalny niż wulgarny. Hirsch z ustami pełnymi czekolady zdołał wyartykułować:

- Pouczające...

Po południu symulacja nabrała rozpędu. Maile od Mistrza, coraz częstsze, piętrzyły drobne wydarzenia, stawiając przed nami po kolei klasyczne utrudnienia, którym cała ekipa kierownicza musi stawić czoło. Nie było poważnych problemów strategicznych, jedynie seria incydentów taktycznych. Kilka powikłanych spraw z różnymi zarządami, co kazało mi wątpić w wiarygodność takiego modelu zarządzania: w ostatnich czasach dyrekcje zrobiły duży postęp, działy łączności z klientem funkcjonują o wiele szybciej, świeżo zatrudnieni młodzi ludzie są bardziej zdecydowani,

choć jeszcze trochę obezwładnieni lawiną ogólnych przepisów, niejasnych i nieraz sprzecznych. Trochę trudności z klientelą, po prostu psychologiczny przegląd, jak zazwyczaj, wszystkich typów: roztargniony, skrupulatny, blagier, nieśmiały, piniacz, bezceremonialny; drobni dystrybutorzy prezentowali całą gamę pospolitych patologii. Parę technicznych niezbyt oryginalnych wpadek, począwszy od awarii maszyny, po zepsuty transporter przy bardzo ważnym kontrakcie, i wreszcie żądania personelu, niezadowolonego z terminu urlopów. Każdy taki problem wywołuje zaniepokojenie dyrekcji. Mój sztab pokonał przeszkody ze spokojem i skutecznie, ani na chwilę nie tracąc poczucia humoru. Raz czy dwa razy wywiązała się krótka dyskusja, ale wszystkie decyzje podejmowane były w końcu jednogłośnie. Tryby się kręciły. Sądzę, że udało nam się dać wyważone odpowiedzi, zgodne z oczekiwaniami Del Rieco; byłem właściwie zadowolony z naszej pracy. Wieczorem zostały nam jeszcze dwie czy trzy rozpoczęte sprawy, a dalszy ciąg zapowiadał się dobrze. Hirsch przygotował plan rozłożenia na raty naszych pożyczek, czekaliśmy więc na reakcję banku, Brigitte Aubert odesłała do wydziału spraw spornych dwóch mściwych klientów, Marilyn pisała listy przerażająco dwuznaczne, a Mastroni, zajmując się jednocześnie sprawami handlowymi i produkcją, był zaabsorbowany innowacją technologiczną. Po zimnym prysznicu aluzji Charriaca nie ryzykowaliśmy już piractwa. Wyzwoliliśmy się od obłędu, który ogarnął nas przy obiedzie. Najwyraźniej chcieli po prostu się dowiedzieć, czy mamy wprawę w zwyczajnym zarządzaniu; nie udało mi się wykryć najdrobniejszej pułapki w zlecanych nam zadaniach.

W czasie kolacji atmosfera była bardziej swobodna niż przy obiedzie. Wiedzieliśmy już, o co chodzi panu Del Rieco, więc nie mieliśmy powodów do niepokoju. Pomyślałem, że organizatorzy mogliby jednym słowem rozładować niedobre nastroje, które o mało nie zapanowały na stałe, gdyby okazali się bardziej precyzyjni w określeniu celu i reguł gry. Gdyby, tak jak na stażach szkoleniowych, na końcu miała być wystawiona ocena, nie omieszkałbym im tego powiedzieć. Ale Del Rieco ukrywał się; przez całą dobę go nie widzieliśmy. Nie pokazali się też Nathalie ani jego asystent - zastanawiałem się zresztą, do czego mu asystent: nikt nie słyszał nawet dźwięku jego głosu.

Podczas posiłku zespoły się nie rozdzielały. Każdy zawsze siadał przy tym samym stole. Zamiast dwóch stołów sześciuosobowych i jednego czterosobowego był teraz jeden sześć - i dwa pięciosobowe. To szczegół. Taki jednak szczegół, którego nigdy nie lekceważę. Zupełnie spontanicznie obserwuję, jak ludzie roztasowują się w przestrzeni, jakie podprogowe sygnały sobie przekazują, niemal niezauważalne drobiazgi, które składają się na ogólne wrażenie. Nasze zmysły je rejestrują, podświadomie analizują i w końcu powstaje osąd, którego nie potrafimy uzasadnić, a który zawsze okazuje się właściwy. Miałem niewielką przewagę nad innymi: potrafię wyłapać jakiś niuans, gest, wiem, co oznaczają, wiem, że nasze ciało zdradza nas na każdym kroku i że wystarczy po prostu patrzeć.

Tak samo odgłosy rozmowy świadczą o stanie ducha grupy. Nie treść rozmów, a ich echo, melodia słów. W naszym przypadku była powolna, łagodna, spokojna, świadczyła o odprężeniu po męczącym dniu. Żadnych ataków instrumentów dętych ani wzniosłych tonów trąb jak przy obiedzie. Zrelaksowane ciało - wygładzone rysy twarzy, wyciągnięte nogi, rozluźnione ramiona - świadczyło o odpoczynku wojowników. Nikt nie przygotowywał się do ataku, słychać było tylko jakby szmer silnika na zwolnionych obrotach.

Po kawie wyszedłem na rytualny spacer nad jeziorem. Słońce wciąż chowało się za chmurami, lekki wietrzyk poruszał igłami świerków. Przed budynkiem Marilyn paliła papierosa. Hirsch został w barze, rozgrywał partię szachów z Delvalem, informatykiem Charriaca. Może próbowali ulepszyć

Deep Blue, komputerowego asa w tej specjalności.

Przy pomocy Laurence Carre była już na posterunku; siedziała na swojej skale, w długiej sukni rozpostartej wokół. Oparłem się o jeden z pali.

- Powie mi pani, żebym pilnował swoich spraw, ale naprawdę wygląda pani na zmęczoną...

Wzięła głęboki oddech.

- W południe dostałam wiadomość z domu, dlatego spóźniłam się na obiad. Takie tam drobne problemy. To nie sprzyja koncentracji. Więc wyładowałam się na Charriacu. Tym gorzej dla niego.

- Miałem szczęście, że nie znalazłem się na linii strzału... Uśmiechnęła się.

- Tak. Ale pan by tego nie zrobił.

- Chciał panią przetestować...

- Oczywiście. Del Rieco stara się nas przetestować, nagle wszyscy chcą wszystkich testować. To trochę męczące, prawda? Nie usadziłam go od razu, bo nie czuję się za bardzo na siłach. Stres. Wiele się tego nagromadziło, rozumie pan?

Nie podjąłem tematu. Jeśli ma ochotę opowiedzieć mi o swoich osobistych kłopotach, niech to zrobi sama z siebie. Nie interesuje mnie to tak bardzo, żebym aż nalegał. Żywiłem dla niej sporo sympatii, nawet trochę podziwu, że tak dobrze znosi tę sytuację, ale nie zapominałem, nigdy nie zapominałem, po co tu jesteśmy. Ta obsesja przyćmiewała wszystko inne. Przyznaję, była piękna, jeszcze bardziej teraz, gdy mrok zacierał jej bladość. A jednak, co ciekawe, hormony mi się nie burzyły. Nie patrzyłem ani na jej piersi, ani na biodra; gdybym zamknął oczy, nie potrafiłbym ich opisać.

Spojrzała na las.

- Wyjątkowo ciemny wieczór. Dzisiaj jeszcze nie dowiemy się, co nas czeka na końcu drogi.

- Pani nie dotrzymuje obietnic...

- Wiem. Dlatego nigdy niczego nie obiecuję.

Leniwie się przeciągnąłem, omal nie ziewnąłem.

- Ja wiem, co jest na końcu drogi.

- Co takiego?

- Następna droga. A potem jeszcze jedna.

- I tak bez końca?

- Tak. Kiedy się nią pójdzie, wróci się do punktu wyjścia.

- No to zostajemy tutaj - zdecydowała. - Co to? Haiku?

- Nie. Haiku ma pobudzić do refleksji. A poczucie marności wręcz przeciwnie, przeszkadza refleksji.

Zamruczała z rozbawieniem.

- To nic takiego. Troszeczkę prozaku i wszystko minie.

Nasz ospały dialog został przerwany przez Charriaca. Nie słyszeliśmy, jak się zbliżał. Nagle stanął między nami. Ciągle miał na sobie garnitur i krawat, niestosowne w dzikiej przyrodzie.

- Witam zakochanych! - zatrąbił.

Laurence popatrzyła na niego z obrzydzeniem i zdumieniem zarazem, tak jakby znalazła robaka w zupie. Jej reakcja wydała mi się przesadna. Dlaczego aż tak go nienawidzi? Dlatego, że popełnił nietakt i zaatakował ją, gdy starała się przemyśleć rodzinne problemy? A może chodzi o coś innego?

Zrobił taneczny krok, podśpiewując refren: *square dances - and we change... partners* - słowa i muzykę.

- Niech pan spada, panie Charriac - burknęła oschle Laurence.

Zlekceważył ją, oparł się o sąsiedni pal i przyjął tę samą pozycję co ja.

- Nie, nie. Mam wam coś do powiedzenia. Zauważyliście chyba, że dostaliśmy dzisiaj przystawkę. Co ja mówię, orzeszki do aperitif! Chcą nas wzmocnić. Rozgrzewka. Teraz, kiedy jesteśmy przekonani, że wszystko gra, zaczną się prawdziwe problemy.

Laurence westchnęła z irytacją. I gwałtownie go zaatakowała.

- Dlaczego pan wierci nam dziurę w brzuchu? Czego pan chce? Wyprowadzić nas z równowagi? Napędzić nam stracha? Nie rozumiem pana, panie Charriac. Siedzi w panu Dracula?

- Nie tylko mnie pani nie rozumie - odparł. - Pani nic nie rozumie, to beznadziejna sprawa! Carceville za to rozumie. Otóż ja pani wytłumaczę. Wszystko, co dotychczas zrobiliśmy, mogliśmy zrobić w Paryżu. Sprowadzili nas tutaj tylko po to, by sprawdzić, jacy jesteśmy w grupie, gdy stajemy naprzeciw sobie. A więc, słucha mnie pani?...a więc coś się wydarzy. Coś, co nieodwracalnie nas sobie przeciwstawi. Zgadza się, Carceville?

- Możliwe.

- Prawdopodobne. Pewne. Dotychczas, w tej symulacji, nie jesteśmy konkurentami... Spokojnie kierujemy naszymi sklepikami, tyle. To bez sensu. Oni chcą, żebyśmy się pozabijali. I do tego doprowadzą.

Laurence znów westchnęła.

- Panie Charriac, panu w głowie tylko krew i zabójstwa! Kim pan był w cywilu, seryjnym mordercą?

Zrobił krok w jej stronę i przystanął, podnosząc ręce.

- Zna pani takie tajskie przysłowie: kiedy ktoś mówi prawdę, daj mu dobrego konia, będzie musiał uciekać. Gdzie jest mój koń? Proszę pomyśleć: jaki w tym cel? Chcą się dowiedzieć, czy jesteśmy dobrymi żołnierzami, czy potrafimy utworzyć zespół, który bez szemrania zmasakruje konkurencję. Pozwolili nam zadzierzgnąć więzy między sobą, zaprzyjaźnić się, a niebawem będziemy musieli strzelać do kolegów. Pani poznała ten świat, świat, do którego można wrócić, sama pani tak powiedziała dziś rano. I że był twardy, bezlitosny. To prawda. Nie ma wystarczająco dużo pieniędzy dla wszystkich, a każdy chce więcej niż inni. Świat psów. Kiedy chce pani sprawdzić, czy ma pani pudła czy dobermana, co pani robi? Zostawia go pani samego w budzie? Czy rzuca pani psom kość i patrzy, co się dzieje? Agresja Laurence osłabia.

- Do czego pan zmierza? - spytała już mniej pewnym głosem.

- Do tego. Przypuszczam, że pani przeanalizowała rynek. Jeśli nie, niech pani idzie grać w piłkarzyki, nie ma tu dla pani miejsca. Jaki z tego wniosek? Czy długo mogą współistnieć trzy firmy?

- Nie - przyznałem. Wyczuł w tym zachętę.

- No właśnie. Więc jedna z trzech musi zniknąć. Jutro wieczorem będą już tylko dwie. A my przyjdziemy tu na pomost machać mokrymi od łez chusteczkami tym, którzy odpływają. Nie wiem, jak się do tego zaborą, ale to nieuniknione. Zgadza się, panie Carceville?

W jego rozumowaniu nie było najmniejszej luki. Zgodziłem się.

Zatarł ręce.

- Świetnie. Posuwamy się do przodu. W naukach politycznych, bo ja oczywiście skończyłem też ekonomię polityczną, istnieje teoria, która nigdy nie zawiodła. Kiedy jest trzech partnerów, zawsze dwóch sprzymierza się przeciw trzeciemu. Alianse mogą się zmieniać, ale reguła pozostaje: trzy równa się dwóch przeciw jednemu. No i mamy teraz piękne drzewo hipotez.

- Męczy mnie pan, panie Charriac - powiedziała cicho Laurence.

W rzeczywistości bardzo uważnie go słuchała. Przykucnął na ziemi, rysując palcem linię.

- Pierwsza możliwość: Carceville sprzymierza się ze mną i panią usuwamy. My obaj rozgrywamy finał. To najbardziej logiczne. Pani zapewne próbuje to skontrolować tym niestosownym flirtem.

- Panie Charriac, pan jest chory - stwierdziła Laurence. Nawet jej nie usłyszał.

- Druga: pani Carre sprzymierza się ze mną. Sprzątamy Carceville'a. Tę hipotezę należy zgłębić.

Nie mam w tym specjalnego interesu, bo mógłbym to zrobić sam. Jednak uniemożliwiam wtedy hipotezę trzecią i walka staje się zdecydowanie łatwiejsza. To sprzyjająca okoliczność, której nie mogę lekceważyć. Droga pani, powinna pani o tym pomyśleć. Trzecia...

- Carceville i ja przeciw panu - dokończyła Laurence. Charriac uniósł głowę i się uśmiechnął.

- No, widzi pani, że panią zainteresowałem... Rzeczywiście, trzecia możliwość to wy dwoje przeciw mnie. To na pewno sytuacja najbardziej zrównoważona. Nie z racji naszych, obustronnych, zalet, nie chcę teraz ich oceniać, ale wystarczy spojrzeć na bilanse i nasze pozycje na rynku. Kiedy gramy w szachy, patrzymy na szachownicę, a nie na przeciwnika, który stara się wywrzeć na nas wrażenie. Tylko że...

Podniósł się, wytarł palec drugą ręką.

- ...jeśli to zrobimy, od razu jesteśmy w finale. I jeśli dojrzę choć cień porozumienia między wami, będę musiał was zaatakować. Widzicie, postępuję tak jak NATO, uprzedzam. I będzie jak w Kosowie: spustoszenie i wszyscy przegrają. Całujcie się, ile tylko chcecie, tu nad jeziorem, ale mnie nie tykajcie. To chciałem wam powiedzieć.

Laurence Carre patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Pan jest niesamowity, panie Charriac! Uśmiechnął się do niej, nie odsłaniając zębów.

- Nadal nie rozumiem pani niechęci do mnie. Może przypominam pani kogoś, kto się pani nie podobał? Tu nie ma miejsca na sentymenty, pani Carre. Ani pozytywne, ani negatywne. Tylko we Francji widuje się coś takiego: faceci, którzy osobiste spory rozwiązują poprzez publiczne oferty kupna. Miłość, nienawiść, przyjaźń można uzewnętrznić wyłącznie we własnym domu. A tu jesteśmy maszynami. Nikt nie będzie wam wdzięczny za to, że macie serce. Płacą za to, że macie mózg. Kupują waszą inteligencję, nic innego. Nie życzę wam źle. Nie życzę wam dobrze. Patrzę na szachownicę. I na pieniądze, które leżą w każdym jej polu. Nawet nie wiem, czy za nimi ktoś stoi.

Odwrócił się do mnie i przycisnął palec wskazujący do mojej piersi.

- Ale pan zrozumiał. Niech pan jej wytłumaczy. Mam też drugi komunikat: jeśli jedno z was chce trzymać ze mną, proszę bardzo. To wasz interes i mój. Mądrej głowie...

Pochylił się, parodiując głęboki ukłon, i dokończył:

- Mam nadzieję, że nie zepsułem państwu wieczoru. Życzę dobrej nocy.

I odszedł, pogwizdując. Laurence przymknęła oczy.

- Zaczyna się - szepnęła. - Stwarzają taką atmosferę, by wszyscy podejrzewali wszystkich, by przez cały czas człowiek się zastanawiał, co tamci zamierzają. Myśli pan, że chcą nas złamać? Nie mogę wyzbyć się myśli, że Charriac trzyma z nimi. Wywiera na nas presję, gdy tylko może. Ja naprawdę go nie lubię. Jest taki... podstępny. I ta pyszałkowata mina... Ciągłe chce pouczać... Obrzydliwe.

- Jest inteligentny - powiedziałem.

- Nie. Przebiegły.

- Nie. Jest inteligentny. Ale nie za bardzo. Istnieje jeszcze czwarta hipoteza. Ciekawe, że jej nie

wysunął.

- Jaka?

- Wszystkie trzy ekipy przeciw Del Rieco. Czytała pani książkę *Morderca mieszka pod 21*? Na końcu okazuje się, że wszyscy podejrzani są ze sobą sprzymierzeni. Jeśli się połączymy, może uda nam się rozwalić jego system. Jesteśmy trzema producentami, nie ma nikogo innego. Jeśli wszyscy troje mamy taką samą pozycję, co on może zrobić?

Podskoczyła, nagle pełna wigoru.

- Świetna myśl. Zaproponuje mu to pan?

- Tak. Jeśli pani się zgadza.

- Doskonale. Jeśli odmówi, to znaczy, że mam rację i że trzyma z Del Rieco. Niech pan idzie od razu. Czekam tutaj.

Odradziłem jej to. Zerwał się wiatr, wilgotna i chłodna mgiełka spowiła jezioro. Tak jak stan naszego ducha, pogoda zmieniła się w kilka minut. Idąc alejką, musiałem pozbyć się uczucia niepokoju.

Spodziewałem się nawet, że za chwilę ujrzę wyłaniającą się zza świerka czarownicę i złośliwego, robiącego okropne miny duszka. Otaczające nas góry robiły wrażenie, jakby się pochylały, by czuwać nad jeziorem i chronić jego uroki. Światła hotelu na chwilę mnie uspokoiły, ale zacząłem się zastanawiać, kto mógł wpaść na pomysł zbudowania zajazdu na tak trudno dostępnej wyspie. Nie było tu śladu zwykłych gości hotelowych. A jednak hotel był wyposażony we wszystko, czego tylko można oczekiwać. Jak już o tym pomyślałem, to poproszę też o bilans tego interesu. Jeśli oczywiście natknę się na jakiegoś kierownika czy kogoś w tym rodzaju. Dotychczas widzieliśmy kelnera i włoskiego przewoźnika, nikogo innego. A przecież musi tu ktoś pracować w kuchni, pokojówki... Gdzie oni są? Dlaczego nigdy ich nie słychać?

Byliśmy w pół drogi, gdy zaczęło padać. Najpierw wielkie rzadkie krople, ciężkie jak kule, potem przeszywający całe ciało grzechot. Chwyciłem Laurence za łokieć i razem pobiegliśmy ostatnie metry. Zostawiłem ją w holu, gdy próbowała rękami wyżąć ociekające wodą włosy.

Spotkanie z Charriakiem podobne było do filmowego horroru. Z minami konspiratorów ukryliśmy się w jego pokoju, na drugim piętrze, on siedział na łóżku, ja na jedynym krześle, podczas gdy burza waliła w dach, punktując każde zdanie dudnieniem bębna. Charriac zostawił zapaloną nocną lampkę, ale jej światło było niczym wobec błyskawic, które przez niewielkie okno jak stroboskop rozświetlały nasze twarze i rzeźbiły na nich blade bruzdy. Ciągle jestem przekonany, że w innym klimacie sprawy wyglądałyby zupełnie inaczej: zamknięci w klimatyzowanych, sztucznie oświetlonych pomieszczeniach, straciliśmy zdolność odczuwania wrażeń wywołanych przez żywioły. Kiedy szaleją, wpływają na funkcje najgłębszych pokładów kory mózgowej i zmieniają nasze reakcje.

Charriac robił, co mógł, żeby nie brać tego pod uwagę, sztywny jak imitacja robota, z niezmiennym półuśmiechem przyklepionym do ust.

- Dziwi mnie to - powiedział. - Pańska postawa nie jest racjonalna. Pan jest rozdrażniony, bo wodzą pana za nos, a pan tego nie lubi. Ale to nie jest mecz my - Del Rieco. To mecz my - De Wavre, ogromna potęga. Del Rieco jest tu tylko cerberem, najemnikiem. Organ wykonawczy. Postępuje tak, jak wymaga tego program. Nie rozumiem, jaki mielibyśmy interes, żeby wchodzić z nim w konflikt. Natomiast doskonale widzę nasze szanse na wygraną: żadne.

- Niech pan zmieni pozycję.

- Słucham?

- Niech się pan przestawi. Widzi pan sytuację pod niedobrym kątem. Pan jest graczem szachowym, prawda?

Napuszył się.

- Och, skromnym amatorem...

- Jeśli wie pan dokładnie, jaki będzie następny ruch przeciwnika, to ma pan przecież przewagę.

- Znaczną.

- To właśnie panu proponuję. Zbierzmy razem nasze informacje. Jeśli dowiemy się, co knuje Del Rieco, sprawa będzie o wiele łatwiejsza.

- Ale jaką mam gwarancję, że pan nie zachowa dla siebie tej jedynej, najważniejszej informacji? Ja panu daję wszystko, co mam, a pan mi się odwzajemnia okrucami tego, co pan ma: jak to sprawdzić?

- Zaufanie, Charriac. Wszelkie relacje zawodowe opierają się na zaufaniu. Jest pan przekonany, że pański bankier nie ulotni się z pańskimi pieniędzmi. Co jest gwarancją? Pewność, że gdyby pan choć przez sekundę w to wątpił, cały system by się zawalił.

Z opuszczoną głową przez chwilę rozważał moją teorię.

- To działa w skali makroekonomicznej. Nie sprawdzam się jednak w mikroekonomicznej. Mam zaufanie do banku, bo może przetrwać tylko wtedy, kiedy wszyscy mają do niego zaufanie. I bank o tym wie. Jeśli da mi choć najmniejszy powód do nieufności, przestanie istnieć. Zażyczę sobie olbrzymiej premii za ryzyko i bank się nie utrzyma. A jeśli pan, panie Carceville, wystrychnie mnie na dudka, to co mogę zrobić?

- A co by pan zrobił w normalnych warunkach?

- Są reguły prawne. Umowy. Sankcje karne. Wzruszyłem ramionami.

- Panie Charriac, to fikcja. Na papierze. Reguły prawne, umowy, czeki, banknoty? Papiery. Papierowe zaufanie. Nawet nie: cyfry w kodzie binarnym, w komputerze. To jak religia: wszystko gra tylko dlatego, że ludzie w to wierzą. Wystarczy wyłączyć prąd i wszystko się wali. Moglibyśmy spróbować wyłączyć prąd panu Del Rieco.

Charriac wstał, ręce włożył do kieszeni, poobijał się o sprzęty i usiadł.

- Nie. Jeśli ktoś nie gra zgodnie z zasadami, jest albo przestępcą, albo wariatem. W obu przypadkach się go zamyka. A religia miała swoje stopy. System nie toleruje odstępstw. Ja jestem w systemie. Nie będę się przyczyniał do zniszczenia go. Na pewno nie.

Nadałem usta, tak jak się dmucha w trąbkę.

- No i powróciliśmy do pytania początkowego: do jakiego stopnia jest pan w systemie? Do jakiego momentu współpracuje pan z Del Rieco?

Zdenerwował się.

- Cholera jasna, czy mam gębę aż takiego przechery? Nie do wiary! Zacząłem się zastanawiać...

- Dobrze by pan zrobił...

Burza otworzyła okiennicę, która zaczęła trzaskać. Charriac znowu wstał, uchylił okno, przyciągnął jedno skrzydło okiennicy, znowu usiadł i przetarł okulary rogiem koca.

- Cholerna pogoda! Nie nad sobą się zastanawiam, dobrze wiem, kim jestem. Ale nad panem. Jak to jest, zapraszają pana na staż, podczas którego może się pan wykazać ogromną kompetencją, a pan, zaraz na początku, myśli, jak by tu sabotować! Kim pan jest, rewolucjonistą? Jeśli ta gra panu się nie podoba, niech pan siedzi w domu i w nią nie gra! Co do mnie, ja chcę tej roboty, Carceville, i zrobię

wszystko, co mi każą. Wszystko. Chcą się dowiedzieć, czy jestem wiernym pieskiem? Owszem, jestem. Poproszę o kość. Z jak największą ilością tłuszczu.

- Gra jest zaaranżowana. Do diabła, jest pan inteligentny... Skrzywił się, oburzony.

- Oczywiście, że jest zaaranżowana! - krzyknął. - Wszystkie gry są aranżowane! Nawet mój sześciolatek szuka, kiedy gra w karty. Pan jest bogaty? Damy panu jeszcze więcej pieniędzy. Jest pan biedny? Będzie pan miał jeszcze mniej. A podobno wszyscy startują z jednej linii. Del Rieco szuka, pan szuka, ja szukam, a papież musi pękać ze śmiechu, odprawiając mszę! Po prostu gdzieś tam są żółte linie, a za nimi policjanci. Tylko czekają, żeby się pan posunął za daleko. Dopóki szuka pan w dopuszczalnych granicach, wszystko dobrze. To tak jak z radarem na drodze. W zasadzie można jechać sto trzydzieści. Ale nie zatrzymują, dopóki nie przekracza się stu pięćdziesięciu. A jeśli się pan uprze, żeby jechać dwieście, napyta pan siebie biedy, lepiej wtedy trzymać spluwę w schowku. Albo trójkolorową kokardkę, na jedno wychodzi. Coś, czego tamci nie mają i co im zamknie gęby. Powiem panu, kim pan jest: pan jest ekstremistą. Stwierdza pan, że wszyscy są trochę nieudacznicy, i tak to pana irytuje, że zaczyna pan strzelać im w łeb. To świadczy o bezwzględnej osobowości. Wie pan, istnieje wielkie podobieństwo pomiędzy sędzią i terrorystą. Dlatego tak dobrze się rozumieją: obaj są przekonani, że granica to rzecz święta. My zawsze jedną nogą jesteśmy w zgodzie z prawem, drugą w bezprawiu. A oni mają obie nogi po jednej stronie, po tej albo po tamtej. Grają w tę samą grę.

Charriac wsłuchiwał się w swoje słowa, delektując się własnymi teoriami. Marnowaliśmy czas. Przerwałem ten jego wywód.

- No dobrze, zrobiłem panu propozycję. Teraz ją streszczę. Primo, razem gromadzimy wszystkie informacje dotyczące machinacji Del Rieco. Secundo, za każdym razem gdy mamy jakiś problem, uzgadniamy jego rozwiązanie. To do niczego nie zobowiązuje, nadal zachowuje pan swobodę działania.

- Bezpłatne zamówienie?

- Coś w tym rodzaju. Pan też dostał mail od supermarketów, dwa i pół procent rabatu? No więc...

- Dwa i pół? Ach, ci zasrańcy proponowali mi trzy!

- Widzi pan? I co pan zrobił? Zaproponował pan jeden.

- Jeden przecinek trzy.

- Dobrze. I dobije pan targu na jeden siedem. Gdybyśmy się porozumieli, wszyscy trzej powiedzielibyśmy nie i koniec. Zero. Mieli to w zanadrzu.

Trochę się odprężył.

- To nawet nie takie głupie... W konkretnym przypadku mogłoby tak być. Nie jestem pewien, czy mamy prawo...

- Oczywiście, że nie. Ale co kombinują w sektorze robót publicznych przy rozpisywaniu ofert przetargowych? Ustalają między sobą: ty dajesz ofertę minimalną tu, ja tam. To absolutnie zabronione, jeśli jednak tego nie robią, wszyscy zatoną przy wielkich korporacjach europejskich, które zaniżają ceny, żeby wyeliminować konkurencję. I nie mamy prawa faworyzować przedsiębiorstwa francuskiego, jeśli jest droższe niż międzynarodowe monstrum. Trust europejski nażera się, a potem podwyższają składki na zasiłki, bo mamy w kraju za dużo bezrobotnych. A panu mówią: „To przecież nie ta sama kasa”. Uważa pan, że to normalne? Zasady są zbutwiałe.

- Re-wo-lu-cjo-nis-ta - szydził Charriac.

- Nie. Będę się bronił. Chcą się do mnie dostać, więc się bronię. Kto ustanawia reguły? Gdzie są

te reguły? Del Rieco je wymyśla w miarę rozwoju sytuacji. De Wavre chce wiedzieć, co we mnie siedzi? Zgoda. A ja chcę się dowiedzieć, co w nich siedzi. Normalne, prawda? - odparłem oburzony.

Charriac zastanawiał się przez chwilę.

- Nie całkiem. Oni mogą zrobić dla nas coś, na czym nam bardzo zależy, ale my nie możemy nic zrobić dla nich. W tej sytuacji brak równowagi. Gramy w szachy, oni mają królową, a ja nie.

Nagle podjął decyzję:

- Dobrze, chętnie przyjmę pańską propozycję. Niczego nie ryzykujemy. W końcu niedozwolone porozumienie jako przestępstwo także jest dość powszechną strategią. Jeśli wszyscy w to wejdziemy, nie będą mogli się dobrać do pojedynczych osób. Chyba że w tym pokoju jest mikrofon. A teraz z innej beczki...

Zadowolony z jego odpowiedzi już chciałem się odprężyć. Niestety, nic z tego. To była niebezpieczna chwila, taka, w której w ostatniej minucie, kiedy wszystko jest załatwione, ktoś rzuca bombę. Charriac pochylił się do przodu. Nasze czoła prawie się stykały, czułem jego trochę ciężki oddech.

- Ta pani Carre... - powiedział cicho. - Naprawdę pan jej potrzebuje? Musimy włączyć ją w nasz układ? Gdybyśmy się nią zajęli, pan i ja, nie przetrwałaby dnia.

Zmusiłem się do pojednawczego tonu.

- Jaki mamy interes, by ją wykończyć?

Zabawnie zmarszczył usta, z miną nastolatka wesołka.

- No, nie wiem. To taka gra, prawda? Zamierzamy wygrać. Czego oni wszyscy chcą? Zostać najpotężniejszym, najbogatszym człowiekiem na świecie, czyż nie?

- A po co? Czy to nas uchroni przed śmiercią?

Cofnął się, przybrał poprzednią pozycję: przeguby rąk na udach.

- Pomyliłem się: pan nie jest rewolucjonistą, pan jest filozofem, to jeszcze gorzej. Nie. Wszyscy umrzemy. Nasuwa się pytanie, jakie życie będziemy mieli przedtem? Wygodne i przyjemne, czy byle jakie? Wie pan co, Carceville? Nigdy w życiu nie patrzyłem na ceny w sklepach. I ani myślę patrzeć. No więc co robimy z tą panią?

Wstałem i ostentacyjnie się przeciągnąłem.

- Na razie nic. Potem zobaczymy. Opuścił nisko głowę, zawiedziony.

- Aha. Chce pan zawrzeć z nią przymierze? Sądzi pan, że wtedy chętniej pójdzie do łóżka?

- Dostyc, panie Charriac, nigdy nie łączę spraw zawodowych i przyjemności.

Taki język powinien zrozumieć.

- No tak. Ostatnia rada, przyjacielu: niech pan uważnie patrzy na szachownicę. I zanim zrobi pan głupstwo, niech pan się zastanowi, czego pan naprawdę chce.

Klepnąłem go po przyjacielsku.

- Dziękuję. Ja także zrobię coś dla pana, w dowód lojalności. Del Rieco urzęduje w domku górskim, z tyłu budynku, za kuchnią.

W jego oczach pojawił się błysk.

- A więc to tak... Głowiłem się, gdzie też on się zadekował... Widzimy się jutro z rana?

- Uhm. Nad jeziorem. W plenerze. O dziesiątej.

Z emfazą uniósł rękę do góry.

- Przyjdę. To początek wspaniałej przyjaźni.

Laurence czekała na mnie w sali konferencyjnej; kurtyna oddzielająca dwie części sali była

szczelnie zasłonięta. Laurence się przebrała, miała na sobie granatowy kostium, ciasno opinający biodra. Włosy już były suche. Powiedziałem jej, co ustaliłem z Charriakiem.

- Jakie wrażenie zrobił na panu? - spytała.

- To ciastko francuskie. Człowiek nigdy nie ma pewności, co to jest. Myśli, że czekolada, ale pod spodem jest krem. A kiedy zaczyna jeść krem, niespodzianka, pod nim jest ciasto francuskie. A pod tym ciastem...

- ...krem i warstwa czegoś twardego. A potem już nic - zakończyła. - Znam takich typków. Nawet jednego poślubiłam. Byłam z nim prawie dziesięć lat. Kiedy chciałam odejść, oświadczył: „Nie rozumiem, nigdy ci niczego nie odmawiałem”. Wtedy się zorientowałam, że mnie kupił. Wbił sobie do głowy, że mi płaci. Transakcja.

Milczałem. Przez kilka sekund wpatrywała się w kąt sali, po czym nagle powiedziała mi dobranoc. Burza już ucichła. Jeszcze trochę mżył deszcz. Poczekalem, aż zamknie drzwi, i obejrzałem kąt, w który się wpatrywała. Niczego tam nie dostrzegłem, jedynie leciutką rysę na ścianie.

Noc była spokojna. Po deszczu przyroda nabierała oddechu, powietrze stawało się lżejsze. Nad ranem słońce wyjrzało pomiędzy dwóch chmur, tak jak ładna sąsiadka otwierająca okiennice. Jednak gdy zobaczyło, co dzieje się na dole, na powrót skryło się w kłębiastych chmurach.

Brałem prysznic, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Ledwo zdążyłem zakręcić kran i w pośpiechu chwycić ręcznik, gdy Brigitte Aubert wpadła do ciasnej łazienki. Bezceremonialnie zlustrowała moje półnagie ciało i powiedziała:

- Niech się pan pospieszy, zaczekam tutaj.

- Czy byłaby pani tak dobra i podała mi ubranie? Słyszałem, jak otwiera szafę; rzuciła mi slipy i koszulę, a potem westchnęła:

- Ach, mężczyźni...

Najwyraźniej był to gatunek, z którym się już zetknęła. Nie zawstydziała się, więc nie musiałem się krępować. Wystawiłem głowę przez drzwi.

- Może pani mówić, słyszę. Nie przeszkadza pani, że będę się golił?

- Nie, nie, proszę. Otóż wstałam rano i postanowiłam przejść się koło domku pana Del Rieco. I niech pan zgadnie, kto właśnie tam wchodził?

- Nie wiem. Nathalie? Charriac?

- Nic podobnego. Morin. Wie pan, ten marsylczyk...

- Tak? Co on tam robił?

- Doskonałe pytanie. Niestety nie umiem odpowiedzieć.

Ta wiadomość otwierała interesujące perspektywy. Kończyłem nakładać na policzki krem do golenia.

- Może poszedł się poskarżyć, że nie ma anyżówki? Brigitte nie mogła już wytrzymać. Zajrzała do łazienki. Jej drobna, zatroskana twarz odbijała się w lustrze.

- A skąd wiedział...

- Wczoraj wieczorem powiedziałem Charriacowi, gdzie to jest.

Zmarszczyła czoło, rozczarowana.

- Po co ja zadaję sobie tyle trudu, skoro pan i tak wszystko wygada...

- Wytlumaczę pani... To taka strategia...

Podczas gdy ostrze żyletki ścinało zarost, ja skupiałem myśli. Nikt z nas nie poszedł do Del Rieco. Nikt nawet nie przypuszczał, że znamy jego kryjówkę. Jeśli Morin wchodzi tam jak do hotelu,

nie wywołując szczekania wilczurów i strzałów z budek strażniczych, to znaczy, że trzyma z nimi. Nie tylko Charriac zdradzał: robiła to cała jego grupa. Musiał się śmiać w duchu, kiedy przekazywałem mu moje informacje. A on z samego rana wysłał swojego człowieka, by zdał Mistrzowi sprawozdanie z rozmowy ze mną. Nasze sprawy się nie układały. Popełniłem wielki błąd, proponując ogólne porozumienie; De Wavre wie już, że nie gram zgodnie z zasadami.

Za bardzo wyrwałem się do przodu. I za wcześnie. Nie miałem wyjścia, musiałem pójść do Del Rieco i spróbować wyjaśnić status Charriaca. No i ochronić siebie przed konsekwencjami tego fałszywego kroku.

- Mastroni chce z panem rozmawiać - powiedziała. - W nocy dostaliśmy maile.

Odkręciłem kran, żeby umyć maszynkę do golenia, i osuszyłem brodę.

- Tak? O której pani wstała? A może w ogóle się pani nie kładła?

- O szóstej. Od siódmej jesteśmy w pracy.

- Dobrze. Nie przerywajcie sobie. Ja zaraz przyjdę.

Nerwowo zacisnęła pięści.

- Ale my pana potrzebujemy! Trzeba podjąć różne decyzje!

Pod tym względem symulacja była udana: dopiero zaczął się drugi dzień, a ja już miałem czas wypełniony. Wszedłem do pokoju. Brigitte się cofnęła. Bardzo mi się spodobało to, co ujrzałem w jej oczach: oczekiwanie, nadzieję, błaganie psa czekającego na kość. To nadaje wartość władzy: nagle człowiek staje się kimś bardzo ważnym dla wielu ludzi, ma wrażenie, że żyje intensywniej.

- Pozwoli pan? - spytała.

Zręcznym ruchem poprawiła mi krawat. Dzisiaj postanowiłem go włożyć: wakacje skończone. Brigitte obejrzała mnie od stóp do głów, strzepnęła niewidzialny pyłek z rękawa i zrobiła zadowoloną minę. Nie protestowałem. Asystentka, tak jak żona, sekretarka, matka, doradca, jest trochę jak trener mistrza. Chce, żeby był piękny, wspaniały, bez zarzutu, czuje się odpowiedzialna za wszystkie jego wady.

- Zaraz przyjdę...

- Kiedy? - spytała błagalnym głosem.

- Jak tylko będę mógł. To trudna rozgrywka. Gdzie tu sprzedają amfetaminę?

Odeszła, powłócząc nogami.

Na dworze miałem kłopoty z orientacją. Pomieszczenia kuchenne znajdowały się za jadalnią, przylegały do wzgórza. Przez trzy dni nawet nie zadałem sobie trudu, by pospacerować wokół budynku. Od frontu wyglądał, jakby miał tylko jedno wejście. Nie dostrzegłem jednak, że z lewej strony jest wąska ścieżka wokół zabudowań. Poszedłem nią, pochylając się pod gałęziami, które ocierały się o mur.

Dalej było małe podwórko z klepiskiem, pojemnik na śmieci, przy ścianie bez okien składzik i coś w rodzaju górskiego drewnianego domku, lekko podwyższonego. Bez wahania wszedłem na dwie zniszczone deski zastępujące schody i zapukałem do drzwi.

Del Rieco natychmiast otworzył. Miał na sobie czerwony sweter, który podkreślał jego opaleniznę. Popatrzył na mnie ani trochę nie zdziwiony.

- Panie Carceville - powiedział wolno. - Oczekiwałem pana. Co prawda nieco wcześniej... proszę wejść...

Znalazłem się w wąskim, niskim pokoju, wypełnionym komputerami i monitorami. Pęczki kabli elektrycznych plątały się na podłodze pokrytej wytartym dywanem. W głębi siedział Jean-Claude,

asystent Del Rieco; nacisnął trzy wyłączniki, ekrany zgasły. Z belki sufitowej zwisała żarówka.

- Nie mamy tu wiele miejsca - tłumaczył się Del Rieco. - Od lat już proszę o większy lokal, ale wie pan, jak to jest... Może filiżankę kawy?

Odmówiłem gestem. Del Rieco oparł się o ścianę z surowego drewna.

- Co mógłbym dla pana zrobić?

- Panie Del Rieco... - zacząłem.

Przerwał mi.

- Joseph, Joseph... Czy mogę do pana mówić Jerôme?

- Oczywiście. No więc, Joseph, muszę panu coś opowiedzieć, no i potrzebuję kilku szczegółów...

Zmartwił się.

- Wie pan, że to właściwie niedozwolone... W zasadzie nie powinniśmy się kontaktować do piątku. Ale ten staż przybiera dość dziwny obrót... Powinienem może być bardziej stanowczy... Pańskie dossier nie budziło takich... obaw. To pouczające. Z ludźmi takimi jak pan wysubtelniamy nasze metody. Przyczynia się pan do postępu nauki, drogi Jerôme.

Kpił sobie ze mnie w żywe oczy. To kolejna próba sił. Wiedziałem, że nie wyjdę z niej zwycięsko, ale musiałem jakoś zminimalizować szkody. Nawet nie poprosił, żebym usiadł. I dobrze: był trochę niższy ode mnie, nie mógł więc dominować fizycznie.

- Panie Del Rieco, to znaczy Joseph, będę grał w otwarte karty.

- Nareszcie - zadrwił.

- Zebraliście nas tu na symulację konkurencji. Super. Szybka analiza sytuacji doprowadza do wniosku, że nie ma miejsca na trzy firmy w jednym sektorze. Jeśli się mylę, proszę mi przerwać.

- Niech pan na to nie liczy - powiedział bardziej oschle. Cały czas patrzyłem mu prosto w oczy.

- Ergo - ciągnąłem - jedna z trzech powinna zniknąć. Ale pan Charriac nie omieszkiał poinformować pana o tym, czego nauczył się w czasie studiów i o czym zechciał nam przypomnieć: że w trójce nie da się uniknąć układów.

Przerwałem, lecz on milczał. Zacerpnałem tchu.

- Tak jak przekazał nam z pana polecenia, w razie gdybyśmy sami na to nie wpadli, są trzy wyjścia: Charriac i Laurence Carre przeciw mnie, Charriac i ja przeciw Laurence Carre, Laurence i ja przeciw Charriacowi. Zgadza się?

- To teoria - przyznał półgębkiem.

- I jeszcze jedna możliwość: my troje przeciw panu. Bo to nie jest gra we trójkę, to gra dla czworga. W tym tkwi sedno sprawy. Oczywiście mogę się mylić. Może to rzeczywiście mecz dla trojga: Charriac i pan razem, Laurence Carre i ja.

Z powątpiewaniem kiwał głową na prawo i lewo, tak jakby musiał dokonać wysiłku, aby mnie zrozumieć.

- Czy pan się interesuje piłką nożną? - spytał znienacka.

- Jak wszyscy.

- Dwudziestu dwóch graczy na boisku, jak wiadomo. Nie: dwudziestu trzech. Albo raczej dwudziestu pięciu, bo jest trzech arbitrów. Mój drogi Jerôme, ja jestem arbitrem, a nasi drodzy Jean-Claude i Nathalie nadzorują aut. Niektóre drużyny, na przykład włoskie, systematycznie próbują przeciągnąć sędziego na swoją stronę. Chcą wyrzucić na niego presję. Żeby go chronić, wymyślono nowe przewinienie: symulację rzutu karnego. Za to dostaje się żółtą kartkę. I to jest dokładnie to, co pan usiłuje zrobić, przychodząc tutaj. Będę musiał wyciągnąć kartkę.

Jego głos stał się ostrzejszy. Zareagowałem tonem jeszcze bardziej spokojnym.

- Nie, Joseph. Byłoby tak, gdyby grano uczciwie. Ale tak nie jest. Wprowadził pan do gry ekipę, która należy do pana, i musimy walczyć przeciw niej i przeciw panu. Dziś rano jej delegat przyszedł do pana po instrukcje. Walka jest nierówna.

Na chwilę odszedł od ściany.

- Nikt nie obiecywał, że będzie równa. Kiedy pan zdaje egzamin, egzaminator zna odpowiedź lepiej niż pan. Wy tu zdajecie egzamin, Jérôme...

Omal nie straciłem cierpliwości.

- Ależ to teatr! Jedna trzecia grupy to statyści, którzy należą do pana! Chciał pan, żebyśmy to odkryli? No to odkryliśmy. I koniec?

Znowu zrobił nieprzyjemną minę.

- Już wiem. Szpiegowaliście naszego przyjaciela Morina, który rzeczywiście przed chwilą u mnie był. Nie takiej postawy oczekiwała nasza firma, no ale trudno. Sygnalizuję panu, że Pinetti stoi na czatach za świerkiem, na wprost nas, tak na wypadek, gdyby pan tego nie zauważył. Jak tylko pan stąd wyjdzie, on pobiegnie do Charriaca powiedzieć mu, że pan jest opłacanym przeze mnie aktorem. Zmierzamy ku dość zawikłanej sytuacji, nie sądzi pan? Aktorzy pilnują aktorów... Fascynująca gra luster... A czy pomyślał pan, że może Morin przyszedł powiedzieć mi to samo co pan? Pan sądzi, że wręcz przeciwnie, Pinetti także, tyle że o panu. I w ten sposób traci pan wszystkie szanse, mówię to panu po przyjacielsku. Wszystkie. Jest pan inteligentny, nikt nie zaprzeczy, więc wydedukuje pan to samo co ja: straciecie dwa dni na wyszukiwanie szpiegów, zamiast pracować. I na obu frontach poniesiecie klęskę. Nawet jeśli tak bardzo pan pragnie siać psychozę w całej grupie i sabotować mój plan, nic pan nie osiągnie. Ja także nie, przyznaję. Tyle że będę musiał zrewidować moje metody. A pan wróci do zasiłku. Czy to leży w pana interesie?

Ciągle patrzyłem mu w oczy, dostrzegłem w nich cień znużenia.

- Ja też zagram w otwarte karty - mówił dalej. - Jesteście nieustannie obserwowani. Jak? To już moja sprawa. Ale nic z tego, co robicie, nie uchodzi naszej uwagi. Niektórzy szefowie podsłuchują centrale telefoniczne i umieszczają kamery w biurach. No więc to jest coś w tym rodzaju. Czyżbym musiał opłacać całą ekipę? W epoce satelitów? Ejże! A teraz mam jeszcze panu coś do powiedzenia: nie jesteśmy zainteresowani pańskimi zdolnościami do zabawy w Sherlocka Holmesa, do tego doskonale nadają się agencje ochrony. My po prostu chcemy się dowiedzieć, czy uda się panu sprzedać... co to było?

- Haczyki do wędek - sprecyzował Jean-Claude, który śledził naszą rozmowę, choć nie chciał tego po sobie poznać.

- A właśnie, haczyki. Ciekawy pomysł. Poprzednia grupa zajmowała się hurtową sprzedażą mięsa. Niedobry wybór: natknęli się na problem wściekłych krów. Chociaż to było dość interesujące. Proszę posłuchać, Jérôme: niech pan kieruje tym swoim przedsiębiorstwem, niech pan się sprzymierza, z kim pan chce, z całą trójką, jeśli tak panu pasuje i niech pan zapomni o szpiegowaniu. Nikt nie będzie tu zatrudniał Jamesa Bonda. I niech pan będzie tak miły i przestanie opowiadać te historyjki o wampirach. Spokojnie, Jérôme...

Ostatnie zdanie podkreślił ciosem palca wskazującego w moją pierś, po czym otworzył drzwi.

- Aha, jeszcze jedno, żeby nie było, że przyszedł pan tu na darmo: Charriac nie pracuje dla mnie. Ale zaufanie to zupełnie inna sprawa. Daję panu słowo, że nie pracuje dla mnie. A teraz do roboty! Nie chcę już tu pana widzieć.

Istnieje siedemnaście fizycznych dowodów kłamstwa. Jeśli ktoś zaliczy dziewięć, prawdopodobnie kłamie; jeśli trzynaście, to pewne. Del Rieco nie zdobył ani jednego punktu. Jego rozumowanie mnie poruszyło.

Wyszedłem i skierowałem się w stronę świerka, za którym chował się Pinetti.

- Chodźmy, panie Pinetti. Pogadamy z Charriakiem. Jeśli w przyszłości będzie się pan ukrywał za tym ciemnym drzewem, proszę nie wkładać białej koszuli.

Nie było to za bardzo lojalne: gdyby Del Rieco nic mi nie powiedział, raczej nie zauważyłbym Pinettiego. Ale musiałem wygrać ten set, z kimkolwiek.

Kiedy wszedłem do biura Charriaca, na drugim piętrze, jego informatyk Delval przysunął się do ekranu, żeby zasłonić go własną piersią przede mną. Morin podkładką nakrył rozłożone papiery. Niech żyje zaufanie. Wypchnąłem Pinettiego do przodu.

- Oto wasz szpieg. Nie jest zbyt odważny. Powiedziałem, że będę czysty, panie Charriac. I jestem. Rozmawiałem z Del Rieco i zaraz zrelacjonuję, co mi powiedział; zadaliście sobie daremny trud, wysyłając waszego psa myśliwskiego. Potem porównamy to z tym, co usłyszał Morin, i może obraz nam się trochę rozjaśni...

Rozgorzała dyskusja - dość chaotyczna. Charriac wyrzucał mi, że poszedłem do Del Rieco, nie uprzedzając go wcześniej, ja mu wypominałem, że zrobił to samo, wysyłając przede mną Morina. Morin, naiwnie, powtórzył słowo w słowo to, co właśnie powiedziałem. Del Rieco rozmawiał z nim tak samo jak ze mną, a on sam działał z tych samych pobudek co ja. Charriac stanął w jego obronie, sugerując, że Brigitte Aubert poprzedniego dnia poczyniła dokładnie te same kroki, a ja przed nim to zataiłem. Jego zdaniem, jeśli ktoś szpieguje, to na pewno tym szpiegiem jestem ja. Zawaliła się cała racjonalna, zdroworoządkowa konstrukcja Del Rieco, a my pogrążyliśmy się w teatrze cieni, gdzie nikt już nie wie, kto jest kim, każda zasłona kryje zbirów, a jedynym światelkiem w ciemności jest błysk sztyletu. Na koniec rzuciłem z irytacją:

- Wszystkie umowy zostały zerwane, panie Charriac! Popatrzyl na mnie.

- Jakie umowy? Pan żadnej nie dotrzymał! Nabierał mnie pan od samego początku. Kogoś tak fałszywego nigdy nie spotkałem! Dziwi mnie, że chce pan robić interesy. Ze swoim talentem najlepiej zrealizowałby się pan w polityce!

Jak wszyscy przedsiębiorcy miał głęboką pogardę dla polityków. Takie słowa w jego ustach to była najgorsza zniewaga. Tak to odczułem. Wzruszyłem ramionami i szedłem na dół.

Moja grupka gorliwie pracowała. Hirsch podał mi plik maili, które właśnie wydrukował.

- Chwileczkę, najpierw zastanówmy się nad sytuacją.

Nie ukrywałem przed nimi nic z tego, co się wydarzyło. Brigitte Aubert zaczerwieniła się, kiedy wspomniałem, że Charriac posądził ją o zdradę.

- Przysięgam na to, co mam najdroższego...

Machnąłem ręką.

- Brigitte, wierzymy pani.

Gdy skończyłem wyłuszczać sprawę, Mastroni podsumował stan rzeczy.

- No tak, właściwie nie posunęliśmy się naprzód.

- Otóż to. Ale zachowujmy się, jakby nigdy nic. Del Rieco ma rację: czy szpiegują, czy nie, w rezultacie to niczego nie zmienia. Tylko że nie jesteśmy pewni, czy będziemy mogli stworzyć blok, jeśli zajdzie taka potrzeba. Szkoda, w trójkę moglibyśmy ich całkiem zaklinować. Jak idzie sprzedaż?

- Spada. Sezon wędkarski się kończy. W tej grze jeden dzień to trzy miesiące. Co zrobimy, kiedy

połów się skończy?

- Mamy chyba kapitał płynny? Przebranzowimy się. Co moglibyśmy robić, co jest dostępne przez cały rok?

- Burdele - zasugerował Hirsch.

- Mam pomysł! - zawołał Mastroni. - Fanatyk wędkowania o niczym innym nie myśli. Kiedy nie może łowić, nudzi się. No więc moglibyśmy stworzyć grę, CD-ROM, są już takie z golfem czy z piłką nożną. W Stanach Zjednoczonych numer jeden to CD z polowaniem; goście walą ółowiem w daniele, na komputerze. Rzeczywistość wirtualna. W dzisiejszych czasach to przynosi więcej kasy niż prawdziwa rzeczywistość. Hirsch kołysał się na krześle.

- Problemem jest nisza rynkowa. Nie można zajmować się wszystkim i robić byle co. Jeśli pracujemy w branży wędkarskiej, tylko w wędkarstwie sportowym, możemy robić CD, ale możemy też produkować wędkę, żyłki, kalosze, torby i nie wiem, co jeszcze, bo ja z rybami nie...

- Okej - wpadł mu w słowo Mastroni. - Z kaloszami i torbami jest tak samo: kiedy nie wolno łowić, ludzie tego nie kupują. Chyba tylko kłusownicy. A tych nie ma tak dużo.

Przerwałem im.

- Kupione. Będziemy robić CD. Jest tylko jeden mały problem: nie umiemy tego. Ile potrzebujemy czasu?

- Żeby stworzyć CD? Jeśli niedobry, miesiąc. Jeśli ma być rewelacyjny, cztery lata.

- Za dużo. A gdyby ktoś już to zrobił? Można by importować? Z naszym znakiem firmowym. Ci, którzy wymyślili to polowanie na daniele...

Hirsch obrócił się na krześle w stronę komputera.

- Ściągnę informacje.

- Widzicie? W przedsiębiorstwie taka zmiana trwa sześć miesięcy. W administracji piętnaście lat. A nam potrzeba ledwie trzech minut. Czy ktoś ma jakąś kawę? Przez te ich głupoty przepuściłem śniadanie.

Marilyn, uśmiechając się, wstała. Wyglądało na to, że wszystko idzie dobrze. Charriac niesłusznie pchał mnie do polityki: tutaj byłem najszcześliwszy. Moja ekipa pracowała gładko, miałem do niej zaufanie, wszelkie drobne brutalności świata zewnętrznego bladły wobec tego prostego i uspokajającego faktu: otaczali mnie ludzie rzetelni. Być może myliłem się, chcąc pływać w akwarium z rekinami, ze stworami typu Charriaca. Chyba istnieją jeszcze na tej zindustrializowanej, zglobalizowanej planecie jakieś niewielkie spokojne firmy o niezbyt wygórowanych ambicjach, które starają się wykonywać swoją pracę bez ostrzenia sobie kłów. Rozmarzyłem się, ale zaraz spadłem na ziemię: nie takich ludzi poszukuje De Wavre International.

Brigitte Aubert dotknęła mojego ramienia swoim polakierowanym paznokciem.

- Wygląda pan na spiętego. Powinien pan się zrelaksować.

- Tak? A jak to się robi pośród stada wilków?

- O, są różne techniki. Medytacja. Sofrologia. Wielu ludzi to praktykuje, nawet *yuppies*. Bez tego nie da się wytrzymać.

Mastroni podniósł głowę.

- Znałem takiego jednego, robił sobie zastrzyki z witaminy C. Żeby dostać kopa. Taszczył ze sobą całą aptekę.

- A kiedy sportowiec pali haszysz, dyskwalifikują go... Nie chcę powiedzieć, że przydałyby się kontrole antydopingowe w radzie nadzorczej...

W końcu zadowolilem się kawą, którą przyniosła mi Marilyn.

Tak jak w domu starców posiłki były najważniejszym wydarzeniem w życiu społeczności. Nieregularna obecność niektórych osób podczas obiadu nie pozwalała na powstanie stałych grup. Tym razem znalazłem się obok Morina, który uważał się nad tym, jaka krąży opinia o Południowcach. Jego zdaniem na całej naszej planecie, tak jak i w każdym kraju świata z osobna, od zawsze Północ pogardzała Południem.

- Marsylia - mówił - jest drugim miastem Francji. A gdy w Paryżu wypowiada się tę nazwę, ludzie wzruszają ramionami i od razu zaczynają się śmiać, tak jakby tam byli sami komicy. Przyjeżdżają do nas na wakacje i myślą, że my wciąż mamy wakacje. Że jesteśmy niepoważni. Niech pan sobie wyobrazi, że idzie pan do najlepszego chirurga z La Timone. Kiedy stwierdza, że swoim południowym akcentem, że należy panu zrobić trepanację, myśli pan sobie, cholera jasna, trzeba uciekać! Jeśli to samo powie z akcentem paryskim, zaufa mu pan. Czy to normalne? W biznesie jest podobnie. Proponuję panu interes: jeśli mówię tak jak w telewizji, dobijamy targu. Jeśli mówię z moim akcentem, myśli pan, że chcę pana wyrolować, i wzywa pan policję. Wy uważacie, że spędzamy czas na picu anyżówki w domku przy plaży i kombinujemy, jak by tu obedrzeć ze skóry turystów. Kiedy otwieram usta, wszyscy się śmieją. Myślą, że gram w *Mariusie* i że chcę im sprzedać *Pitalugue*. Pana zdaniem to przyjemne?

Na ten pełen oburzenia wywód wszyscy przy stole wybuchnęli śmiechem. Udał, że się złości, po czym ciągnął dalej:

- Tak więc nie mam wyjścia. Biorą mnie za błazna, nawet kiedy tracę całą rodzinę w katastrofie lotniczej; no to jestem błaznem. I dlatego nikt się mnie nie boi. Więc jakoś sobie radzę. Albo piszę. Kiedy się pisze, nie słycać wymowy.

Co racja, to racja. Odstawiając ten numer, sprytnie dawał nam do zrozumienia, żebyśmy nie ufali pozorom.

- Specjalnie przesadzam z moim akcentem! Nie chcą go? Jeszcze bardziej go wzmacniam! Mówi się Francja, Francja... Coś takiego nie istnieje! Kiedyś w Paryżu poszedłem do redakcji codziennej gazety, żeby zamieścić komunikat; dziennikarz powiedział mi: „Ej, ten twój komunikat jest zbyt skomplikowany, pamiętaj, że mamy też czytelników w Romorantin”. Chciał powiedzieć: to również idioci. W Paryżu sami inteligentni, a gdy przekraczasz obwodnicę, sami idioci. Tak myślą w tych swoich łepetynach. Nawet ludzie od nas, kiedy jadą do Paryża, zmieniają akcent. W samolocie zmieniają koszulę i mowę. Bo jeśli nie, to nawet gdy tłumaczą ci fizykę kwantową, myślisz, że opowiadają bajeczkę i że to nieprawda. Cholera, trzeba powtórzyć rewolucję francuską, mówię wam!

- Ale przecież - zauważył Chalamont - z Południa też pochodzą nasi ludzie...

- Tak, Ricard! Rozumiesz, co chcę powiedzieć? Znajdź mi choć jednego. Ministra, który nie ma akcentu paryskiego...

- Pasqua.

- No dobrze. Jeszcze ktoś? Nie. Nawet Defferre prawie nie ma akcentu.

- Tapie - zaproponował Delval.

- Przestań, on nie jest marsylczykiem. Widziałeś, co się działo, kiedy chciał się zająć Marsylią? Bank go zrujnował i poszedł siedzieć. A ten drugi gnóm z Credit Lyonnais, który zaprzepaścił sto miliardów? Nikt mu nawet jednego słówka nie powiedział. Nie ma ani jednego ministra z prowincji!

- Jak to - wtrącił się Delval - wszyscy zostali wybrani na prowincji. Prawie wszyscy. Aubry w

Lille, Chevenement w Belfort, Jospin w Cintegabelle, a Juppe w Bordeaux.

- Nie chodzi o to, gdzie byli wybrani. Jak mamy ich wybierać, to jesteśmy dobrzy. Ale Jospin w Cintegabelle to już sprawa marsylska. Jedzie tam za każdym razem, gdy mu spada popularność. Pochodzi stamtąd? Nie. To paryski absolwent ENA, tak jak inni. A Juppe zamknął oczy, wskazał przypadkowe miejsce na mapie i spytał: „Gdzie leży Bordeaux? Niedaleko Abidżanu, prawda?”

- Jesteś poujadystą - stwierdził Delval. Morin się nie spieszył.

- Tak, wiem. Tak mówią, jak tylko coś krytykujesz. Gdy jeszcze jesteś miły, zwykle pytają: „Czy ty przypadkiem nie jesteś członkiem Frontu Narodowego”? No więc nie, jak widzisz, nie jestem. Nawet nigdy na nich nie głosowałem. Zresztą na nikogo już nie głosuję.

- Nie będziecie chyba rozmawiać o polityce? - mruknął Chalamont.

Podano deser, zmieniliśmy temat. Ukradkiem spoglądałem na Morina. Była w nim jakaś agresja, frustracja, gorycz, dotychczas ich nie wyczuwałem. Pod pozorem ekstrawertyka skrywał się człowiek zgorzkniały. Bez wątpienia ekipa Charriaca była niebezpieczna: Pinetti, czyli hipokryzja wcielona, gotów na wszystko, żeby osiągnąć cel, Morin i jego ciągłe pretensje, i sam Charriac, upojony inteligencją zabłąkaną gdzieś w obszarach abstrakcji, dla którego ludzkość to kolonia stonóg, nadająca się tylko do rozdeptania nogą. Pominąwszy Delvala, był to zjazd psychopatów.

Gdy podano kawę, poszedłem do Laurence Carre, spacerującej nad jeziorem. Nie okazała najmniejszego zaskoczenia na mój widok; chyba na mnie czekała. Obdarzyła mnie bladym uśmiechem.

- Pójdziemy zobaczyć tę ścieżkę, póki jest jasno? Inaczej nigdy tam nie dotrzemy.

- Dobrze.

Weszliśmy pod drzewa. W gąszczu gałęzi domyślaliśmy się, że niebo zasnuwają chmury. Pogoda była niepewna.

- Mam nadzieję, że się nie rozpada. Nie wzięłam nic od deszczu.

Uspokoilem ją:

- Nie odeszliśmy daleko. Zresztą wyspa jest mała, nie zabłądzimy. W najgorszym razie obejdziemy ją naokoło.

Ścieżka wiła się z boczem wzgórza, biegła zakosami, omijając pnie, które zagradzały przejście. Niepostrzeżenie pieliśmy się do góry. Laurence szła sprężystym, tanecznym krokiem, co może nie było zbyt odpowiednie na wycieczkę, ale na pewno przyjemnie się na nią patrzyło.

Dotarliśmy do szczytu. Wyszliśmy na łąkę z widokiem na całe jezioro. Poniżej rysował się dach hotelu, a nawet domek Del Rieco. Za nami niewielka laguna oddzielała wyspę od brzegu. Laurence zmarszczyła brwi.

- Dlaczego nie ustawili budynków inaczej? Po tej stronie można by poprowadzić most, zamiast przepływać jezioro w najszerszym miejscu...

- Tak, ale to jest strona północna. Okna hotelu wychodzą na południe. W przeciwnym razie nie docierałoby do niego słońce i ludzie by pozamarzali.

- I tak tego słońca nigdy nie widać.

Schyliłem się, żeby przyjrzeć się trawie. Była wygnieciona, powyrywana kępkami.

- Chyba tu pasą kozy. Albo krowę. Niech pani popatrzy, wszystko wyjedzone...

- Agronomię też pan studiował - zażartowała.

Uklękła obok mnie, na tyle blisko, że poczułem jej lekko gryzący zapach. Nie była to jednak próba zbliżenia, ja unikałem takiego kontaktu. Obróciła się i usiadła. Ja też. Ręce skrzyżowałem na kolanach.

- Przy obiedzie rozmawiałam z Charriakiem - zaczęła. - To kompletny wariat. Wyłożył mi jakąś nieprawdopodobną teorię na temat kobiet.

- Ja trafiłem na Morina. Nie lepiej.

- Przynajmniej jest zabawny. Charriac to chory człowiek. Naturalnie zdaję sobie sprawę, że to mogła być prowokacja. Próbował mnie rozzłościć. Nawet nie powtórzę tego, co wygadywał. Jakaś głęboka pogarda sączyła się z niego. To nie było to, co zwykle sądzi większość mężczyzn, którzy nie mogą się przyzwyczaić do widoku kobiet odchodzących od swojej tradycyjnej roli, nie zapiekły konserwatyzm trwający dwa tysiące lat. To było... O mało nie rzuciłam w niego kieliszkiem.

- On chyba to samo myśli o mężczyznach. Pogardza wszystkimi.

Zerwała źdźbło trawy, chciała unieść je do ust, ale w końcu puściła je z wiatrem.

- Nie, to coś bardziej specyficznego. Nienawiść do kobiet. Nie wiem, co mu zrobiły. W każdym razie na pewno na to zasłużył.

- Jest żonaty?

- Nie mam pojęcia. Zdziwiłabym się. A może przeżył rozwód, który się źle potoczył.

- A widziała pani rozwody, które się dobrze potoczyły? Lekko zakrztusiła się z rozbawienia.

- Nie, właściwie nie. Pod koniec niemal mnie zafascynował. A więc jest on, Charriac, i kilku jeszcze panów tego świata, których szanuje, bo są wpływowi. Potem banda niewolników, co to niekiedy się przydają. I wreszcie, na samym dole, kobiety: kierują się hormonami, nadają się wyłącznie do reprodukcji i usiłują znaleźć bogatego samca, żeby zapewnić przyszłość dzieciom. To trochę...

Zawahala się, po czym mówiła dalej:

- Myśli, że jest najlepszy, że udało mu się odrzucić całe to blagierstwo, jakie oferuje nam życie, miłość, przywiązanie... litość... To uczucia godne pogardy, przeszkadzają czystej refleksji. Wie pan co? Według mnie to ktoś w rodzaju nazisty. Byłby jak najbardziej zdolny do spalenia Oradour-sur-Glane albo otwarcia filii w Auschwitz. Naziści chyba tacy właśnie byli. Przecież nie zniknęli tak od razu? To znaczy, ich mentalność... Po prostu są teraz wysokimi urzędnikami państwowymi albo dyrektorami i stali się liberałami. Ale w dalszym ciągu traktują resztę ludzkości jak jakieś robactwo.

Odchyliła się do tyłu, położyła swoją rękę na mojej i szybko ją zabrała.

- Bardzo przepraszam...

- Nienawidzi go pani?

- Nawet nie. Budzi moją litość. Musiał być bardzo nieszczęśliwy. To przerażające, ten mur, jakim się otoczył, żeby wszystko od siebie odsunąć. Wszystko to, co buzuje. Ale najbardziej przeraża mnie to, że on przekracza wszelkie granice. Jest tak bardzo pewien siebie... Inni nie istnieją, są tylko odbiciem jego ego.

Spojrzałem na nią. Wyglądała naprawdę na przejętą.

- Nie będziemy chyba przez cały czas rozmawiać o Charriacu. Niech mi pani powie coś o sobie.

- Nie tutaj. Później. W Paryżu. Jeśli pan zechce. Tutaj jest coś takiego...

Nie dokończyła, podniosła się szybko.

- Idziemy? Muszę dołączyć do grupy... Rzadko kiedy widuje się tylu nieudaczników naraz.

Policzyła na palcach.

- Leroy, nic mu się nie podoba, cały czas zrzędzi. El Fatawi sprawia wrażenie nieśmiałego, ale jest jak tamten: wszystko budzi jego sprzeciw, nic mu nie pasuje. W dodatku jest okropnym defetystą. I uparty jak osioł. Trzeba by mieć widły, żeby ich obu jakoś rozruszać. Co do Chalamonta, jest głupi jak stołowa noga. Ma tylko jedną przewagę: wie o tym, więc milczy. To bardzo cenne: zwykle idioci myślą, że są inteligentni. O pozostałych dwóch wolę nie wspominać, dla mnie ich nie ma. Zachowują się jak na stażu pedagogicznym. Wydaje mi się, że nigdy nie otworzyli ust. Ale przynajmniej się nie naprzykrzają. Jeśli to ma być selekcja De Wavre International, to dziękuję bardzo, może zna pan jakiś inny adres?

Schodziliśmy ścieżką, patrząc pod nogi: dywan z sosnowych igieł był śliski. Laurence raz złapała się mojego ramienia, drugi przytrzymała się drzewa. To, co powiedziała, dało mi do myślenia. Rzeczywiście, oprócz czterech czy pięciu osób większość uczestników stażu nie była na poziomie, jakiego można by się spodziewać. Podzieliłem się z Laurence moimi wątpliwościami.

- Jest jeszcze taka opcja... Zważywszy na koszty, jakie ponosi De Wavre, chcą może przetestować jedną, dwie osoby. No, powiedzmy, trzy lub cztery. A pozostałe stanowią dopełnienie w symulacji, żeby zaistniały problemy, jakie spotyka się w prawdziwych firmach, wie pani, na przykład pasjonat surfing, który się wałkoni, zadowolony z siebie idiota, co to popełnia same głupstwa i jest z tego dumny, stary kierownik rok przed emeryturą, który spędza czas na grze w golfa i ma wszystko gdzieś,

i kuzynek szefa, najwyraźniej nie na swoim miejscu. Akurat takich u nas nie ma, ale wynaleźli nam i tak dość reprezentatywną próbkę... Przystanąła i zaczęła się śmiać.

- Możliwe. To by nam pochlebiało. No, jeśli należą do tej lepszej części...

- Oczywiście, należy pani. Gdyby było inaczej, Charriac zostawiłby panią w spokoju. On po prostu chce sprawdzić, czy pani nie będzie stwarzać zwykłych kobiecych problemów; nie ułatwiamy kobietom życia, nie jest ich za dużo, nikt ich nie słucha i tak dalej...

Pogroziła mi palcem.

- Jeśli pan się do tego przyzwyczai...

- Nie, ale to prawda: pracodawcy to mężczyźni, nienawidzą tego tematu. Bo wywołuje w nich poczucie winy. Nie wiedzą...

- Niech powąchają raczej własny smród! Fakt, kobiet jest mało. Czy to niesłuszne żądać, żeby było ich więcej?

- Nie, oczywiście że nie. Ale kiedy się jest bezrobotnym, stanowią zagrożenie. Już dla nas nie ma za wiele miejsca, a mówią nam „ścieśnijcie się”.

- No to trzeba się ścieśnić!

Rozbawiona, a zarazem wściekła wysunęła podbródek do przodu. Odruchowo złapałem ją za ramiona.

- Laurence, obawiam się, że nasze interesy są sprzeczne...

Nie wyrwała się. Dostrzegłem w jej oczach wyzwanie. Puściłem ją. Pociągała mnie, musiałem w końcu to przyznać, ale nie miałem najmniejszej ochoty angażować się w tego rodzaju przygodę. Kocham moją żonę. Poza tym za dużo kłopotów zważyło się wówczas na mnie.

Potem szliśmy już w nieco żenującym milczeniu. Dzielili nas uprzejma próżnia, pusta przestrzeń, która istnieje zawsze wtedy, gdy miało się coś wydarzyć, a się nie wydarzyło.

Hirsch niecierpliwie oczekiwał mnie przed budynkiem. Rzucił zaciekawione spojrzenie w stronę Laurence, złapał mnie za łokieć i szepnął:

- Mam odpowiedź. Wszystko dobrze. Chodź ze mną. - Pokazał mi mail, który wydrukował. - Mistrz Del Rieco zechciał nas poinformować, że owszem, istnieje CD-ROM na temat wędkarstwa i pomysłodawca amerykański jest zainteresowany eksportem do Europy. Mastroni już pisze propozycję umowy. Co robimy? - spytał. - Zakładamy filię?

Przez chwilę o tym dyskutowaliśmy. Miało to swoje dobre i złe strony, a najmniej istotna nie dotyczyła czynnika czasu.

Kwestia nie została jeszcze rozstrzygnięta, gdy nagle stanęła między nami Laurence. Miała zaczerwienione policzki i łzy w oczach. Nerwowo uśmiechnęła się do Hirscha, a na mnie popatrzyła przerażonym wzrokiem.

- Jérôme, mogę z panem pomówić?

Rozstaliśmy się ledwie pół godziny temu.

- Co się dzieje, Laurence?

Pokręciła głową.

- Wolalabym w cztery oczy. Jeśli to panu nie przeszkadza...

Tylko raz widziałem takie symptomy - u sekretarki, która dowiedziała się, że jej syna potrafiła ciężarówka. Musiało się stać coś poważnego. Przeprosiłem Hirscha, poklepałem go po ramieniu i poszedłem za nią.

Na dworze zrobiła raptem trzy kroki i odwróciła się do mnie.

- Charriac atakuje mój kapitał!

Popatrzyłem na nią zakłopotany.

- Jak to?

Wykręcała sobie ręce. Jednocześnie chciała robić dobrą minę do złej gry, ale był to zbyt wielki wysiłek. Wpatrywała mi się w oczy.

- Zna pan strukturę swojego kapitału?

W duchu wymierzyłem sobie głośny policzek. Pomyślałem o wszystkim, oprócz tego jednego. Wyszedłem od domniemania, że jestem akcjonariuszem większościowym, więc nie sprawdziłem tej podstawowej kwestii.

- Eee... nie...

- No to niech pan się temu przyjrzy! Ja właśnie to zrobiłam!

- Zaraz, zaraz... Jesteśmy notowani na giełdzie? Ogłosił publiczną ofertę kupna?

- Nawet nie. Zrobił coś o wiele prostszego. Ja mam jedną trzecią akcji, dwie pozostałe osoby tyle samo. On odkupił część akcji od jednego z moich dwóch akcjonariuszy, a teraz składa propozycję drugiemu.

- Ale skąd wziął pieniądze? Zamiauczała jak rozwścieczony kot.

- Nie mam zielonego pojęcia! Może jakieś środki płynne. Albo dobił targu z bankiem. Niech pan mi powie, Jérôme, błagam pana, niech pan mi powie prawdę: to nie pan?

Uśmiechnąłem się szeroko.

- Nie. Przysięgam.

Pokiwała głową, zmarszczyła czoło.

- Jérôme, musi mi pan pomóc! Jeśli on mi to zabierze, będę mieć pakiet mniejszościowy i mogę się stąd zabierać. Nie dopuszczę do tego, Jérôme, ja muszę dostać tę pracę! Wytlumaczę panu dlaczego.

Niby po co? Wszyscy mieliśmy swoje racje, jakoś tragicznie do siebie podobne.

- A co na to związki zawodowe? - spytałem. - Nie przepadają za fuzjami. Automatycznie idą za tym zwolnienia.

- Gwiżdżemy na związki! - zawołała. - Za dużo pieniędzy na stole!

- Ile?

Rzuciła sumę - to mniej więcej tyle samo, ile postanowiliśmy zainwestować w import CD-ROM-u. Chwyciła mnie za przegub.

- Jérôme, nie widzę innego wyjścia. Musi pan kupić jedną trzecią. Wtedy będzie równo: on dysponuje jedną trzecią, pan jedną trzecią i ja jedną trzecią. Jeśli się zjednoczymy, odeprzemy go. Będzie miał wyłącznie mniejszość blokującą. Właściwie już ma.

- A jeśli pani zwiększy kapitał? On nie dotrzyma kroku...

- Za późno. Należało zrobić to wcześniej. Ale byłam zbyt ufna. Mój los w pańskich rękach, Jérôme. Wszystko zależy od pana.

- Nie jestem sam... Mam swoją ekipę...

Wyczuła to, co było do wycucia: coś więcej niż wahanie. Jej oczy zaszły mgłą. Spojrzała na mnie jeszcze raz i się odwróciła. Objęła się rękami, jakby było jej zimno, i zrobiła trzy kroki po zwirowej alejce.

- Jeśli pan też mnie opuści, już po mnie - odezwała się dziwnie bezbarwnym głosem.

Starąłem się dodać jej otuchy.

- Laurence, to przecież gra...

- Nie. To nie jest zwykła gra. To raczej gra o życie. Jak tchórz usiłowałem przezwyciężyć wstyd.

- Przecież nie powiedziałem „nie”. Powiedziałem, że chcę porozmawiać z moim zespołem. O nich też muszę myśleć. Nie odrzucam takiej możliwości, ale proszę zrozumieć...

Odwróciła się do mnie, znużona.

- Och, rozumiem. Każdy dba o siebie.

- Laurence, od początku każdy dbał o siebie... *Don't panic*. Zrobimy tak: wytłumaczę im, co się dzieje. Prawdopodobnie, będziemy musieli najpierw chronić nas samych. Nastąpiła zmiana biegu, trzeba teraz przeanalizować sytuację. A potem, jeśli pojawi się jakaś szansa na dokonanie tej operacji, wyjaśni nam pani, dlaczego to leży w naszym interesie. Proszę mi przesłać wszystko, co pani ma, bilanse, pani udziały w obrocie, chcę to przestudiować.

Wzdrygnęła się.

- Jednym słowem, sprzedaję się Charriacowi, ale przedtem oddaję się panu... Mogę zadać panu jedno pytanie?

- Proszę.

- Gdybym poszła z panem do łóżka, to by coś zmieniło?

- Nie - odparłem natychmiast.

- Dziękuję. Musiałam to wiedzieć. Chwyciłem ją za ramię i potrząsałem.

- Laurence, do roboty! Nic nie jest stracone! Niech pani nie odgrywa tu sceny z dziewczynką, która zepsuła laleczkę! To nie pani, tylko nie to! Coś pani powiem. Wygląda pani jak ktoś, kogo pokonano. Proszę wziąć prysznic i się przebrać. Niech pani stanie na nogi i ruszy do ataku. Cholera, co się z panią dzieje?

Blado się do mnie uśmiechnęła i odeszła. A ja powoli wróciłem do mojej pustelni. Musiałem to sobie przemyśleć. Wszystkie przeplatające się aspekty sprawy. Ofensywa Charriaca bez wątpienia zmierzała do wyeliminowania Laurence, taki był jego plan od początku - nigdy tego nie ukrywał. Ale to mogło też okazać się testem dla mnie. Nie wiedziałem, jak zareagować: z jednej strony interes firmy, z drugiej sympatia - co oczywiste - do tej młodej kobiety. Co zrobić? Oni zapewne oczekiwali, że bez wahania wezmę udział w tej pogoni za zdobyczą. Albo że sam tę zdobycz wykończę. A może nie trzy czy cztery osoby są brane pod uwagę od samego początku, ale jedna: ja. Chcą mieć zabójcę? No to będą mieli.

Wróciłem do moich współpracowników i w krótkich słowach opowiedziałem, jaki obrót przybrała sprawa. Mastroni odezwał się pierwszy.

- Normalka. Tak się musiało skończyć.

- O jedną firmę za dużo w tej branży?

- Nie, nie. Finanse. Dzisiaj nie zarabia się pieniędzy na produkcji czy na tym, że się zadowala konsumenta. Zarabia się na giełdzie. Spekulacje finansowe. Stąd napływają pieniądze i otwierają się perspektywy. Oni to nazywają przenajświętszą konkurencją, chodzi o to, żeby kupić konkurenta, a tym samym sprawić, by zwinął interes. W jakim stanie jest nasz kapitał?

Hirsch już maltretował swój komputer.

- Przyjrzałem się dokładnie stopie samofinansowania, ale nie zwróciłem uwagi na fundusze własne. Wiedziałem, że nie ma nas na giełdzie, sądziłem, że nic nam nie grozi. Niech pan na to popatrzy: nie ma większości, najważniejszy akcjonariusz posiada jedenaście procent. Są trzy banki, jeśli się połączą, osiągną dwadzieścia siedem.

- Za mało.

- Tak. Dopóki nie dochodzi do trzydziestu trzech...

- Naturalnie nie mamy dość forsy, żeby odkupić jedną trzecią Laurence?

- W żadnym razie.

- No to ona już jest skazana - stwierdził Mastroni.

- I dobrze jej tak - burknęła Brigitte Aubert. - Zawsze mnie drażniła, ważniaczka...

Uciałem tę rozmowę.

- Tak, tyle że Charriac trochę za bardzo obrasta w piórka. To niedobrze... Jeśli nas zmarginalizuje, będzie mógł dyktować swoje prawa. A jeśli porażka Laurence okaże się początkiem naszego upadku?... Chyba nic na tym nie zyskamy?

- Tak czy inaczej - odparł Mastroni - brakowało tu równowagi. Pani Carre ma trzech akcjonariuszy, my trzydziestu dwóch... A Charriac? Można podejrzeć strukturę jego kapitału?

- Zaraz zobaczą - odpowiedział Hirsch, wypisując dane na komputerze.

Mastroni podrapał się po karku.

- Batalia finansowa. Jak mi to obrzydło! Do tego potrzeba speców. Podłożyliśmy się, to było do przewidzenia. Po jaką cholere robić te haczyki do wędek? Tu chodzi o pieniądze. Do dupy z haczykami! My graliśmy w belotkę, a oni w pokera.

Popatrzyłem na każdego po kolei.

- Nie my, ale ja. Biorę to na siebie. Mastroni ma rację, nie pograłem za dobrze. Taki ostrożny kapitalizm. Ciekawe, dlaczego nie kupiliśmy rosyjskich pożyczek. Fakt, nie robi się pieniędzy na produkcji, zarabia się na podbieraniu innym. I my będziemy to robić.

Odezwał się odwrócony plecami Hirsch:

- Kapitał Charriaca jest taki sam jak nasz. Największy ma siedemnaście procent, najmniejszy poniżej ośmiu. On też może być spokojny.

- Czyli że - wtrąciła się Marilyn - tylko ta biedna Laurence znalazła się na wylocie.

- Nie przyłożyła się za bardzo - zawyrokowała Brigitte Aubert. - Łatwiej kontrolować trzy osoby niż pięćdziesiąt, prawda?

- Nieprawda - zaproponował Mastroni. - O wiele trudniej.

W tym momencie wszedł El Fatawi i położył na stole plik dokumentów.

- Kazano mi to przynieść. Słuchajcie, chłopaki, może popracujemy razem?

- Oczywiście zgłaszam najwyższy sprzeciw - odparł Mastroni, bez uśmiechu.

El Fatawi popatrzył na niego, nic nie rozumiejąc, odważył się na przyjacielski uśmiech i wyszedł. Mastroni rozsiadł się w fotelu.

- Zgadzam się trochę z Jérôme'em. Nie mamy żadnego interesu w tym, żeby Charriac wchłonął ekipę B. Chyba że ta operacja go osłabi.

Im dłużej słuchałem Mastroniego, tym bardziej go ceniłem. Spokojny, inteligentny, kompetentny... Mogłem się na nim oprzeć o wiele mocniej niż dotychczas. Wyglądał jak niedźwiedź, więc brakowało mu charyzmy, ale to żadna przeszkoda dla moich zamiarów względem niego.

Nagle Hirsch poruszył się na krześle.

- *I got it!* - wykrzyknął triumfalnie. - Znalazłem rozwiązanie! Amerykanin, ten od CD-ROM-u, wniesie pieniądze. Jest gotów wziąć piętnaście procent z naszego kapitału. Jeśli mamy środki płynne, nie musimy inwestować i możemy się przenieść na rynek kapitałowy.

Gwizdnąłem.

- Sam to wszystko zmontowałeś?

- Tak. Jedni pracują, inni się onanizują, tak już jest. A teraz popatrzcie na bilanse grupy B; trzeba sprawdzić, czy nie kupują jakiejś tandety, która lepiej idzie.

Byłem tak zajęty rozwikłaniem intryg Del Rieco, Charriaca i całej szajki, że nie dość twardą ręką trzymałem moją ekipę. Hirsch i Mastroni pięli się w górę i zaczynały im wyrastać skrzydła. Gdybym to zbagatelizował, niebezpieczeństwo mogło nadejść od wewnątrz.

Złożyliśmy ofertę nieco korzystniejszą niż oferta Charriaca - to nie było trudne: myślałem, że jest sam, więc skalkulowałem minimum. O czwartej po południu zostaliśmy współwłaścicielami ekipy B.

Niezły interes. Niezbyt dobrze zarządzali, ale mieli środki. Poświęcając jedną czy dwie produkcje deficytowe, powinniśmy od tego roku uzyskać małą równowagę i aspirować do dużej za jakieś trzy lata. Około dwudziestu zwolnień, nie więcej. Wcześniejsze emerytury? Powinniśmy z tym sobie jakoś poradzić. W gruncie rzeczy interes był czysty.

Dziesięć minut później Charriac przysłał nam e-mail. Na szóstą zwołał radę nadzorczą firmy B. Każdy członek zarządu mógł przyjść z asystentem.

- Jakim prawem? - zaprotestował Mastroni. - Pani Carre jest ciągle dyrektorem, prawda? Jeśli rada nie zbierze się zgodnie z przyjętymi normami, możemy poprosić trybunał handlowy o jej odwołanie.

- Tak. Trzymajmy to w zanadrzu na wypadek, gdyby sprawa przybrała zły obrót. Ale chciałbym usłyszeć, co też on ma nam do powiedzenia. I zobaczyć jego minę.

Liczyłem na to, że będę mógł delektować się jego gniewem. Rozczarowałem się. Nigdy tak bardzo nie triumfował. Zebraliśmy się w sali, którą dotychczas zajmowała Laurence. Wziąłem ze sobą Mastroniego, Charriac przyszedł z Pinettim, a Laurence postawiła pod ścianą zwykłego członka swojej grupy, tylko po to, by notował wszystko, co zostanie powiedziane. Zebranie otworzył Charriac, jak zawsze w nieskazitelnym ciemnoniebieskim garniturze.

- A więc zaszło kilka drobnych zmian... Pani Carre musi poinformować nas o swoich zamiarach. Wydaje mi się, że ma tylko taki wybór: albo odpływa łodzią jutro rano, albo dalej pracuje pod naszą kontrolą. Nie będę przeciągać chwili niepewności: obojętne, co zrobi. Byleby zgodziła się wykonywać nasze polecenia. Jestem przekonany, że jeśli się na to zdecyduje, będziemy mogli liczyć na jej lojalność.

- Chwileczkę, ona wciąż jest prezesem - wtrącił się Mastroni, zanim zdążyłem go uciszyć.

Charriac zaśmiał się drwiąco.

- Ależ nie! Postanowimy, kim będzie. Oczywiście możemy stracić kilka minut na przedyskutowanie formy, ale to nic nie zmieni w końcowym wyniku.

Laurence patrzyła przed siebie, niby niewrażliwa na to, że Charriac ją upokarza. Mastroni się zdenerwował.

- Nie sądzę, by forma nie miała znaczenia. Pani Carre zwykle przewodniczy, przyznaje prawo głosu i ustala porządek dnia. A propos, gdzie on jest?

Charriac przyjął cierpliwy ton nauczyciela.

- Panie Mastroni, gdybyśmy byli w sytuacji realnej, moglibyśmy przez chwilę plątać się w rozważaniach. Byłoby to nawet zabawne. Ale tak nie jest. Jeden dzień odpowiada trzem miesiącom. Czyli jedna godzina to prawie cztery dni. Jeśli przyjmujemy, że takie prawne subtelności zabierają zwykle trzy realne godziny, teraz powinniśmy im poświęcić... no najwyżej dwie minuty. Już minęły.

Laurence przerwała te pouczenia. Mówiła do nas, zwrócona profilem, nie patrząc w oczy, często

tak robiła.

- Pan Mastroni ma rację, ja powinnam otworzyć to zebranie. Jestem pełna podziwu dla zdolności pana Charriaca do rachunku pamięciowego, ale sądzę, tak jak on, że tracimy czas. Przypuszczam, że pierwszym punktem porządku dnia, którego żądacie, jest wybór przewodniczącego tej rady. Przystąpmy więc do tego.

- Dobrze powiedziane - pochwalił Charriac. - Zaczynajmy. Proponuję kandydaturę tu obecnego pana Pinettiego.

Nie mogłem się nie uśmiechnąć.

- To chyba żart? Nie ma żadnego powodu, byście przejęli kontrolę...

- Nie przejmuję kontroli. Zastanówcie się: to nie mogę być ja. To nie może być pan, panie Carceville. I to nie może być pani Carre, która doprowadziła firmę do punktu, w którym się właśnie znajduje. Potrzebujemy więc czwartej osoby. Kogoś w rodzaju Gulbenkiana. Wiecie, kim był Gulbenkian?

- Nie omieszka pan nam o tym powiedzieć - poddał się Mastroni.

- No właśnie. Dwie kompanie naftowe kłóciły się o podziemia nie wiem już jakiego kraju, Iranu czy Iraku. Żadna nie mogła mieć większości, a przede wszystkim żadna nie chciała, żeby większość miała ta druga. Więc każda wzięła czterdzieści dziewięć i pół procent, wyszły na ulice, złapały pierwszego przechodzącego kłozarda i zaproponowały mu za darmo jeden procent akcji, pod ścisłym warunkiem że absolutnie do niczego nie będzie się mieszał. Coś w rodzaju błękitnych kasków. Ten jeden procent uczynił go bajecznie bogatym; wiódł luksusowe życie, otworzył muzea słynne w całym świecie, fundację artystyczną i zawsze dotrzymywał obietnicy, absolutnie nic nie robił, jedynie swoją obecnością nie dopuszczał, by ukonstytuowała się większość. Marzenie! Niestety, taki zbieg okoliczności zdarza się raz na cały wiek...

- Jak to miło porównywać Pinettiego do kłozarda - skomentował Mastroni.

Charriac się nie speszył.

- No, on nie był tak naprawdę kłozardem, ale handlarzem dywanów czy sklepikarzem, już sam nie wiem. Naturalnie, jeśli pan Pinetti przyjmie na siebie tę odpowiedzialność, natychmiast odejdziesz z mojej ekipy.

- Nie mam jednego procenta, a trzydzieści trzy - chłodno powiedziała Laurence.

Ja także zabrałem głos. Najwyższy czas przerwać tę wznoszącą się krzywą Charriaca.

- No dobrze, pan Charriac próbuje nam wcisnąć Pinettiego, ale musielibyśmy upaść na głowę, zanim tu przyszliśmy. Tyle że to jedna szansa na tysiąc. A teraz poważnie: niech pan powie, kogo tak naprawdę ma pan na myśli.

Zrobił strapioną minę.

- Przecież powiedziałem! Nie do wiary, wszystko z góry dokładnie wyjaśniam, a nikt na to nie zwraca uwagi i jeszcze zadają pytania! Ani pan, ani ja, ani nikt z tu obecnych. No więc kto? Nikt od pana, nikt ode mnie ani od pani Carre. Kto pozostaje? Zastępca dyrektora jej ekipy, i jeszcze dodamy mu radę nadzorczą. Albo, jeśli wolicie, zrobimy spółkę z dyrektoriatem. Pani Carre, jak się nazywają te pani typki? Kogo pani by poleciła?

Pinetti udawał, że kartkuje notes.

- Może być Chalamont, El Fatawi, Leroy...

- No właśnie - przytaknął Charriac. - Na przykład Chalamont. Leroy nie, cały dzień będzie wisiał przy telefonie, uskarżając się płaczkliwie.

- Mam nadzieję, że pan żartuje? Charriac zrobił zirytowaną minę.

- Proszę posłuchać, w realnym życiu poszukalibyśmy gdzie kogoś odpowiedniego. Tutaj jesteśmy na wyspie. Nie ma nikogo innego. Musimy zadowolić się tym, co mamy. Albo siedzieć z założonymi rękami. Przedstawiłem uczciwe propozycje: Pinetti, który usuwa się z mojej ekipy, Chalamont czy nawet Arab, jeśli chcecie. A wy wszystko odrzucacie. Sam już nie wiem, co można zrobić. Chyba tylko zamknąć interes. Słucham państwa...

A więc do tego chciał nas doprowadzić. Uwięził nas w rozumowaniu, które nieuchronnie prowadziło do zawieszenia działalności. Patrzyłem mu prosto w twarz, szeroko się uśmiechając.

- Charriac, pan nie przyjrzał się dokładnie szachownicy. Ma pan trzydzieści trzy procent, nie więcej. Proponuję kandydaturę pani Carre i proszę ją o przystąpienie do głosowania.

Podniósł ręce w geście rozpaczy.

- Nonsens! Co za interes utrzymywać ją przy życiu sztucznym oddychaniem? Ona już przegrała, panie Carceville. Gdyby miała choć trochę godności, wycofałaby się i zaczęła pakować walizki. Chce pan, żeby tu została w śpiączce?

Laurence się zaczerwieniła. Stałem w jej obronie.

- Ma prawo grać do końca...

- Jest zgrana do suchej nitki - zaprotestował Charriac. - Nie została jej ani jedna strzała, jest naga. Wszystko, co wygra, jeśli w ogóle cokolwiek wygra, uzupełni nasze bilanse. Ale najprawdopodobniej dalej będzie kierować firmą jak nieudacznik, a my będziemy musieli zacierać straty. Co u was robi się ze zwłokami? Balsamujecie je? Ja palę. Zajmują mniej miejsca.

Oczywiście ta brutalna przemowa była skierowana do Laurence. Upokarzając ją, Charriac próbował ją złamać. Ona jednak trzymała się mocno. Zachowała kamienną twarz, tak jakby dyskusja jej nie dotyczyła. Charriac rzucił ostatni kamień:

- Ogłaszamy upadłość firmy. A potem zobaczymy.

- Zaraz, zaraz! - wybuchnął Mastroni. - I pan ją przejmuje za symbolicznego franka! Nie widzę powodu. Ta firma nie traci pieniędzy. Nie jest zadłużona. To tylko zmiana w strukturze kapitału.

Charriac zręcznie skorzystał z okazji.

- Nic nieznaczący detal! Wy rzeczywiście nic nie rozumiecie! Niech pan przeczyta instrukcję obsługi, Mastroni. Celem gry jest zdobycie pieniędzy. Wszystko jedno gdzie, byle jak, jakimkolwiek sposobem. Pani Carre to osoba nadzwyczaj czarująca i sympatyczna. W realnym życiu z wielką radością zaproszę ją do restauracji, jeśli zrobi mi tę przyjemność i się zgodzi, i pogawędzę z nią o ostatnich ploteczkach. Ale tutaj do niczego się nie przyda!

Oburzony Mastroni nie potrafił zachować spokoju.

- W jakikolwiek sposób? Więc dlaczego nie importuje pan narkotyków?

- A kto panu powiedział, że tego nie robię? Za dziesięć lat to będzie legalne. Narkotyki, drogi panie Mastroni, to pięć procent światowej gospodarki. Światowej! Nie można sobie pozwolić na odrzucenie pięciu procent globalnego obrotu handlowego tylko dlatego, że FBI postanowiło: alkohol jest cacy, a narkotyki be. Jeśli istnieje rynek zbytu, kiedyś będą dozwolone. A istnieje. Prohibicja nie trwała nawet dwudziestu lat. Wszystkie gliny świata mogą do woli sikać na ten mur, nie naruszają go. To kwestia czasu.

- Nie na temat - przerwałem. - Zaczynamy mieć dosyć pańskich elukubracji. Proszę przejść do głosowania.

- Odpowiadam pańskiemu przybocznemu - oświadczył Charriac. - On o tym mówił. Głosujcie

sobie, ile chcecie, jeśli jeszcze w to wierzycie. Ja mam mniejszość blokującą, mogę was sparaliżować, na jedno wyjdzie. Niech pan posłucha, panie Carceville, nie będziemy tu siedzieć całą noc. Moje ostatnie słowo: Chalamont prezesem, ja i pan wiceprezesami, jeśli panu zależy na utrzymaniu tego interesu.

Byłem nieugięty, powtórzyłem:

- Głosujemy. Charriac wstał.

- Beze mnie. Zajmujecie się biznesem czy tworzycie cikliwą komiksową historyjkę? Mam nadzieję, że zaprosicie mnie na wesele. Tak wam dam popalić, że w nocy nie zmrużycie oka.

Zrobił trzy kroki, przystanął przed Laurence.

- Pani Carre, niech mi pani powie: to ten mój płyn po goleniu, prawda? Zapach nigdy się pani nie podobał, co? Wiedziałem! Obiecałem sobie, że go zmienię, ale zapomniałem.

- Nie. To pańskie idiotyczne zachowanie - odparła Laurence, cedząc słowa.

Charriac nie przejął się jej reakcją.

- Ach, jakże ja lubię ten miły nastrój w czasie zebrania rad nadzorczych! - wykrzyknął. - Wokół sami przyjaciele, bardzo szczerzy! Uwielbiam to! Rozumie się, że zarzucę was odwołaniami. Kiedy nie staje siły, pozostaje prawo...

I wyszedł. Zapadła cisza. Potem wszyscy pozbierali swoje rzeczy. Mastroni zrobił przygnębioną minę.

Ja ciągle siedziałem, podczas gdy oni opuszczali salę. Laurence jeszcze się odwróciła; pytająco uniosła brew.

- Pan nie wychodzi? Na co pan czeka?

- Choćby na podziękowania - odparłem ironicznie.

Powoli zrobiła dwa kroki w moją stronę.

- Wielki Boże! A za co?

- Na przykład za to, że panią uratowałem...

Pośladkiem oparła się o stół.

- Pan mnie nie uratował. On ma rację. Jestem spalona. Zostaję tylko z ciekawości. Żeby zobaczyć końcówkę.

- Robiłem, co mogłem...

Położyła mi rękę na piersi, jakby chciała utrzymać dystans.

- Tak. Dla samego siebie. Nie mógł pan zaakceptować Pinettiego, Chalamont to zupełna klęska, więc nie chciał pan, żebym odpadła z gry. Charriac mógłby mieć zbyt dużą przewagę, a pan potrzebuje trochę czasu na pertraktacje z tym pańskim Amerykaninem.

- Skąd pani to wie?

Oczy jej się zwęziły. Ani krzty łagodności w surowej zmarszczce koło ust.

- Ja sporo wiem, Jérôme. Dobrze wam się przyjrzałam, Charriacowi i panu. On obija się po kątach i robi dużo zamieszania. Pan raczej jest oszczędny w słowach. Ale jesteście z tej samej gliny. Tak samo kombinujecie. Ten sam wzór, to samo rozumowanie. Pan zachowuje formy. To jedno was różni. I niech pan powie, że jest inaczej...

Spuściłem oczy.

- Ta gra taka jest, Laurence. Więcej, życie chyba takie jest...

- Życie!

Uniosłem głowę. Była bliska łez. Opanowała się i mówiła dalej:

- Życie! Co pan wie o życiu? Bazarowa filozofia, głupoty powtarzane na pogrzebach, czego jeszcze chcieć, takie jest życie, nic nie poradzimy! Przez chwilę myślałam, że pan jest inny. Chwilę słabości. Albo optymizmu. To nie trwa długo, rozczarowanie nie jest zbyt dotkliwe... Wciąż miałam nadzieję, że pan się poderwie, zaprotestuje, zaprzeczy. Dałam panu ostatnią szansę. Ale pan jej nie wykorzystał. Żeby chociaż pan jej nie dostrzegł... tymczasem pan dostrzegł.

Próbowałam żartować.

- Laurence, przygnębienie sprawia, że pani się trochę gubi...

Otworzyła torebkę, wyjęła paczkę papierosów.

- Nie będzie panu przeszkadzać, jeśli zapalę?

- Nie, nie.

- A jeśli umrę, zasmuci to pana? Może troszeczkę, niech pan tak powie, żeby mi sprawić przyjemność. Charriac czerpie przyjemność z zabijania, to sadysta. Panu jest naprawdę przykro, że znalazłam się na linii strzału. Mimo to pan wystrzelił.

- To naprawdę niesprawiedliwe, co pani mówi! Przerazające! Chce pani usłyszeć prawdę? Proszę. Owszem, nie leżało w moim interesie, żeby się stąd wynosić. Tak czy inaczej sytuacja jest zneutralizowana. Charriac chciał Chalamonta. Ja mogłem zaproponować El Fatawiego. Poszedłby na to, żeby tylko zawrzeć ze mną rozejm. Albo udać, że w to wierzy. Pani mi powiedziała, że El Fatawi jest beznadziejny, choć w gruncie rzeczy może nie taki najgorszy. Walczyłem, żeby to była pani. Mogłem grać na zwłokę, wynegocjować zawieszenie broni. Teraz jestem na wojennej ścieżce z Charriakiem. W bezpośredniej konfrontacji.

- W finale - szepnęła z wysiłkiem.

- Tak, w finale. Wcześniej niż zamierzałem. Zrobiłem to dla pani. Szkoda, że pani tego nie dostrzegła. I że z zarzutami przyszła pani do mnie. Ja jeden na nie nie zasługuję. Niech się pani dobierze do Charriaca, do Del Rieco, do De Wavre, do kogo pani chce. Ale nie do mnie. A zresztą, niech pani robi, co się pani podoba...

Tym razem ukryła twarz w dłoniach. Zgarbiła się pod wpływem napięcia nerwowego ostatnich dni. Zaszlochała. Nieśmiało pogłaskałam ją po włosach.

- Laurence, nie zagrała pani tak najgorzej... Rozumiem, że ma pani pretensje do całego świata, ale to jeszcze nie katastrofa. Życie toczy się dalej...

Wybuchła:

- Niech mi pan nie mówi o życiu! To irytujące! Nigdy nie słyszałam czegoś tak głupiego! Nie o to chodzi! Chciałam zwyciężyć tutaj, w De Wavre, naprawdę pragnęłam tego! Byłam gotowa na wszystko! Na wszystko, słyszy pan?

Dwa czy trzy razy miałem w biurze kobiety, którym zadarta spódniczka odkrywała uda i które mówiły dokładnie to samo. Zrobiło mi się przykro, że Laurence nagle się do nich upodobniła. Zabrałem rękę.

- Nie ja mogę pani dać to, czego pani oczekuje, Laurence. Tylko on jeden: Del Rieco. Czy jest pani przegrana, czy nie, na pani miejscu skoncentrowałbym się na nim.

Otrząsnęła się, wytarła oczy.

- Co powinnam zrobić?

- Ja widzę to tak. Charriac ma przewagę. Pokonał panią, a jeśli ja zrobię najmniejszy błąd, i mnie pokona. Kluczem jest Del Rieco. Gdybyśmy tylko mogli wejść w jego program... Leciutko skorygować dane... Pani zachowała swój tytuł, ale do niczego już pani nie służy. Gdyby pani

sprzedawała przynęty na Saharze, nie byłaby pani w gorszej sytuacji. Nie może pani iść tą drogą. Trzeba znaleźć inną. Jediną pewną. Del Rieco. On trzyma wszystko w swoich rękach. Giełda, wymiar sprawiedliwości, światowa organizacja handlu, państwo... jest wszystkim naraz. Może sprawić, że ktoś wygra, może też każdego pogrożyć. On jeden jest ekonomią światowej gospodarki rynkowej. Jeśliby chciał panią ratować, wystarczyło, żeby powiedział: akcjonariusze są związani z firmą i odmawiają sprzedania swoich udziałów. Koniec, kropka. I tyle. Ale on tego nie zrobił. A jednak takie rzeczy się zdarzają, nie byłoby to sprzeczne z jego logiką. To Del Rieco do pani strzelił. Na pewno nie ja, nawet nie Charriac. Jeżeli chce się pani mścić, proszę nie mylić adresów.

Popatrzyła na mnie uważniej.

- A co pan na tym wszystkim zyska? Nadałem policzki i wypuściłem powietrze.

- Może nic. Radość z tego, że uda mi się powstrzymać pani łyzy. A może dużo, jeśli podzieli się pani ze mną informacjami. I przestanie myśleć, że źle pani życzę.

Podeszła do okna, oparła się palcami na parapecie i przypatrywała się świerkom.

Zachowywała się inaczej niż większość ludzi: kiedy chciała coś ważnego powiedzieć, patrzyła gdzieś w przestrzeń. Trzeba było nadstawiać ucha, żeby ją usłyszeć.

- Staram się zrozumieć, w czym tkwi pułapka - powiedziała cicho. - Zwykle mówi pan A, myśląc B i mierząc w C.

- Ja? - oburzyłem się.

- Pan i ci inni. Nie wyobrażałam sobie, że będzie tak trudno...

- Ja też nie. Wszystko jest jakoś wykoślawione. Po to, żebyśmy się oswoili. Charriac myśli, że idzie prostą drogą. Ale on sam jest tak pomyłony, że krzywa to dla niego koncepcja prostej. A najbardziej pokręcony jest Del Rieco. Niech pani to sobie przemyśli, Laurence. Sama w sobie. To nie ja wszędzie umieściłem miny.

Przekrzywiła głowę aż do ramienia, tak jakby nie słyszała, co powiedziałem.

- Muszę szybko się stąd wydostać. Przed chwilą, kiedy mnie poniewierał, obnażał, o mało nie pękłam, miałam ochotę wszystko rzucić. Cóż to by była za rozkosz znowu znaleźć się wśród normalnych ludzi!

Odpowiedziałem spokojnie:

- Tacy nie istnieją, Laurence. Tutaj jesteśmy nadzy i nie mamy za wiele czasu. Więc wszystko widzimy ostrzej. To jedyna różnica.

Odwróciła się. Jej sylwetka odcinała się na tle ciemnego, gęstego lasu.

- Wie pan, gdy byłam młoda, sądziłam, że można dobrze kogoś poznać, kiedy się z nim idzie do łóżka. Że ciało nie potrafi kłamać. Ale to też nieprawda...

- *Mondo cane**/*Mondo cane* (wł.) - pieski świat (przyp. tłum.) - podsumowałem, odzyskując dobry humor. Nie wiedziałem, co teraz robi. Ale myślałem już o tym, co ja zrobię.

Rozmowa pozostawiła we mnie uczucie niepokoju. Zaskoczyło mnie to, że Laurence skierowała swoją agresję, najzupełniej naturalną po tym, co się wydarzyło, przede wszystkim przeciw mnie. Być może spodziewała się po mnie o wiele więcej, niż sądziłem. Lecz przecież nic o mnie nie wiedziała, ja nie wiedziałem nic o niej, ledwo się dotykaliśmy - więcej nawet: dokładaliśmy starań, żeby się nie dotykać. Dobrze wiedziałem, jak potoczy się symulacja, więc nie chciałem stwarzać żadnych powiązań. A jednak, wbrew mojej woli, kilka gałązek się splotło. Postanowiłem nie brać tego pod uwagę. Gra symulacyjna, ze swoimi warstwami dwulicowości, jest wystarczająco skomplikowana; nie należy wprowadzać do niej jeszcze zawilego węzła osobistych relacji uczuciowych i splotu

indywidualnych psychologii. Powiniennem skupić się na priorytetach. Jeśli w końcu ma być jeden jedyny zwycięzca, to nie może nim być Laurence. Ale ja tak. A potem, z wysokości podium, będę próbował się za nią wstawiać. Jej odwaga i wytrwałość są tego warte.

Przy kolacji musieliśmy znieść długą diatribę Pinettiego przeciw związkom zawodowym. Dotychczas dały nam święty spokój (cierpliwości, poczekajmy do trzeciego dnia), ale Bóg jeden wie, dlaczego Pinetti obrał je sobie za cel ataku. Tłumaczył nam, że walka klas to przestarzała idea, szokujący archaizm w epoce Internetu. Zmiany technologiczne i społeczne obaliły takie relikty przeszłości i trudno zrozumieć, dlaczego ludzie inteligentni prawie wszędzie ciągle o tym mówią, uważając związki pracodawców za wroga. Wszyscy pracownicy przedsiębiorstwa mają, jego zdaniem, wspólny interes, priorytet, w popieraniu jego rozwoju; w międzynarodowym kontekście bezlitosnej konkurencji nie można sobie pozwolić na podsycanie wojny domowej, podejrzeń, roszczeń, nie dających się pogodzić z celami działalności. Brigitte Aubert zwróciła mu uwagę, że to, co mówi, jest równie przestarzałe, wręcz analogiczne jak idea walki klas, że zawsze istnieli bogaci i biedni, i niby co miałby tu zmienić Internet? Odpowiedział, że trzeba porzucić marzenie o równości; wszystkie systemy odwołujące się do niej upadły, podczas gdy te, które uwzględniają różnice i odpowiednio je rozkładają, w zależności od kompetencji, coraz lepiej się sprawdzają. El Fatawi zastawił na niego pułapkę, zapytał, czy patrzy na społeczeństwo jak na ludzkie ciało, z członkami przystosowanymi do odpowiednich funkcji i wyspecjalizowanymi komórkami, każdą na swoim miejscu.

- Dokładnie tak - odpowiedział.

- A więc pan jest dokładnie faszystą - odpalił El Fatawi. - Taka organicystyczna wizja leży u podstaw teorii faszyzmu.

- Mój Boże, intelektualista! - rozczulił się Pinetti.

- To także typowe dla faszyzmu - zauważył El Fatawi. Pinetti się zdenerwował.

- W takim razie, panie profesorze, gdzie są psy policyjne? Gdzie wieże strażnicze? Więźniowie polityczni? To społeczeństwo nigdy nie cieszyło się większą wolnością!

- Dlatego, że udało wam się zniszczyć każdy zbiorowy projekt. Liczą się tylko indywidualne, egoistyczne pobudki. A na szczycie ludzie, którzy decydują w imię ogółu, w imię kompetencji technokratycznej. Nikt się już nie buntuje. Jest tak wiele zabójstw, depresji, samobójstw. To prawda, nie ma więźniów politycznych, ale czterokrotnie więcej więźniów kryminalnych. Nigdy nie wybuchало tak mało strajków. I nigdy nie było tylu ludzi w więzieniach.

- Bo nie grają zgodnie z zasadami - oświadczył Pinetti. - Przestrzegajcie zasad, a nie będziecie mieli kłopotów. Przemoc zastąpiono prawem. Czy to nie postęp?

- Kto ustanawia prawo? Kto dba o sprawiedliwość?

- Pan. Ja. Za pośrednictwem ludzi, których wybieramy.

- Bzdura! Dwustu technokratów... nikt ich nie kontroluje, a oni panicznie boją się reakcji rynków kapitałowych. Nie potrzeba już ustawiać kordonów policji: wydaje się dekret i pozwala działać sędziom. To zawsze zmierza w tym samym kierunku: interes korporacji wielonarodowych i Stanów Zjednoczonych, co wychodzi na jedno. Trzeba być głupolem jak Milošević, żeby tak dać się zarzucić bombami. Jeśli jesteś światłym człowiekiem i pewnego pięknego dnia twoje pieniądze stracą jedną dziesiątą procent, od razu zrozumiesz, że zrobiłeś głupstwo. Wtedy natychmiast stajesz na baczność i jesteś posłuszny.

- No tak. Istnieją pewne zasady rentowności, wszędzie takie same. To prawa ekonomiczne;

podobnie jest w pana przypadku: musi pan oddychać, jeść, sikać, i nic pan na to nie poradzi. Nie uczyli pana tego na uczelni? Jeśli pan pogwałci to prawo, to tak jakby pan odmawiał oddychania: i skaże się pan na śmierć.

- A jeśli pan go przestrzega, też pan umrze. Ale to nie ci sami umierają. Na tym polega różnica.

- Można by już skończyć? - zajączał Morin. - Jakbym słuchał radia France-Culture!

- Niewiarygodne - odezwała się Laurence z miną jakby nigdy nic. - Pan Morin wie, że istnieje coś takiego jak France-Culture, a to niespodzianka...

Atmosfera niebezpiecznie się zagęściła. Cała ekipa Laurence dawała wyraz swojej niechęci i brała odwet za niepowodzenia, atakując przybocznych Charriaca. Byłem przekonany, że jeśli Pinetti wystąpi z apologią Stalina, El Fatawi podkreśli zalety liberalizmu. Stosowali zawile, subtelne wybiegi, by wyrazić nie wprost: „Jesteś draniem, nienawidzę cię”. Przeważnie wygląda to jak spór ideowy; reszta to zasłona dymna.

Przy kawie czekała nas niespodzianka. Jego Wysokość Del Rieco łaskawie zgodził się do nas dołączyć. Miał na sobie niebieski blezer i nieskazitelnie białe spodnie. Jean-Claude i Nathalie szli za nim, jak zwykle powściągliwi i milczący. Obdarzył nas swoim szerokim hollywoodzkim uśmiechem, obnażającym wszystkie zęby. Jego zielone oczy jaśniały sympatią spod rozrośniętych brwi. Udawał serdeczność.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam?

- Wręcz przeciwnie, za rzadko pana widzimy - odpowiedział Pinetti, podsuwając mu krzesło.

- To dlatego, że nie chcę ograniczać waszej wolnej woli - usprawiedliwiał się. - Jutro wieczorem kończymy nasze wprawki. W piątek będzie jeszcze niewielki bieg z przeszkodami i koniec. W sobotę rano możecie o mnie zapomnieć.

Gorąco podziękował kelnerowi, który nalał mu kawy. Aż nazbyt przejęty. Można by go wziąć za amerykańskiego polityka w czasie kampanii przedwyborczej.

- No jak tam? - spytał, mieszając łyżeczką kawę. - Jak leci? Nie za ciężko?

Laurence skoczyła na głęboką wodę.

- Musi pan nam wyjaśnić... niektóre pańskie decyzje...

Odwrócił ku niej rozpromienioną twarz. Wyobraziłem sobie, że zaraz ją pocałuje.

- Nie podejmuję ich za wiele. Mamy coś w rodzaju wzoru, wzbogacanego naszymi obserwacjami. Kiedy podejmujecie jakąś inicjatywę, odwołujemy się do istniejących już tabel. Liczba możliwych racjonalnych posunięć nie jest nieskończona. Proszę się nie gniewać, ale wasze zachowania są mniej więcej przewidywalne. Znacnie „książki, których jesteście bohaterami”?

- Najpierw proszę wytłumaczyć panu Morin, co to jest książka - ironizował El Fatawi.

- Bardzo śmieszne. - Morin wzruszył ramionami. Del Rieco obdarzył nas półuśmiechem i mówił dalej:

- To są książeczki dla dzieci czy może, powiedzmy, dla młodzieży. Na każdej stronie trzeba dokonać wyboru. Jeśli wybierasz A, idziesz na stronę 51. Jeśli wybierasz B, na stronę 19. I tak dalej. Niektóre decyzje prowadzą w ślepy zaułek, inne posuwają naprzód. U nas jest mniej więcej to samo. No, trochę bardziej skomplikowane i bardziej realistyczne. W naszym modelu możecie wybrać każde rozwidlenie, jakie wam się spodoba. Jeśli zrobicie tak, będzie tak i tak. I tyle. Mówiłem wam na samym początku: wszystko polega na wcielaniu się w pewne role. To rodzaj rozrywki.

- Rzeczywiście, bardzo zabawne - rzuciła Laurence. Del Rieco nie odnotował - albo nie wyczuł - ironii.

- Tak, może być zabawne. To jak Monopol. Jest w tym niewielki czynnik szczęścia. Tak jak w życiu. W zależności od tego, czego już dokonaliście, istnieje większe lub mniejsze prawdopodobieństwo sukcesu. Komputer nieustannie dopasowuje parametry. Jeśli staracie się o pożyczkę, reakcja banku zależy od gwarancji, jakie możecie przedstawić.

Charriac pozostawał nieco na uboczu, ale uważnie słuchał.

- Inaczej mówiąc, kiedy idzie dobrze, może być coraz lepiej, a kiedy źle, coraz gorzej - stwierdził.

Del Rieco się zgodził.

- No właśnie. Przeważnie tak się dzieje. Teoria ruchomych piasków. Wystarczy postawić nogę i można się na tym przejechać.

- A kiedy ktoś wychyli się poza schemat? - spytałem.

- Właściwie to nigdy się nie zdarza - odparł Del Rieco. - Mamy tu bibliotekę. Jeśli ktoś wychyla się tylko trochę, podejmuję decyzję na podstawie tego, co wydaje mi się logiczne. Na podstawie mojego doświadczenia. A jeśli to jest zupełnie nieoczekiwane, przypadek bardzo rzadki, chwytam telefon i zasięgam porady ekspertów. Pewnego razu jakiś cwaniaczek zademonstrował prawo, o którym nigdy nie słyszałem; kilka godzin trwało, zanim zdałem sobie sprawę, że je wymyślił.

- Zastosował pan sankcje?

- Tak i nie. Jeśli kłamie się w życiu, to jeszcze uchodzi. Ale inni tracą zaufanie.

- Jakoś z tego wybrnął?

- Dodaliśmy jedną linijkę do jego karty opisowej. Są pracodawcy, których nie przeraża bezczelność, ale i tacy, co zachowują większą ostrożność.

- Sporządzicie takie karty każdemu z nas? - spytał Charriac.

- Oczywiście. Taki jest cel.

- Można zobaczyć wzór? Jakiś przykład?

Del Rieco ze śmiechem pokręcił głową.

- Nie, nie. To kartoteka tylko do naszego użytku.

- Każdy ma prawo zapoznać się z kartą, która go dotyczy - powiedział El Fatawi.

- Naturalnie. Tak jak w wypadku bilansu. Każdy akcjonariusz ma prawo do informacji. O bilansie oficjalnym. Prawdziwy pozostaje w tajemnicy. Możemy wam pokazać wasze karty, jeśli chcecie. Jest tam wasze CV i niewiele więcej.

- To na granicy legalności...

- Proszę posłuchać - odparł Del Rieco dobrotliwym tonem. - A czy legalne jest zatrudnienie faceta na podstawie jego znaku zodiaku? Tak. Myślicie, że to lepiej? Ja staram się zgromadzić informacje jak najbardziej obiektywne. Pracodawcy też tego chcą. I wszyscy są zadowoleni.

- Oprócz tych, których odsyłacie - wtrąciła Laurence. Del Rieco zamachał rękami.

- Nie, to nie tak się odbywa. Pierwszego przesiewu dokonaliśmy w Paryżu. Tutaj testujemy, jak zachowuje się kandydat w pewnych sytuacjach. Jak postępuje, gdy jest w grupie, jak reaguje, kiedy napotyka jakąś komplikację. Wszystko to, czego nie mówi nam CV. Potem znów robimy przesiew. Ci, których nie polecamy. Ci, których spróbujemy gdzieś zatrudnić, ale w odpowiednim miejscu, tam, gdzie będą mogli wykazać się określonymi uzdolnieniami i zminimalizować swoje słabe strony. I ci, których bez wahania możemy polecić. Jeśli potrzeba wam cukiernika, a ja proponuję doskonałego montera, to was to nie interesuje i vice versa. Tak samo dzieje się w firmie. Zespół. W pewnym momencie potrzeba wojownika, jeśli jednak macie już trzech, będą sobie włączyć w paradę i tłuc się

między sobą. Jest miejsce dla wszystkich, chyba wiecie.

- Trzy miliony osób nie są o tym przekonane - zamruczał El Fatawi.

- Bo nie znalazły odpowiedniego miejsca. Albo mają wadę fabryczną. Niezłych jest pełno. Dobrego znaleźć już trudniej. A bardzo dobry... to niezwykła rzadkość. My tutaj w De Wavre szukamy bardzo bardzo dobrych. Dlatego mamy dużo odpadów.

- Ile jest teraz, pańskim zdaniem? - spytał Charriac.

- A pańskim? - odciął się Del Rieco. - Kogo by pan przyjął do pracy?

Charriac nie uchylił się od odpowiedzi.

- Pinettiego. Delvala. Może Hirscha. Nikogo więcej.

- Podziękowania - odezwał się Morin.

Charriac dziwnie na niego spojrział.

- Ty już masz robotę...

Ku mojemu zdziwieniu Morin nie skomentował.

- Jak przyjemnie - odezwała się Laurence.

Na to Del Rieco:

- Interesująco.

- Nie odpowiedział pan na moje pytanie - nalegał Charriac. Jego małe oczka wpatrywały się w Del Rieco.

- Odpowiem panu. W piątek wieczorem. Spotkam się z każdym z osobna. I wtedy podam uzasadnienie naszej decyzji. Jeśli was nie zatrzymamy, przynajmniej to jedno wam zostanie. Dokładny remanent. *Checkup*.

Klepnął się po udach, wypił ostatni łyk kawy i wstał.

- To tyle. Wszystko już wiecie. Wszyscy otrzymaliście te same informacje. Życzę wam powodzenia.

Zatrzymałem go.

- Jeszcze jedno pytanie, jeśli można. Robi pan tak za każdym razem czy tylko z naszą grupą?

- Co robię?

- Pije pan z nami kawę po przyjacielsku i jak gdyby nigdy nic przekazuje nam pan informacje.

Nawet nie drgnął. Ten człowiek miał stalowe nerwy.

- Ach! No nie, czasami przy aperitifie. A czasem wcale. Postępuję tak jak wy: przystosowuję się do sytuacji.

- A co pan myśli o tej grupie? - spytała Brigitte Aubert. - O grupie jako całości.

Del Rieco skrzywił się zabawnie i nic nie mówiąc, skierował się do wyjścia.

Charriac popatrzył na mnie.

- Przyszedł sprawdzić, czy mu się przypadkiem nie wymykamy. Zamalować linię graniczną. Sądzę, że budzimy w nim niepokój.

Przede mną rozciągało się jezioro. Mój mózg podzielił się na dwie części. Jedna niezmiernie powracała do tego, co zarejestrował podczas rozmowy z Del Rieco. Nasz guru po coś do nas przyszedł, chyba nie z odruchu zwykłej sympatii. Miał nam coś do powiedzenia i powiedział. Że symulacja kończy się jutro? Od początku o tym wiedzieliśmy. Chodziło o coś innego, pewien szczegół, jedno słówko. W którymś momencie zapaliło się światełko alarmowe, rozpaczliwie starałem się je odnaleźć.

Jednak drugizwój mózgowy, inny obszar szarych komórek, skłaniał się ku filozofii. Dlaczego od

razu poszliśmy alejką prowadzącą do jeziora, a zawahaliśmy się przed ścieżką w górę? Dlaczego nie przeszukaliśmy najpierw zaplecza hotelu, wzgórza, przy którym stoi? Czy było coś fascynującego w tej matrycy nieruchomej wody, tak jakby z niej miało coś się wyłonić, jakaś prawda, objawienie? Czy dopisali do naszej kartoteki informację o skłonności do wybierania najłatwiejszej drogi, najpewniejszej, takiej, którą wcześniej wytyczyli? Po to, żeby ani na chwilę nie tracić z oczu drugiego brzegu, łączącego nas z cywilizacją? Gdzie się podziła strukturalna skłonność istoty ludzkiej, magnetyczny pociąg do pierwotnej wody, z której kiedyś wyszły organizmy jednokomórkowe, a potem z trudem przekształcały się w owady, w gady, w końcu w ludzi, na drodze selekcji naturalnej?

To wszystko do niczego mnie nie doprowadziło. Byliśmy odizolowani na wyspie, w ślepym zaułku: przygniatająca metafora naszego przegranego życia. Dla tych, którym uda się pokonać mur, będzie to może odskocznia. Dla innych ostateczne wyrzucenie na śmietnisko. Została nam jedna doba na wyeliminowanie konkurencji, dwadzieścia cztery godziny, nawet trochę mniej, na odrzucenie konfliktów, wykończenie wroga, wykazanie w sposób ostateczny, kto jest najlepszy, kto zasługuje na przetrwanie.

Tak jak pierwszego wieczoru, podniosłem płaski kamyk i rzuciłem do wody, by obserwować jego rykoszety. Trzy razy podskoczył i zatonął. Kiedy się podniosłem, stała obok, wyprostowana, milcząca.

Nie Laurence. Laurence już nie przyjdzie. Brigitte Aubert, owinięta wielkim swetrem, który sięgał jej aż do ud.

Nie usiadła na kamieniu, nie rozpostarła sukienki wokół siebie - bo nie mogła: miała na sobie krótką spódniczkę. Jej obecność sprawiła, że dotkliwiej odczuwałem nieobecność Laurence. Nic się między nami nie wydarzyło, a jednak przeżyliśmy razem coś, co w nas pozostanie, delikatna pajęczynka tego, czego nigdy sobie nie powiedzieliśmy.

- Usiadłam obok łysego - odezwała się. - Przed chwilą, kiedy playboy odstawiał swój pokazowy numer.

Prawie jej nie słuchałem.

- Jakiego łysego?

- łysego z brodą. Asystenta pana Del Rieco.

- Aha... Chyba nazywa się Jean-Claude. Jean-Claude i coś tam, nie wiadomo. No i co?

- Podpatrywałam, co robi. Miał listę. Chciał sprawdzić, czy wszyscy są obecni. Zaznaczał sobie.

Nudziara.

- No i co?

- Nie wszyscy tam byliśmy.

- Nie? Westchnęła z irytacją.

- Pan nie rozumie. Nie było nas wszystkich na liście. Brakowało trzech osób. Czy pan mnie słucha?

- Tak, słucham. Ale nie wiem, do czego pani zmierza.

Zrobiła gest, jakby chciała mną potrząsnąć.

- Panie Carceville, niech się pan ocknie, gdzie pan buja? Nie łapie pan? Chodzi o listę uczestników. Jest niekompletna. Brakuje trzech osób. Po jakiemu mam to panu powiedzieć? Po angielsku? *Three guys missing?*

Koniuszkami palców oklaskiwałem jej akcent. Przymknęła oczy, z niedowierzaniem.

- Chwilami zastanawiam się, czy pan rzeczywiście jest inteligentny. Narysować to panu?

Wizja Laurence zniknęła, zszedłem na ziemię.

- Chce pani powiedzieć, że trzy osoby, które są z nami, nie biorą udziału w stażu?

Rozłożyła ramiona, pochylając głowę, jakby składała ukłon.

- Nareszcie! O to chodzi! No dobrze, teraz mam panu wyjaśnić, co to oznacza, czy sam pan na to wpadnie?

- Trzy osoby, których nie testują. Trzy osoby, które trzymają z nimi, nie z nami. Tak?

W dalszym ciągu kpiła sobie ze mnie w żywe oczy:

- No widzi pan, jak się pan postara... Rozrusznik jest trochę zatarty, niech pan o tym nie zapomni przy następnym przeglądzie technicznym.

- Trzech zdrajców...

- Tego się obawiam.

Policzyła na palcach, tak jakby się bała, że zapomni, robiąc przerwę po każdym nazwisku, żeby przedłużyć suspens.

- Aime Leroy. Morin. I Marilyn.

- Po jednym w każdym zespole...

- No nieźle, nabiera pan prędkości, niedługo wystartujemy. Strzeliłem palcami, środkowym i kciukiem.

- Morin! I Charriac o tym wiedział! To dlatego powiedział do niego: „Ty już masz robotę...”

- I dlatego Marilyn co pięć minut wychodziła na papierosa. To nie tytoniowy nałóg. Wychodziła składać raport.

- A Aime Leroy wszystko krytykował, żebyśmy zrozumieli, że nie solidaryzuje się z tą instytucją...

- Trzy kanalie - podsumowała. - Co teraz zrobimy?

W tym momencie rozległ się stukot obcasów i z ciemności wyłoniła się Laurence. Biegła, jej pierś się unosiła; raz czy dwa razy wzięła głęboki oddech.

- Jérôme, mam nowe wiadomości...

Zauważyła Brigitte i ugryzła się w język. Brigitte obrzuciła ją spojrzeniem od stóp do głów, jakby zastanawiała się, jaka to fala mogła wyrzucić na brzeg tak bardzo zdezelowany wrak. Co dziwne, emocjonalny dreszczyk, który ogarniał mnie, kiedy myślałem o Laurence, natychmiast zniknął. Znowu byliśmy przeciwnikami w grze.

- To znaczy... To sprawa poufna... - wydyszała.

- Proszę mówić, Laurence. Brigitte może wszystko słyszeć.

Po chwili wahania zdecydowała się na śmiały krok.

- Widziałam ich kartotekę. Po kawie cała trójka poszła w stronę kuchni, nie wiem, co mieli zamiar tam robić...

- Może zmywać naczynia - zażartowała Brigitte.

- ...więc pobiegłam do domku i udało mi się tam wejść. Zostawili karty na stole. Czyste. Tylko nasze nazwiska. I wiecie co?

- Brakowało trzech - mruknęła Brigitte. - Może jakieś trudniejsze pytanie?

Laurence zaniemówiła, zdezorientowana.

- Skąd pani wie?

- Każdy ma swoje sposoby, moja droga - odparła Brigitte z pogardliwą niechęcią.

Ich animozja była niemal namacalna. Co mogło je tak źle do siebie nastawić? Dotychczas nie

zamieniły ze sobą nawet trzech słów. Ba, jeśli istnieje miłość od pierwszego wejrzenia, na pewno zdarzają się też uczucia negatywne od pierwszego wejrzenia, niezrozumiała nienawiść, rodząca się już od początku...

- Oni wszystko wiedzą - stwierdziła Laurence. - Wszystko. Ani jedno zdanie im nie umknęło.

Brigitte zwróciła się do mnie.

- Pan jest tu szefem. Jeśli pozbiierał pan już myśli. I jeśli nic pana nie dręczy...

Jej drwiny zaczynały mnie drażnić.

- Musimy przeprowadzić wywiad - zasugerowała Laurence. - Spotkam się z Leroy i się z nim rozmówię.

Zatrzymałem ją gestem zniecierpliwienia.

- Proszę nic nie robić bez mojej zgody. Raczej nie mamy interesu, by natychmiast odkrywać karty.

Oni nie wiedzą, że my wiemy. Najpierw to wykorzystajmy.

- Dlatego właśnie jest szefem - powiedziała Brigitte do Laurence. - Widzi dalej niż czubek własnego nosa.

Laurence spochmurniała, ale nie zareagowała. Myślałem głośno:

- No dobrze, punkt pierwszy, muszę zobaczyć się z Charriakiem. Ten łajdak wie o tym od dawna, a my nie. Dalej Morin wie, że on wie. Puzzle wskazują na swoje miejsca. Właśnie tego szczegółu szukałem od jakiegoś czasu. No to dlaczego w tej sytuacji zostawili Morina? Charriac go szantażuje? Nie, to niemożliwe... Pewnie ma nadzieję, że puści farbę... Muszę to wiedzieć! Idę.

Laurence zrobiła zadowoloną minę osoby, która nareszcie doczekała się wybuchu dawno przewidywanej, oczywistej prawdy.

- Od początku tak uważam: Charriac trzyma z nimi. Nigdy nie chciał mnie pan posłuchać. Finał się odbył, Jérôme. Pan przeciwko mnie. Jutrzejszy dzień możemy spędzić na uprawianiu sportów zimowych, nic się już nie wydarzy.

- Co ona wygaduje? - zamruczała Brigitte.

Uciszyłem je ruchem ręki.

- Nie oddalajcie się stąd. Idę do Charriaca, wszystko wyjaśnimy.

Brigitte zaśmiała się drwiąco.

- Tarzan chwycił lianę i skoczył na lwa! Rozkaz, szefie. Ale jeśli to panu nie przeszkadza, pójdziemy do hotelu, zaczyna być trochę chłodno. I jakoś tu pustawo...

Laurence ostentacyjnie do mnie mrugnęła - zbliżają się do granicy wulgarności. Nie kłóciły się o mnie. Pomimo doskonałej opinii, jaką mam o sobie samym, nie oczekiwałem tego. To była po prostu klasyczna rywalizacja, zazdrość Brigitte, kobiety o nieładnej twarzy, o gładką cerę Laurence. Na coś takiego nie ma sposobu, chyba tylko pozwolić im się droczyć. Ale ja powinienem czuwać, żebym nie stał się stawką w tej walce. Na razie miałem inne zmartwienia.

Charriac odrabiał nadgodziny. Nie znalazłem go ani w barze, ani w pokoju. Pracował w sali na drugim piętrze, ukryty za zasuniętymi zasłonami, przy otwartym laptopie, podłączonym do superpłaskiej drukarki. Przeglądał dokumenty. Pinetti siedział w kącie i się gapił. Kiedy wszedłem, Charriac szybko wsunął kilka kartek pod plik papierów. Gra w kotka i myszkę trwała nadal. Przez chwilę na mnie patrzył, a potem wskazał drzwi Pinettiemu.

- Pan Carceville pragnie ze mną porozmawiać w cztery oczy, jeśli się nie mylę...

Pinetti wyszedł, powłócząc nogami. Usiadłem naprzeciw Charriaca i wyciągnąłem nogi. Pod nagą żarówką zwisającą z sufitu scena wyglądała na partię pokera rozgrywaną przez dwóch

złoczyńców. Charriac wyjął z kieszeni cygaro i powoli je zapalił. Daremnie obmyślał swoje ruchy, widać było oznaki zdenerwowania. Pod koniec czwartego dnia stażu wszyscy zaczęli palić.

- Tak? - spytał.

- Jedno pytanie: od kiedy pan wie, że Morin pracuje dla Del Rieco?

Przekrzywił głowę, jakby podziwiał wyczyn sportowca.

- Brawo, Scherlocku Holmesie. Prawdę mówiąc, domyślałem się od początku. Było oczywiste, że oni wiedzą, co ja robię. Bardzo szybko dostawałem odpowiedź na moje listy. Ciut za szybko. No i pańska przyjaciółka, pani Carre, zaczęła mnie podejrzewać. Nie szukała tam, gdzie powinna, ale czegoś się domyślała. To mnie zaintrygowało. A potem już poszło gładko. Tak grają politycy: przekazują cztery warianty czterem osobom i czekają, który pojawi się w prasie. Bardzo łatwo znaleźć przeciek. Tutaj był to Morin.

- I co pan zrobił? Uśmiechnął się bezradnie.

- Nic. A co miałbym zrobić? Powiedziałem mu to, co chciałem, żeby powtórzył panu Del Rieco. Przekształciłem wtyczkę w podwójnego agenta. Intoksykacja. I potem go śledziłem. Obserwowałem, co przyciąga jego uwagę. Wie pan, tak jak dzieci: zabawa w zimno-gorąco. To mi pomogło się rozeznaczyć. A co pan zrobił ze swoim?

- Marilyn? To samo co pan.

- Aha, to była Marilyn? Bardzo chciałem to wiedzieć... Raczej przypuszczałbym, że to ta ruda deska do krojenia chleba... Potrzebowali kogoś, kto nie wrywa za bardzo do przodu, ale też nie pozostaje w tyle. Kto wszystko wie i nie rzuca się w oczy. Sekretarka dyrektora, najlepsze, co może być, powinienem był się domyślić. A u pańskiego przyjaciela kto to był? Chalamont?

- Leroy.

Odchylił się do tyłu, celując cygarem w sufit.

- Leroy... Nieźle pograli. Ale, wie pan, oni są zbyt karykaturalni. Morin i ten jego numer z żywiołowym marsylczykiem, Leroy i ta jego mina starego zrzędy... To jak z komedii... Co do Marilyn, musiał pan się trochę pogłowić, była najlepsza z całej trójki. Nawet ja mógłbym ją przegapić... Nieźle was urządzili, co?

Oparłem się łokciami na stole. W przelocie moje ukradkowe spojrzenie zatrzymało się na dokumentach na nim leżących. Były to fragmenty z książek prawniczych. Komentarze do orzeczeń wyroków.

- Nie odpowiedział pan szczerze, panie Charriac. Powtarzam pytanie: od kiedy, dokładnie, pan wiedział?

Udał, że się boi.

- Nie będzie mnie pan chyba torturował? Nie potrafię podać, kiedy dokładnie. Tak jak pan zacząłem mieć wątpliwości. To była hipoteza. Rozgałęzienie drzewa możliwości. Później sprawa zaczęła się konkretyzować. Byłem pewny na sześćdziesiąt procent, potem na siedemdziesiąt, wreszcie na osiemdziesiąt. Tak samo jak wtedy, gdy zostaje się rogiaczem.

- Nic mi o tym nie wiadomo, nigdy nie byłem.

- Tak się panu wydaje. Ale gdyby jednak, ja jestem niewinny, przysięgam, nie mam przyjemności znać pańskiej małżonki.

- A kiedy pan mu powiedział, że pan wie?

- Wahałem się. Chciałem tak to zostawić. Ale nie mogłem się powstrzymać. „Ludzkie, zbyt ludzkie”... Wie pan, kto to? Nietzsche. Nie jesteśmy tak ciemni, jak przypuszcza nasz arabski

przyjaciół. Wie pan, czytałem nawet Mao Zedonga, jeśli chce pan wiedzieć... Czekam na nich, kiedy tylko zechcą.

Dym z tego świństwa, które ssał, sprawił, że się rozkaszałem.

- Zupełnie jak u dentysty. Trzeba wyrywać od pana odpowiedzi, jedną za drugą.

- Naturalnie. Co pan daje w zamian?

- Dałem panu Marilyn i Leroy.

- Zgadza się. To mi się do niczego nie przyda, ale to dowód dobrej woli. A poza tym teraz leży w naszym interesie, żebyśmy przez chwilę trzymali się razem. Od jakiegoś czasu próbuję panu to wytłumaczyć... Dziś rano. Złapałem go przed południem. Jak mężczyzna z mężczyzną.

- Nie próbował zaprzeczać?

- Próbował, oczywiście. Ale wiemy, jak rozwiązać języki... Najpierw chciał mi wmówić, że jest psychologiem. Rozumie pan, coś jak w grupach *training*, wtykają nas między dwie dziwki podczas staży szkoleniowych dla pracowników, przed południem w czasie pracy. Psycholog, który obserwuje. A potem mówi: pański sposób przewodzenia jest zbyt autorytarny, zbyt tolerancyjny, za bardzo taki czy inny. Daje pan im dziesięć tysięcy i mówi pan: dziękuję bardzo. Morin, psycholog! Myślałem, że padnę trupem! Moja babcia bardziej by się nadawała!

- Ostatnie pytanie i koniec, wszystko złożymy do kupy: co on panu dał?

- Ależ... nic! Na razie nic. Jest bardzo rozdrażniony. Jeśli sprzedam go Del Rieco, Del Rieco go wyrzuci i człowiek idzie na bezrobocie. Jak my. To by było zabawne, nie? On ma nadzieję, że ja ani pisnę. Oczywiście, będzie musiał za to troszkę zapłacić... Niedużo...

- Protokół ocen. Dalszy ciąg testów. Coś w tym rodzaju?

- Na przykład. Takie tam drobnostki na temat listingu. Ale zachowujemy równowagę, pan robi to samo z tą pańską Marilyn, prawda? A pani Carre z Leroy. To będzie prawdziwa komedia. Co by pan powiedział o egzaminie, na którym każdy już z góry zna odpowiedzi?

- Wszystko wyjdzie na jaw i egzamin zostanie unieważniony.

- Nie. Wcale nie. Wie pan, ile Del Rieco sobie życzy za ten cały burdel? I ile mu to przynosi, trzy staże miesięcznie, przez lata? Jeśli go unieszkodliwimy i zaczniemy opowiadać o wszystkim w Paryżu, jest zgubiony. Trzymamy go w garści, panie Carceville.

Może i tak. Z błogością zaciągnął się po raz kolejny.

- My trzymamy w garści De Wavre - powtórzył. - Oczywiście byłoby lepiej, gdybym działał w pojedynkę. Szkoda, że natknęliśmy się na te same trudności. Ale dobrze pan zrobił, przychodząc do mnie. Gdybyśmy się nie porozumieli, moglibyśmy zawalić robotę. Teraz musimy się dogadać, panie Carceville, żeby zachować wiarygodność. Carre naprawdę jest z nami? Musimy kogoś poświęcić, nie możemy wymagać, żeby pobłogosławił nas wszystkich. Teraz niech pan sprzeda swoje wiadomości: kto u pana wie?

Nie chciałem wchodzić z nim w układy. Jednak nie miałem wyboru. Charriac był antypatyczny, ale właściwym celem: Del Rieco. Sporządziliśmy listę wtajemniczonych: on, ja, Laurence, Brigitte Aubert i Pinetti, któremu wszystko wygadał. Pięć osób na trzynaście (bo nigdy nie było szesnastu). Takich proporcji spodziewali się w De Wavre.

- Dobrze - powiedział na koniec. - Za jakieś dziesięć minut spotykamy się tutaj, tyle czasu potrzeba na zebranie całego stada. I cicho sza! Jedna osoba więcej i ten numer nie przejdzie.

Dziesięć po jedenastej, w środę wieczorem, pięciu konspiratorów zebrało się w jednej sali. Musiałem wyciągnąć z łóżka Brigitte Aubert, która spokojnie poszła spać, nieświadoma bomby, jaką

rzuciła. W szlafroku, w klapkach na nogach, trochę odstawała od reszty. Pinetti, chociaż niewinny, nie potrafił wyzbyć się maski komediowego zdrajcy. Laurence była jak zwykle dostojna, prosta jak I. Ostentacyjnie unikała wzroku Charriaca.

A on sprzątnął ze stołu swoją prawniczą dokumentację, teraz już niepotrzebną. Otworzył zebranie i udzielił mi głosu.

- Moi drodzy, sytuacja wyraźnie się zmieniła. Nasz przyjaciel Carceville dokona syntezy.

W kilku słowach wyjaśniłem, jakie nowe perspektywy się przed nami zarysowują. Potem przystąpiłem do analizy:

- Jest wiele możliwych strategii, jak zwykle. Pierwsze rozwiązanie: każdy posługuje się swoim szpiegiem. Nie bardzo mi się podoba. Morin chyba obawia się Charriaca, ale nie wiem, jak zareaguje Marilyn. Jeśli ktoś z nas wytłumaczy panu Del Rieco, że próbujemy go szantażować, może się to źle skończyć. Obróci się to przeciwko nam, Del Rieco stwierdzi po prostu, że rynek nie przynosi korzyści, że jesteśmy bandą matołów, więc nikogo nie zatrzymuje. Nie wolno nam działać chaotycznie. Drugie rozwiązanie: koncentrujemy się na jednej osobie. Morin wydaje się bezbronny. Zapominamy o Marilyn i Leroy, przerabiamy Morina. Wspólnie prosimy go, żeby pracował dla nas.

- Nic z tego nie rozumiem - zaprotestowała Brigitte. - O co go prosimy?

- Przede wszystkim, żeby wyciągnął nasze karty - odparł Charriac. - Potem, w zależności od tego, co tam znajdziemy, żeby je trochę poprawił. Pogmera w dwóch czy trzech liniijkach, w komputerze, bez najmniejszego śladu; on milczy, my milczymy, on zachowuje swoją pracę, my mamy naszą. To przecież żadna sztuka.

- Aha, po prostu chcecie oszukiwać - zdziwiła się Brigitte.

- Tak jakby! Zmienimy trochę reguły gry... Ja uważam, że to słuszne. Zobaczcie, co się dzieje przy obecnych metodach zatrudniania. Jeśli przegrywasz z aktualnymi przepisami, trzeba zmienić przepisy i tyle.

Charriac był w dobrej formie, potrafiłby nawrócić na katolicyzm ajatollaha Chomeiniego, a George'a Busha namówić do zapisania się do partii komunistycznej.

- Chwileczkę, to znaczy, że wszyscy dostaną osiemnaście na dwadzieścia?

- Ależ nie, nie wszyscy. Tylko my. Jeśli nie, odpowiednio zareagujemy, co dalej.

- A co z tamtymi?

- Moja droga - odpowiedział cierpliwie Charriac. - To jest dżungla. W dżungli są lwy i antylopy.

Kto, pani zdaniem, w końcu wygrywa? I po której stronie woli pani być?

- W dżungli nie ma lwów - zamruczała Laurence ze wzgardą. Stukając palcem w stół, przerwałem wiszącą w powietrzu kłótnię.

- Nie zebraliśmy się tu na lekcję geografii. Ani zoologii.

- Zaraz, zaraz - nalegała Brigitte - my jakoś z tego wyjdziemy, ale na przykład taki Mastroni dalej będzie się pograżał w otchłani? Hirsch także?

- Każdego dnia jedni umierają, inni żyją dalej - odparł Charriac. - Jedni mają pracę, inni nie.

Czysty przypadek. Teraz tym przypadkiem jesteśmy my. Osoby zebrane tutaj.

Znowu zastukałem w stół, tym razem dwoma palcami.

- Chwileczkę, jeszcze nie skończyłem. Trzecia hipoteza: przeskoczmy pośredników i pójdziemy bezpośrednio do Del Rieco, by mu przedstawić alternatywę. To wydaje mi się najbardziej bezpieczne. Jeśli sprawa przybierze zły obrót, jeśli będzie się zapierał nogami i rękami, obrócimy to w żart. Taki drobny figiel.

- Wolę drugie wyjście - oświadczył Charriac. - Morin robi, co mu każe. Mam go pod kontrolą.

- To właśnie mi się nie podoba - rzuciła Laurence.

- Ja nie zostawiłabym Mastroniego i Hirscha - powiedziała stanowczo Brigitte. - Tworzymy zespół, a potem każdy sobie, to nie w porządku. Oni potrzebują tej pracy tak samo jak my.

- No to podyskutujmy - zaproponował Charriac pojednawczym tonem. - Jeszcze niczego nie postanowiliśmy. Ale nie mam pojęcia, jakby można wyciągnąć wszystkich. Mnie to nie przeszkadza, jest nas dwanaście osób na trzy miliony, i tak zostanie. A dalszy ciąg dopiero nastąpi. Tak jak na „Titanicu”, w pewnym momencie trzeba wybrać: kogo ratować, a kto się utopi. W przeciwnym razie wszyscy idą na dno.

- Ja już wybrałam - upierała się Brigitte. - Nie lubię oszukiwać. A jeszcze bardziej nie lubię, gdy przyjaciele pokutują za cudze grzechy. Sądzę, że i bez tego mam szanse.

Charriac stał się brutalny.

- Myli się pani. Jest pani skończona. Jeśli pani nie trzyma z nami, jest pani martwa jak Ramzes II. A poza tym, jak pani wie, chcąc nie chcąc, musimy być solidarni, bo jeśli nie, wszystko się zawali. Bez względu na to, co postanowimy... a jeśli chcecie głosować, będziemy głosować, mniejszość się podporządkuje. Potrzebujemy całkowitej lojalności.

- I to pan mówi o lojalności?! Nie, nie idę na to.

Charriac rzucił mi dziwne spojrzenie, jednocześnie groźne i smutne. Kalkulował, co może się wydarzyć.

- Nie ma pani wielkiego wyboru - powiedział cicho. - Proszę zrozumieć: płyniemy na tej samej barce. Jeśli ktoś wiosłuje w odwrotną stronę, barka kręci się w kółko. A na to nie możemy się zgodzić.

- Ach tak? I co mi zrobicie?

To była najlepsza chwila na moją interwencję.

- Nie unośmy się, to niczemu nie służy. Brigitte, proszę posłuchać, jesteśmy w bardzo skomplikowanej sytuacji. Bardzo delikatnej. Przyjąłem do wiadomości pani stanowisko, jest godne szacunku, przynosi pani zaszczyt, doskonale je rozumiem. Poruszyła mnie pani. Ale nie jest pani sama, są jeszcze cztery inne osoby i pani musi wziąć to pod uwagę. Powinniśmy kontynuować tę dyskusję na spokojnie. Na razie proszę, by zrobiła mi pani tę przysługę i nikomu nic nie mówiła. Ja natomiast zrobię, co w mojej mocy, obiecuję. Jesteśmy zbyt zaangażowani, żeby tak po prostu się wycofać, prosząc o wybaczenie. To będzie o wiele trudniejsze. Czy może mi pani zaufać?

Zawahała się, półgębkiem wypowiedziała ciche „tak”. Nie ustępowałem:

- Mam pani słowo?

- Do jutra. Jeśli nie popełni pan niczego nieodwracalnego.

- Załatwione. Kontynuujemy?

- Podzielim stanowisko Emmanuela - oświadczył Pinetti. Minęła chwila, zanim przypomniałem sobie imię Charriaca.

Laurence wyraziła swoją opinię przytłumionym głosem. Wydawała się zmęczona. No tak, to był dla niej ciężki dzień.

- Myślę, że nie posunęliśmy się do przodu na tyle, żeby móc o czymkolwiek decydować. Trzeba się jeszcze nad tym zastanowić. Proponuję odłożyć sprawę do jutra. Można by urządzić tu takie robocze śniadanie. Noc jest dobrym doradcą.

Charriac czuł podobnie jak ja, że sprawa jeszcze nie dojrzała. Zrezygnował z wymuszenia czegoś

siłą.

- Okej, w porządku. Widzimy się o godzinie, powiedzmy, wpół do ósmej?

Ogólna zgoda. Nienawidzę dyskusji przy śniadaniu, ale nie było wyjścia. Brigitte ściągnęła poły szlafroka na zakrywającej jej ciało różowej koszuli nocnej, Pinetti zsunął się z krzesła jak wąż. Charriac porządkował papiery. Ja pozostałem na miejscu, również próbując uporządkować myśli. Laurence dotknęła mojego ramienia.

- Jutro rano idzie pan do Del Rieco, prawda? Bez względu na wszystko?

Nie zaprzeczyłem.

- Może. Sprytnie pomyślane, czyż nie?

- Chciałabym przy tym być.

- Wykluczone - odezwał się Charriac. - We dwóch to przyjacielska rozmowa. We troje to już delegacja. Proszę nie brać tego do siebie, to po prostu kwestia skuteczności psychologicznej, wtedy inaczej się dyskutuje. Chyba że Carceville ustąpi pani miejsca.

Nie nalegała.

- Może ma pan rację. Do niczego się nie przydam.

- Nareszcie jakiś przebłysk bystrości umysłu - zakpił. Rzuciła mu mordercze spojrzenie i wyszła.

Wycierał okulary. Uniósł głowę.

- Umawiamy się o siódmej, żeby pójść do Del Rieco?

Nie wiem dlaczego, przeszedłem na porozumiewawcze „ty”:

- Zrezygnowałeś z zamiaru zmanipulowania Morina?

- Tak. Fakty, tylko fakty. Mógłbym to zrobić, gdybym był sam. Z trzema ciołkami, rzucającymi kłody pod nogi, a każdy ma własne zdanie, to się staje zbyt niebezpieczne. Niewykonalne. Znasz Brassensa: kiedy jest nas więcej niż dwóch, jesteśmy bandą idiotów. Święta racja. Będziemy jeszcze musieli parę rzeczy uzgodnić, ty i ja. Powiedzmy, za dwadzieścia siódma tutaj. A co do tej twojej laleczki w dezabilu, jesteś pewien, że masz ją pod kontrolą?

- Przez chwilę byłem pewien. A potem...

- Posadzę jej na tyłku Pinettiego. To trochę psychol. Jeśli mu powiem: zabij, zabije. Nie zastanawia się. Jeśli będziemy mieli jej dość, zabierze ją na przejażdżkę łodzią po jeziorze.

- Z wiadrem cementu przywiązanym do nóg? Parsknął śmiechem.

- Doprawdy... Nie stracilibyśmy wiele. Ale nie, tylko po to, żeby ją wyłączyć z obiegu. Zabrać do zoo, gdy dorośli zajmują się poważnymi sprawami. Napcha ją cukrową watą i dziewczyna da nam wreszcie spokój.

- Zobaczymy. Idę spać.

- Za dwadzieścia siódma, Jérôme. Nastaw budzik.

- Będę, Emmanuel.

Rozstaliśmy się jak nierozłączni przyjaciele. Idąc do pokoju, nie byłem za bardzo z siebie dumny. Lecz kiedy zniemacka wpychają cię do beczki gnoju, nie da się uniknąć pochłapania. A ja naprawdę potrzebowałem tej pracy. Byłem gotów na wszystko, byle po powrocie nie musieć znosić litości mojej żony. Tego właśnie nie potrafiłem jej wybaczyć, tej niewyczerpanej pobłażliwości, przezorności matki wobec zranionego dziecka. Jej rozczulania się nad moimi niepowodzeniami. Wolałbym już obelgi albo pogardę, na jaką zasługiwałem. W jej oczach dostrzegałem mój własny upadek. Nigdy niczego mi nie zarzuciła. Nasi znajomi uważali ją za ideał. Jej przypadła wspaniała rola, mnie ta zła: zawsze miała pracę i bez szemrania utrzymywała niedołęznego męża. Perła, którą

można tylko kochać. A ja? - nieudacznik, odważny nieszczęśnik, któremu lepiej pójdzie następnym razem. Nienawidziłem jej za to, że nie czuła do mnie niechęci. Zasypiałem, myśląc o niej, śniło mi się, że powracam z tarczą i życie toczy się jak dawniej.

W nocy obudziło mnie drapanie w drzwi. To na pewno Laurence, nie mogąc zasnąć, chciała po raz setny przeanalizować sytuację. Leżałem w łóżku, udając, że głęboko śpię.

Kwadrans po szóstej dzwonek budzika przeszył mnie w samym środku snu. Ogołiłem się, długo stałem pod prysznicem - ja także wykazywałem objawy zmęczenia: miałem wrażenie, jakby ktoś pocierał mi ciało kredą, a cały świat był lekko zmieniony, jakiś nierzeczywisty. I poszedłem na spotkanie z moim starym kumplem Emmanuelem Charriakiem. Siedział na tym samym miejscu, schowany za tym samym stosem dokumentacji prawniczej, pisał na tym samym laptopie. Gdyby nie był świeżo ogolony i pachnący wodą toaletową, mogłoby się wydawać, że spędził tak całą noc. Usiadłem, jak poprzedniego wieczora, z wyciągniętymi nogami, rękami skrzyżowanymi za głową, w pozycji całkowitego relaksu. Charriac wydał komputerowi dwa ostatnie polecenia, po czym, już się nim nie interesując, odwrócił się do mnie. Miał na sobie inne koszulę i krawat, ale ten sam garnitur.

- No więc, co powiemy panu Del Rieco? - spytałem.

- Ba, wczoraj wieczorem usłyszeliśmy jego argumentację. Aż mnie korci, by go zaatakować i porządnie mu nagadać. A potem ty wchodzisz z wazeliną. To odpowiada naszemu usposobieniu, prawda? Nie musimy się do niczego zmuszać.

- I co mu powiemy?

Zrobił tę swoją minę fałszywego niewiniątka.

- No przecież... prawdę, jak zwykle. Nie lubię kłamać, kłamstwo ma krótkie nogi. Powiemy mu, że jest królem zdrańców, że napuścił na nas trzech szpiegów, że to nie w porządku i że wysadzimy mu tę budę w powietrze.

- I to wszystko?

- No tak: na razie wystarczy. W nocy złapałem Morina i przyparłem go do muru. Poszedł po nasze karty. Te prawdziwe. Próbowałem jakoś cię o tym poinformować, ale spałeś jak zabity.

Zdziwiło mnie to, ale tylko trochę. Gdybym nie był tak zmęczony, mógłbym to przewidzieć. A jednak zadrzałem z niepokoju. Każdy kolejny epizod udawał, że Charriac jest lepszy niż ja. Szybszy, bardziej przenikliwy i pozbawiony skrupułów. I bez wątpienia bardziej inteligentny. Przedstawił całą scenę, odpowiedzi Del Rieco, wskazał słabe punkty naszej argumentacji i natychmiast znalazł sposób zapobieżenia niepowodzeniem.

- Co mu powiedziałaś?

- Przestraszyłem go. Groziłem mu. Większość ludzi to tchórze. On też jest tchórzem. Facet bez jaj.

- Ale jeśli odkryjesz karty przed Del Rieco, Morin wyleci?

- No tak. To gra. Niczego mu nie obiecywałem. Słuchaj no, Jerôme, nie zachowuj się tak jak ten twój rudzielec. On albo my. Prawdę mówiąc, nie jest marsylczykiem. Pochodzi z Awinionu.

- Pokaż mi karty... Szeroko się uśmiechnął.

- Wykluczone! To jeszcze nie koniec. Uwielbiam cię, Jerôme, ale muszę wszystko przewidzieć. Kto wie, co przyniesie przyszłość? Jeśli go znokautujemy, pokażę ci karty, przysięgam. Wiesz, to cię zmotywuje.

- Nie tak się umawialiśmy...

- Gdybyś został ze mną, zamiast wylegiwać się w łóżku, zrobilibyśmy to razem. No nie, żartuję... Muszę dobrze wykorzystać wszystko, co mam. Dobra, trochę ci powiem. Z sympatii. W sumie, nie

jest źle. Ale cała ekipa tej twojej Laurence to ciemna masa, nikt z nich nie przetrwa. Nawet ona. Za bardzo emocjonalna. Zaskoczyło mnie to. Ta dziewczyna to posąg, wchodzi, przybiera pozę i ani drgnie; a oni uważają, że jest zbyt emocjonalna! Do cholery, czego oni chcą? Kawałka drewna? Myślę, że mógłby zrewidować tę swoją metodę... Zauważ, nie jest gorszy niż zwykły dyrektor. To jednak więcej kosztuje.

- A ja?

Zrobił ironiczną minę, trochę wredną.

- Ty?... To moja mała tajemnica... Przyjmij założenie, że inni myślą o tobie to samo, co ty myślisz o sobie. Zastanów się nad tym. Idziemy?

Poszliśmy.

Del Rieco jeszcze nie przyszedł. Usiedliśmy na schodach przed domkiem, na gołym drewnie. Za linią lasu wstawało słońce, jeszcze zagubione w chmurach. W poziomym świetle jezioro lśniło pełnym blaskiem. W hotelu panował spokój. Tak jak w każdy zwyczajny poranek. Można by spodziewać się piania koguta, odgłosów kuchni, z której dochodzi zapach gorącej kawy, żwawych kroków wędkarza, idącego drażnić ryby. Gdyby tylko nie wisiał nad nami ten potworny ciężar.

Za pięć wpeł do ósmej Del Rieco przeciął podwórze żołnierskim krokiem, z blezerem na ramieniu, jak oficer ułanów. Ominął nas, jakbyśmy byli dla niego powietrzem i rzucił:

- Nie przyjmuję. Chyba wyraziłem się jasno.

- No właśnie nie dość jasno - odparł Charriac. - To, co mamy do powiedzenia, na pewno pana zainteresuje.

- Bardzo wątpię - odpalił szorstko.

Nie zamknął nam drzwi przed nosem, więc weszliśmy za nim. Otworzył małe okienko po drugiej stronie pokoju, wychodzące na wschód, i zdmuchnął drobinki kurzu ze stołu.

- Słucham?

- Nie grał pan z nami w otwarte karty - stwierdziłem zasmuconym, pełnym wyrzutu głosem. - Zapewniał mnie pan, że nie ma szpiegów, a jednak są.

- Ach tak?

- Morin. Leroy. Marilyn, jak jej tam. Niech pan sobie wyobrazi, że próbowali udawać psychologów!

- Zarzuca mi pan kłamstwo, Jérôme? Nie zwodziłem pana. Wszystko zostało nagrane, mam taśmę, mogę ją panu puścić. Przyszedł pan mi powiedzieć, że Charriac pracuje dla mnie. To pańska obsesja. Teraz pan już wie, że to nieprawda. A ja panu powiedziałem, że jesteście bez przerwy obserwowani. Co tu się nie zgadza? Nie było fałszu w tym, co mówiłem. W ani jednym słowie. To nie są figuranci, to nie są psychologowie, lecz obserwatorzy. Pan po prostu nie zadał odpowiednich pytań, i tyle.

- Ależ, panie... Joseph, to obłudna kazuistyka!

- Posłuchaj, stary, kieruję tym stażem, tak jak chcę - zniecierpliwiał się Del Rieco. - Jeśli wam się to nie podoba, nikt was tu nie trzyma.

Charriac, który miał - teoretycznie - przypościć szturm jak polski lansjer, uparcie milczał. Zaniepokojony, próbowałem go zastąpić.

- To nie jest uczciwe podejście do sprawy. Te wasze typki nie milczały, nie zachowywały się powściągliwie. Zazwyczaj w tego rodzaju sytuacji obserwator bezwzględnie milczy. A oni bez przerwy gadali, wysuwali sugestie, kierowali nas na ten czy inny tor.

- Owszem. Oni stanowią część testu. To nie jest zespół diagnostyczny do naukowych badań z

dziedziny psychologii społecznej. To staż, który ma określony cel. Manewruję zmiennymi, kiedy wydaje mi się, że wyciągnę z tego jakieś praktyczne wnioski. Powiedziałem wam już, nie jestem tu po to, by was ulepszać czy stawiać jakąkolwiek diagnozę. Jestem tu po to, by obserwować, jak reagujecie na zaszczepianie nowej bakterii. Taka zaprawa z ostrą amunicją. Ale Emmanuel nic nie mówi...

Charriac udawał, że ogląda sufit. W końcu postanowił zabrać głos, półgębkiem:

- Zasadnicza kwestia: co robimy teraz? Wycofuje pan swoich frajerów czy pan ich nam zostawia?

- Jak chcecie - odparł Del Rieco, wcale nie spieszony. - Raczej mam ochotę ich wycofać, sytuacja się wypaczy, ale...

- To pan ją wypaczył...

- Nie. Tak to urządziłem. Na swój sposób.

- Jeśli pan ich wycofa, wszyscy dowiedzą się, że to była pułapka.

- Tajemnica to coś takiego, czego człowiek dowiaduje się godzinę wcześniej niż inni - oświadczył sentencjonalnie Del Rieco. - Nie wiem, jak tego uniknąć.

- Nie powiem już, jak to zepsuje atmosferę...

- A pan sądzi, że atmosfera teraz jest zdrowa? Rzadko trafia się na grupę tak bardzo... jak to określić? Niesforną. Przez cały czas staracie się kluczyć. Panie Jérôme, przed chwilą potraktował mnie pan jak wroga. Niesłusznie. Jestem tu, żeby pomóc wam odkryć wasze zalety. Ale pańską pierwszą reakcją było: jakby tu złapać na czymś tego starego Josepha? Nie inne ekipy, lecz mnie.

- Marilyn...

- Oczywiście. Wszystko mi opowiedziała, to jej praca. Zabiliście mi klina.

- I właśnie to zapisał pan na mojej karcie? Że doskonale nadaję się na członka mafii?

- Sam pan zobaczy, co napisałem. Jeszcze nie koniec.

- Mam pytanie - rzucił od niechcienia Charriac. - Czy pańskie sprawozdanie zostało przyjęte przez De Wavre? Od A do Z? Znane im są pańskie metody?

W końcu się zdecydował. Najpierw pozwolił mi wikłać się w rozważania, a w ostatnim momencie wyciągnął asa z rękawa. Del Rieco zaśmiał się drwiąco.

- De Wavre to ja. A ściślej, to nazwisko mojej szwagierki, jeśli już pan chce wszystko wiedzieć. Ja zajmuję się kwalifikacją, ona pertraktuje z firmami. Rodzinny interes. Jest nas zaledwie trzydzieści osób.

- A szefowie przedsiębiorstw orientują się w szczegółach?

- Chodzi o moje metody? Nie. Nie wiem. Niewiele. Są informowani o rezultatach, to im wystarczy. Umieściłem już ponad czterysta osób, a mam tylko dwóch niezadowolonych. Dwóch. Pół procent odpadów. Dwadzieścia razy mniej niż u moich najznamienitszych konkurentów.

- Wie pan, co teraz będzie? Ktoś rozpowie, co się dzieje podczas pańskich testów...

- No i co z tego? Ludzie się przygotowują? Już to robią. Za każdym razem zmieniam sytuację. Przystosowuję ją do profilu uczestników. Staram się u każdego zgłębić to, co w pierwszych testach wydało się potencjalną słabością. Nigdy nie wygląda to tak samo. Wszystko jest w pełni zindywidualizowane. Staż trwa tydzień, ale ja potrzebuję dziesięciu dni na przygotowania. Powielanie nie ma żadnego sensu. Tak jak na egzaminie: wkuwasz zeszłoroczne tematy, nie przydaje ci się to jednak za bardzo w tym roku...

- Trochę tak.

- Owszem - zgodził się. - Trochę. W niewielkim stopniu.

- A jeśli wyniki stażu będą naprawdę niedobre? To nie stwarza problemu?

- Stwarza! Ale to już problem uczestników! Mogą wtedy zdecydować się na rozpoczęcie nowego życia w Turkiestanie! Tu są spaleni. Prowadzimy listę dobrych, mamy też wszakże czarną listę. Firmy bezpłatnie z niej korzystają. A z drugiej strony, co tak naprawdę złego mogłoby się wydarzyć? Jakiś pingwin naopowiada, że nie wykonuję mojej pracy? Kto mu uwierzy? Rozgoryczony bezrobotny, który nie przeszedł, a ja mogę nawet ze szczegółami opowiedzieć dlaczego? Albo najlepszy europejski doradca do spraw zasobów ludzkich, który nigdy się nie pomylił? Czy to równa walka?

- Można by napisać książkę - zaryzykowałem. - Jak to się robi w De Wavre...

- Napisać, owszem. Ale wydać... W jakim nakładzie? Dwieście egzemplarzy rocznie? Chyba raczej artykuł, jeśli pan woli. Wślizgnął się tu kiedyś dziennikarz. Wyśledziłem go w niecały dzień. Zaproponowałem mu: proszę zostać, przyjrzeć się wszystkiemu, nie mam nic do ukrycia. Następnego dnia się wyniósł. Jak pan myśli, kogo to zainteresuje? Wie pan, jaki pan ma problem, Jérôme? W żaloszny sposób próbuje mnie pan szantażować, bo wyjedzie pan stąd pokonany. Już od pierwszej chwili był pan pokonany. Pomyślał pan: nie dam rady wygrać tej gry, jak by tu pokombinować? I wszystko stąd się bierze...

Wydał na mnie wyrok śmierci. Wiedziałem, co napisał w mojej karcie. Przerazające otchłanie otwierały mi się pod nogami. Nie tylko mnie nie zatrzyma, lecz umieści na czarnej liście. Spojrzałem na Charriaca; ten łajdaczyna rozpląwał się z rozkoszy.

Nasze zabiegi nie miały nic z pracy zespołowej. Charriac prawie wcale się nie przysłużył, niemal mnie zdradził: znając treść zapisu w mojej karcie, pozwolił mi się pograć. Od pierwszych słów zrozumiał, że zmierzamy ku upadkowi. Udając, że nie ma z tym nic wspólnego, skierował mnie dokładnie na drogę, którą Del Rieco mi wyrzucał, tym samym utwierdzając go w jego osądzie. Cóż za makiawelizm.

Wystarczyła chwila, żebym uświadomił sobie rozmiary tragedii. Od dwóch dni, od momentu gdy Marilyn pod pozorem wyjścia na papierosa pospieszyła z raportem, Del Rieco wiedział wszystko o moich machinacjach.

Przestał się nami zajmować, włączał po kolei komputery. Widziałem tylko jego masywne plecy. Chętnie wbiłem w nie nóż. Ogarnięty zniechęceniem, przemówiłem do jego karku:

- Myślę, że nie ma sensu tego dłużej ciągnąć... Odwrócił się, nagle bardzo serdeczny.

- Jakże? Jest sens! Ma pan pewne wady, Jérôme. Któż ich nie ma? Nawet ja mam! Interesuje mnie, w jaki sposób pan je przezwycięży. Gubi pana tendencja do poślizgów, ale jeśli pan ją okiełzna, wszystko będzie dobrze. Emmanuel to co innego... On stara się zintegrować milion parametrów i rzuca się w tak zawikłane kalkulacje taktyczne, że w końcu, nieuchronnie, się w tym gubi. Ani on, ani pan nie jesteście nienormalni. Każdy ma pewne cechy charakterystyczne, czyli elementy charakteru. Cała tajemnica tkwi w umiejętności ich wykorzystywania.

Usiadł ciężko, zmarszczył czoło, żeby się namyślić. Za nim na ekranie z ogromną prędkością przelatywały linie niezrozumiałych instrukcji.

- Zaraz to zilustruję... Każdy z nas ma pewną genetyczną rezerwę. Jesteśmy predysponowani do tego czy do czegoś innego. I wszystko zależy od tego, co robimy przez całe nasze życie. Jeśli wiemy, że coś nam sprawia ból, unikamy tego. Jeśli wydaje wam się, że nie macie wystarczającej odporności fizycznej, staracie się częściej odpoczywać. Staje się to patologią, jeżeli się z tym nie liczyce: forsujecie mechanizm i zaczynacie chorować. Pracodawcę interesują wyniki. Nieważny jest sposób, w jaki te wyniki osiągacie, ani czy to od was wymaga dużego, czy niewielkiego wysiłku.

Wynagrodzenie będzie takie samo. Co to był za mecz, który tak poruszył naszego przyjaciela Morina? Marsylia-Montpellier? Cztery do zera w pierwszej połowie, pięć cztery na koniec. Decyduje to, co dajecie z siebie w ostatniej minucie. Jeszcze do tego nie doszliśmy. Jeśli teraz odpuścicie, uczynicie to na własną odpowiedzialność. Nie wiem jeszcze, co napiszę w sobotę, kiedy was już nie będzie. Robiłem notatki, to prawda. Lecz nie są jeszcze definitywne. Mnóstwo ludzi wiodło bezbarwne, nijakie życie, a pewnego dnia odeszli jako bohaterowie. Tylko o tym się pamięta. Czasami w kilka sekund życie całkiem się zmienia. Chciałbym zobaczyć, czy jesteście do tego zdolni. To wymaże całą resztę. Kiedy wszystko się wali, ujawniają się możliwości. Po przejściu tajfunu wiadomo, czy belka u sufitu była solidna, czy toczona przez robaki. Jak dotąd mam tylko kolor farby.

- W poprzednim życiu był pan przywódcą - zażartował Charriac. Del Rieco uśmiechnął się zadowolony. Długie zmarszczki w kształcie kurzych łapek pojawiły mu się wokół oczu.

- Możliwe, możliwe...

Z wielką przebiegłością przywrócił nas grze. Wierzchem dłoni strzepnął nasze żalosne knowania, ponownie zainstalował się w centrum układu, przestraszył nas, podeptał, a potem postawił na nogi. Ten facet był niebezpiecznie silny, tym bardziej że wszystko, co mówił, miało aspekt oczywistości. Mogliśmy się tylko zgodzić. Król manipulatorów.

- To znaczy, jeśli dobrze zrozumiałem, mój przyjaciel Carceville i ja będziemy dalej się zabijać jeszcze przez cały dzień - powiedział powoli Charriac.

- To jedna z opcji - zakpił Del Rieco. - Prawdopodobnie nie jedyna, ale zawsze jakaś. Przyznam, jesteście interesującą grupą. Nie nudziłem się z wami.

- My też nie - odparłem ponuro.

Joseph Del Rieco, Mistrz Gry i Cesarz Łajdaków, dał mi przyjacielskiego kuksańca.

- No, dzieci, do roboty. Lubię was, ale jestem zajęty.

Wychodząc, minęliśmy nieodstępного Jeana-Claude'a. Opuścił głowę, żeby nie musieć się z nami witać; jego łysina załśniła w słońcu.

Potrzebowałem kilku minut, by zebrać myśli. Po ciężkim kroku Charriaca zorientowałem się, że on także był poruszony. Dziesięć metrów przed wejściem do hotelu szepnąłem do niego:

- No jak, nie bardzo nam się udało, co? Nawet te twoje karty nie są warte ani centa. Teraz Morin na pewno opowiada mu, że go szantażowałeś. Nie wiem, czy mu to przypadnie do gustu.

Podniósł palec wskazujący.

- Rezultat, Jérôme, rezultat. Tak to rozumiałem: wszystkie chwytły dozwolone, jeśli rezultat zostanie osiągnięty. Taka jest jego teoria, prawda?

Zrobiłem powątpiewającą minę. On zachował spokój. Był typem robota.

- Del Rieco chce jak najwierniejszej symulacji - stwierdził. - W biznesie codziennie ktoś kogoś próbuje przerobić. Chcesz, żebym ci przedstawił listę tych, którzy odeszli ze swoich przedsiębiorstw, zabierając kartotekę klientów, i założyli własną firmę? I bardzo dobrze im się powiodło? A przecież w zasadzie to jest niedozwolone. Istnieją pewne reguły, okej. Ale niektórzy są silniejsi niż reguły. Prezydent republiki? Żaden sędzia nic mu nie może zarzucić. Ale on trzęsie się ze strachu przed TF1. Milošević jakoś to znosi. Bouygues nigdy się z tym nie pogodzi. Morin się nie liczy. Morin to mniej niż zero. To naprawdę żaden problem. Usprawiedliwiam, co chcę i kiedy chcę. Łącznie z ostatnią linią bilansu. Forsa jest miarą wszystkiego. O tym nam przypomnieli.

Kiedy pójdziesz do nieba, święty Piotr otworzy swoją księgę i spyta: *How much?*

- Święty Piotr jest Amerykaninem?

- Oczywiście. Bóg jest Amerykaninem w tej chwili.

Chaotyczne, a nawet nedorzeczne wypowiedzi były jedyną oznaką jego wzburzenia. Fizycznie pozostał niezmienny. Spojrzałem w stronę jeziora, które mogło pochłonąć wszystkie moje nadzieje.

- Pozostaje jednak jakaś opcja - stwierdziłem. - Co robimy? Walczymy na śmierć i życie?

- A mamy inny wybór?

- Coś ci zaproponuję: zbierzemy wszystkich, poinformujemy ich i razem podejmiemy decyzję.

- Po sowiecku... Wiesz, to już trochę wyszło z mody...

- Nie, nie, po prostu ogólne wyjaśnienie sprawy. Zaczynamy od zera. W przeciwnym razie nastąpi rozproszenie. Całkiem stracimy kontrolę.

Zawahał się.

- Tak... Możliwe...

- O dziesiątej, w naszej pracowni?

Zgodził się półgębkiem. Byłem niemal pewien, że nie przyjdzie.

Dołączyłem do mojej ekipy i przedstawiłem sytuację, niczego nie ukrywając. Nie było z nami Marilyn. Brigitte Aubert nieźle się po niej przejechała, nazwała ją żmiją i jeszcze czymś o wiele bardziej nieprzyjemnym.

- Wiesz - powiedział Mastroni - źle zrobiliśmy już na samym początku. Mnie się to nie podobało. Wystarczyło grać według reguł...

- Nie przejmuj się, Marilyn zanotowała, że byłeś przeciw. Już jej nie ma, nie musisz tego podkreślać. Na twojej karcie napiszą „wierny piesek”, bądź spokojny.

- Niepotrzebnie się go czepiasz - wtrącił Hirsch. - Rozumiem, że działasz pod presją, ale pomyśl o swojej ekipie.

Miał rację. Zaczynałem pękać. Powinienem wziąć się w garść. Przybiłem piątkę z Mastronim, tak jak to robi młodzież z przedmieść.

- Przepraszam, nie chowasz urazy?

- Nie, to moja wina - odparł wielkodusznie.

- Dobrze jest. Jak stoimy z CD-ROM-em?

- Gotowy - oznajmił Hirsch. - Musiałem go przetłumaczyć, nieźle się ubawiłem. Ten facet, który

na copyright, chciał przetłumaczyć sam, bo bał się, że mu coś pozmieniamy. Często tak się zdarza, a potem okazuje się, że w wersji francuskiej jest pełno skandalicznych błędów i nikt nic nie rozumie z instrukcji użytkownika. Jeśli jakieś słowo nie oznacza dokładnie tego samego, można mieć kłopoty prawne. Poświadczyłem przekład u tłumacza przysięgłego. Właśnie wystawiliśmy CD na sprzedaż, Brigitte przygotowała kampanię promocyjną. Musi dobrze pójść, bo same przynęty to kompletna Berezyna.

- Mam pewien pomysł - wtrącił się Mastroni. - Można stworzyć coś w rodzaju parku wodnego, do którego ludzie przychodziliby łowić ryby w okresie zakazu połowu. Muszę sprawdzić, czy prawo na to pozwala. Byłyby tam i restauracja, i hotel...

Hirsch parsknął śmiechem.

- Disneyland wędkarzy... To nawet niegłupie. Ale na to potrzeba ogromnej kasy, nie?

- No... tak jak z CD-ROM-em, dobrze by kogoś zainteresować... jestem pewien, że byłby popyt...

- To trochę niebezpieczna sprawa... Wszystkie takie parki są zwłaszcza dla rodzin. To znaczy, przez połowę roku masz dzieciaki w domu, szkoła jest zamknięta, nie wiesz, co z nimi zrobić, więc myślisz sobie: muszę je gdzieś zabrać. Jeśli proponujesz coś, co się dzieciakom nie podoba, nic z tego. Jeśli masz coś dla nich, zarabiasz kasę. W przeciwnym razie... przechlapane.

- Myślałem głównie o emerytach - uzupełnił Mastroni. - Odchowali już dzieci, jest ich coraz więcej i się nudzą. Chętnie by powędkowali, prawda? To nie wymaga wielkiej siły...

- No to należy coś przewidzieć dla ich żon. One raczej niezbyt lubią łowić ryby. Popracuj nad tym. Kto nam przyniesie kawę, skoro nie ma już Marilyn?

Brigitte Aubert spojrzała na mnie krzywo.

- Nie liczcie na mnie! Kobieta przedmiot, co służy swojemu panu i władcy, to nie mój sposób na...

- Kobieta przedmiot! - zaprotestował Hirsch. - Cholera jasna, właśnie przejmujecie całą władzę, trzy czwarte amerykańskich pieniędzy należy do kobiet, a pani jeszcze śmie nam opowiadać o kobietach przedmiotach!

Wydałem przeciągły krzyk, który ich zaskoczył.

- Ooooch! To nie towarzyska pogawędka w kawiarni! Podyskutujecie kiedy indziej.

Kilka minut przed dziesiątą poszliśmy na pierwsze piętro. Ekipa Laurence już tam była, stłoczona przy oknie. El Fatawi z szyderczym śmiechem wskazał mi pomost. Marilyn stała obok włoskiego przewoźnika, w ręce trzymała walizkę. Pozostałe bagaże były już w łodzi. Drobnymi kroczkami nadszedł Leroy. Nie mogliśmy usłyszeć, o czym rozmawiali; scena przypominała niemy film - groteskowy, urywany.

- Szybko zacierają za sobą ślady - stwierdziła Laurence.

Tym razem miała na sobie kostium żółto-niebieski, wesoły, połyskliwy. Bardzo szerokie spodnie sięgały do kostek. Pomyślałem, że nigdy dotąd nie widziałem jej w krótkiej spódniczce. Miała pewnie za grube łydki i starała się je ukryć. Wyglądała na wypoczętą po minionym wieczorze, a może tylko poprawiła makijaż: najmniejsza zmarszczka nie burzyła jej lekko smagłej cery.

Przez chwilę z przyjemnością przypatrywałem się komedii nad jeziorem, która wywołała u nas uśmiechy zwycięstwa, potem spojrzałem na zegarek.

- Dziesiąt po dziesiątej. Charriac już nie przyjdzie.

Laurence prychnęła.

- Obejdziemy się.

Na dole Morin ciągnął po zwirowej alejce ogromny kosz. Włoch zapuścił silnik i kręcił się wokół liny, którą chciał ściągnąć. El Fatawi pomachał ręką w okrutnym pożegnaniu, ale oni go nie widzieli.

- W każdym razie - dodała Brigitte Aubert, wskazując kciukiem okno - mamy o trzech mniej.

- To się nie liczy - powiedziałem cicho. - Nie było szesnastu osób.

Figlarnie uniosła górną wargę, odsłaniając zęby jak wiewiórka rozgryzająca orzech. Taka minka musiała być zabawna, kiedy Brigitte miała dziesięć lat.

- To prawda. Trzynaście. Pechowa liczba, prawda?

Bez odpowiedzi odgwizdałem koniec przerwy i poprosiłem, by wszyscy usiedli. Ta nasza sesja okazała się całkowicie zbędna, właśnie takie posiedzenia najbardziej mnie denerwowały w czasie, gdy moja firma była dotknięta manią zebrań. Wszyscy wiedzieli, co zostanie powiedziane, każde zdanie było z góry ustalone. Wszyscy aktorzy grzecznie recytowali swoje teksty jak w teatrze. Brigitte Aubert, zgodnie ze swoim wizerunkiem, stała się sarkastyczna, Mastroni drobiazgowy, Hirsch milczący, El Fatawi emocjonalny, Chalamont bez polotu. Nikt z nich nie wychylił się poza swoje charakterologiczne ramy, nikt nie wniósł żadnej nowej informacji czy wzbogacającej refleksji. Zamyślona Laurence ledwo otworzyła usta. Po straconej godzinie jednogłośnie zgodziliśmy się, że nie pozostaje nic innego do zrobienia jak tylko kontynuować, tak jakby nic się nie wydarzyło. Del Rieco miał w ręku wszystkie najlepsze karty, a my nie mieliśmy na niego żadnego wpływu. Wygórowane złudzenia z poprzedniego wieczoru przysły jak bańka mydlana, a nas przybiło rozczarowanie.

Ciężkim krokiem rozeszliśmy się do naszych biur. Hirsch sprawdził pocztę. Wiadomości nie były dobre.

Charriac wynalazł zupełnie nowy sposób atakowania. Działał na trzech frontach. Pierwszy: zaproponował sieci supermarketów nowy rabat, pod warunkiem że skorzystają ze specjalnych promocji - rozpoczęła się wojna handlowa. Drugi, kontynuował swoją ofensywę kapitałową. Ogłosił ofertę kupna naszych akcji, twierdząc, że jednolita grupa podwyższy stopę zysku. Według opinii Mistrza, niektórzy okazali się podatni na takie rozumowanie, na poziomie dziesięciu lub dwunastu procent kapitału spółki; za mało, żeby nam istotnie zagrozić. I wreszcie trzeci, najważniejszy, wszedł na drogę prawną. Za jego namową zapewne, jeden z klientów, który rzekomo zranił małą dziewczynkę naszym haczykiem do wędki, wytoczył nam proces; zażądał kolosalnej sumy odszkodowania i wezwał inne ofiary do ukonstytuowania stowarzyszenia.

- Tak już jest - powiedział Hirsch - jak tylko klient sobie skręci nogę w kostce, natychmiast zaczyna się zastanawiać, komu by tu wytoczyć proces. Takich spraw jest milion rocznie. Doszło do tego, że jeśli produkujesz miotły, musisz zaznaczyć w ulotce: „Uwaga, nie wsadzać sobie w tyłek”, w przeciwnym razie koleś wzywa policję i twierdzi, że nikt go nie uprzedził o niebezpieczeństwie.

- To się kupy nie trzyma! - pieklił się Mastroni. - Haczyk do wędki służy do łapania ryb za wargę. Jeśli ktoś łapie za wargę małą dziewczynkę, bo pomylił ją z pstrągiem, i robi jej to samo co rybie, nie da się uniknąć sprawy sądowej!

- Tak - odparł Hirsch. - Ale sprawę poprowadzi funkcjonariusz wymiaru sprawiedliwości, który nigdy w życiu nie widział haczyka do wędki. Pokażą mu zdjęcia oszpeconej dziewczynki, przedłożą raport biegłego, opisujący rany w drastycznych słowach, i zostaniesz skazany. To jest teraz taka amerykańska moda. Puszczasz bąka i natychmiast masz sprawę sądową. Adwokaci do tego nakłaniają, bo mogą sobie napęcznieć kieszenie, kusząc cię jackpotem. Trzeba to potraktować

poważnie. Ten typek, który wytoczył proces, może poczynić gigantyczne szkody. Mogą nas skazać na zapłacenie zawrotnych sum. Weź na przykład AIDS, cztery miliardy na stół, i w ogóle się o tym nie mówi. No nie, sam zobaczysz, prawo będzie po naszej stronie.

- W tym przypadku tak.

- Pewnie. Kiedy nic już nie wychodzi, pozostaje wymiar sprawiedliwości. Ale poczekaj, to jeszcze nie wszystko, mam nowy mail... Teraz bierze nas na przepisy statutowe. Mówi, że przepisy statutowe naszej firmy nie są odpowiednie i żąda jej rozwiązania.

A więc Charriac to właśnie studiował, kiedy do niego przyszedłem, a on niestaránie ukrył papiery. Jest prawnikiem, ja nie, pomyślałem. Być może nie ma żadnej solidnej podstawy w uzasadnieniu oskarżeń, którymi nas obciąża, ale przez takie przeszkody stracimy sporo czasu. A jeśli wmiesza się do tego prasa (co, logicznie biorąc, na pewno się stanie), zaniepokoiemy naszych klientów. Albo naszych akcjonariuszy.

- Stosuje wszelkie możliwe chwytaki - zauważyłem. - Wojna cen, ofensywa kapitałowa, manewry prawnomedialne...

- No właśnie - odezwał się Hirsch. - Trzy klasyczne sposoby na zrujnowanie firmy... Chce nas dopaść, czego innego się spodziewałaś? Ale będziemy się bronić.

- Nie. Kontratakować. Co do promocji, Mastroni, daj im taką samą ofertę. Dokładnie taką samą. A co do kapitału, szkoda, że nie ma Marilyn, ona redagowała wspaniałe listy. Brigitte, niech się pani postara, proszę jakoś sobie poradzić, chciałbym coś dodającego otuchy. Akcjonariusz to taki ptaszek, którego wszystko przeraża. Niech się pani posłuży Amerykaninem. Jeśli Amerykanie wejdą w kapitał, to znaczy, że forsa jest na wyciągnięcie ręki. Charriac nie musi o tym wiedzieć. I proszę spytać tego jankesa, czy interesowałoby go dwadzieścia procent. To zrobi dobre wrażenie. A ty, Hirsch, znajdź jakąś superkancelarię adwokacką z rodzaju tych, co bronią w sprawach narkotyków. Twardzieli. Łobuzów bez żadnego poczucia moralności. Mamy dwa cele: po pierwsze, zyskać na czasie, spowodować zaginięcie akt, niech to trwa dziesięć lat. Charriac myśli, że jest bardzo mocny, ale na pewno przeoczył dwa czy trzy uchybienia formalne, a to właśnie pasjonuje sądy. Po drugie, zrobimy coś wręcz przeciwnego. Dobierz mu się do bilansu i donieś na niego do fiskusa, do skarbowki, czy jak się to teraz nazywa, powinno go zainteresować. I wsadź mu na łeb jakieś stowarzyszenie ekologów, które będzie się na niego skarżyć.

- Z powodu?

- Byle jakiego. Że zanieczyszcza rzeki. Że jego przynęty zawierają dioksyny, ozon, co tam ci się podoba...

Hirsch wybuchnął grobowym śmiechem, aż podskoczyliśmy.

- Nie, tak nie! Tytan, to możliwe, ale nie dioksyny ani ozon.

- A wypiąć się na to! Tak czy owak nikt nic nie rozumie! Jeśli zatrzymasz faceta demonstrującego na ulicy przeciw dioksynie i spytasz go, co to jest i jakie są właściwie skutki jej działania, nawet jeden na stu nie potrafi odpowiedzieć. Po prostu powiedziano im, że to fuj i koniec, kropka! A oni się tego boją i to wystarczy. Poinformuj po prostu, że dano do badania ryby złowione na te jego haczyki i że czekamy na wynik analiz, ale że już jest jakiś problem.

- Rozłożymy się na tym razem z nim..

- Posłuchaj, stoimy na skraju przepaści, a on nas popycha. No więc co robimy? Chwytny się jego rękawa. Albo nas przytrzyma, albo spadniemy razem. Dobrze mnie zrozumcie, chcę wojny totalnej, na wszystkich frontach. Żadnej litości, żadnych jeńców. Miotacz ognia. Spoczne, kiedy go

wykończę.

Byliśmy zbyt zajęci, by pójść na obiad. Mastroniego wysłaliśmy po prowiant, przyniósł kielbaski, chipsy i piwo. Zauważył, że Charriaca też nie było w jadalni. Stawiła się tylko ekipa Laurence.

- I nie są w najlepszym nastroju. Wyglądają, jakby się nudzili.

- Czekają, bo chcą zobaczyć, kto wygra. Chociaż dla nich to nic nie zmieni. Postaw się w ich sytuacji.

- Nie, dziękuję, wolę moją.

Nieustannie wysyłaliśmy maile. Drukarka Hirscha bez przerwy terkotała, wydając odgłosy konania, jak to zwykle drukarki. Sieć supermarketów wciąż nie była zdecydowana. Po południu odesłali nas z kwitkiem. Zdezorientowani akcjonariusze milczeli. Na razie jednak nie brali pod uwagę propozycji naszych konkurentów. Oni także czekali na koniec walki, żeby wybrać zwycięski obóz. Co do operacji prawnych, adwokaci wymieniali całkiem niezrozumiałe pisma, pełne odsyłaczy do nieznanych nam tekstów i noszące zdecydowane - i zwodnicze - piętno dobrej woli. Nie zarysowywało się przed nami żadne prostsze rozwiązanie, a akta sprawy przygniatały się swoim własnym ciężarem w groźnym trzęsawisku.

Mój zespół powoli odzyskiwał dobry nastrój. Widziałem to po ich rozluźnionych rysach, dowcipnych uwagach, które wypowiadali kątem ust, nie przerywając pracy. Twarze są jak niebo: wystarczy spojrzeć, by wiedzieć, czy jest ładnie, czy szaro, czy atmosfera jest ciężka od wilgoci, czy nadchodzi burza, czy chmury się rozpraszają. Nasze tchnęły wiosną.

Około trzeciej po południu Hirsch się odwrócił.

- No nareszcie: przysłał nam nasze karty!

Mastroni i Brigitte oderwali się od swoich zajęć i podeszli do ekranu.

- Naprawdę?

- Tak. Najwyraźniej, telefaks.

Chwyciłem Brigitte za ramię.

- Niech pani nie patrzy. Intoksykacja. Jaką mamy pewność, że nie zmienił kilku mało ważnych szczegółów? Czy nie zastąpił „genialny” przez „słaby”? Próbuje wywrzeć na nas wrażenie. To dobry znak. Jeśli jest...

Wyswobodziła się z uścisku.

- Chwileczkę, chciałabym zerknąć... Tak tylko, z ciekawości... Schyliłem się i wyłączyłem drukarkę.

- Nie. Strata czasu. To wybieg. Niech pani przeczyta swój horoskop, na jedno wyjdzie. To nie są nasze karty. Charriac chce, żebyśmy tak myśleli. W panice próbuje wszystkiego. To bardzo dobry znak. Wasze karty, te prawdziwe, ujrzyicie w piątek wieczorem. A te tutaj są nic niewarte.

- Ale przecież można zobaczyć, boi się pan, czy co?

- Czy co? Takie fiszki mogą pani pisać każdego ranka, po dobrej wieczornej kolacji. Proszę się zastanowić, czego on chce? Chce, żebyśmy pozostałe trzy godziny spędzili na oglądaniu własnego pępka i rozkoszowaniu się: ojej! jaką oni mają o nas opinię! Ale to nie Del Rieco faksuje, to Charriac, rozumie pani? Mam pomysł. Hirsch, wyślij je do Del Rieco. Niech zobaczy, jakie metody stosuje się przeciw nam. Naprawdę, chce pani wiedzieć?

Wyrwałem z drukarki kilka linijek, które wyszły, jeszcze zanim ją wyłączyłem, i udałem, że czytam:

- Brigitte Aubert. Ładna, ale niedopieczona...

- Ma pan rację, to fałsz, absolutne przeciwieństwo - powiedziała z szyderczą powagą, wzbudzając ogólne rozbawienie.

Uśmiechnąłem się aprobowująco. Bardzo lubię ludzi, którzy potrafią żartować z samych siebie. Pięć minut później otrzymaliśmy mail od Del Rieco: „Nie rozumiem, dlaczego przysyłacie mi te karty. JDR”.

- On myśli, że to my się tak zabawiamy. Zaznacz, że dostaliśmy je od Charriaca i nie rozumiemy w jakim celu. Potem już nic nie pisz, mamy co robić.

- JDR... - ironizował Hirsch. - A przecież Ja Dużo Rozumiem. Albo...

- Ja Daję Rozkazy - zaproponowała Brigitte, zdecydowanie pełna werwy.

- Stop - uciałem surowo. - Do roboty. Śmiać się będziemy w sobotę.

Niestety, około godziny wpół do piątej zadano nam decydujący cios. Śmiertelny. Amerykanin zmienił obóz. Sprzymierzył się z Charriakiem, wniósł do jego spółki swój CD-ROM, finansowanie i dwadzieścia procent naszego kapitału, to wszystko, co przed kwadransiem od nas odkupił. Charriac, kując żelazo póki gorące, w pośpiechu stworzył holding, by móc zarządzać całością. Tak jak metalowe elementy w Małym Konstruktorze firmy wchodzą jedne w drugie: holding posiadał część akcji ekipy A, która z kolei kontrolowała pięćdziesiąt procent udziałów holdingu, który rozporządzał jedną trzecią akcji ekipy Laurence, dwudziestoma procentami naszej i poprzez te dwadzieścia procent piątą częścią pozostałej trzeciej części akcji ekipy B... Można dostać kołowaczny.

Hirsch próbował wprowadzić do diagramu całe to nakładanie się finansów. To było nieczytelne. Przeciążone strzałki wskazujące procenty rozchodziły się na wszystkie strony.

- Potrzeba co najmniej godziny, żeby zrozumieć, kto jest właścicielem czego - skomentował. - Pewne jest tylko jedno, że my już niewiele mamy. Przy odrobinie szczęścia umieści ten holding na Bahamach i wtedy szukaj wiatru w polu, ukryje się przed fiskusem i przed wymiarem sprawiedliwości...

Niewiele się pomylił: holding zainstalował się w Luksemburgu, potem odsprzedał papiery wartościowe całkowicie nowej spółce, stworzonej na Kajmanach i rozplynął się na naszych oczach. Charriac, jak sztukmistrz, wyciągał z kapelusza kaskady przepisów, które przez chwilę istniały, a potem znikwały. Linoskoczek tańczył nad przepaścią prawa międzynarodowego, błyskawicznie przemieszczając kapitał jak w grze w trzy karty. Pokazywał, na co go stać. I dał nam lekcję, która nas wprawiała w zdumienie, niemal w podziw.

- Czulem, co się święci - oświadczył Mastroni. - Wcale nie miał zamiaru produkować haczyków do wędek. Surfuje na bańce spekulacyjnej. Dał nam wycisk.

Niepokoił mnie jeden szczegół.

- Skąd się dowiedział o Amerykaninie? Ktoś z was miał za długi język? To musiało wyjść stąd...

- Laurence - wyrwała się Brigitte.

- Nie sądzę. Nie może go odesłać z kwitkiem, dlaczego miałyby mu pomagać? Nie należy do tych, którzy coś opowiadają, żeby zabłysnąć. Kto inny?

- Nigdy nie rozmawialiśmy z nimi o sprawach zawodowych - bronił się Mastroni. - A co ty myślisz? Że jest jeszcze jakiś zdrajca? Jest nas tylko czworo...

- Czasem wystarczy jedno niezręczne słowo...

- Nie. Nie upadliśmy na głowę.

- No więc jest tylko jedno wyjście: Del Rieco mu powiedział. Wyjaśnię to.

Wstałem i poszedłem do domku. Nagle przytłoczyło mnie ogromne zmęczenie z trzech ostatnich dni. Byłem wycieńczony. Zdruzgotany. Teraz zrozumiałem, co musiała odczuwać Laurence, kiedy szła na dno, patrzyła, jak spokojnie sobie rozmawiam na brzegu, i usiłowała zrozumieć, dlaczego nie rzucam jej koła ratunkowego.

Del Rieco zaczął od tego, że mi nie otworzył.

- Wieczorem, wieczorem, po kolacji! - krzyknął przez drzwi.

- Nie. Natychmiast.

Jak dziecko uderzyłem ramieniem we framugę. Kiedy ponownie szykowałem się do skoku, zdecydował się wyjść do mnie. Miał surową, znużoną minę.

- Co się dzieje, Jérôme? Nerwy puszczają?

- Byłby powód, żeby puściły. Kto poinformował Charriaca o naszych pertraktacjach z Amerykaninem?

- Ja, oczywiście. Kilka linijek w artykule prasowym. Nie przypuszczaliście chyba, że to pozostanie tajemnicą.

- A dlaczego nie?

Nieruchomo stał w progu, całym swoim cielskiem zatarasował drzwi.

- Bo nic nie pozostaje tajemnicą. Nie starałem się jakoś specjalnie ściągnąć jego uwagi, ta informacja wtopiła się w masę innych głupstewek. Ale on ma nosa i rozszyfrował sprawę. Pomyśleliście o tym, żeby dokładnie przeczytać przegląd prasy, który codziennie wam przysyłam? A on pomyślał.

To prawda, co rano przysyłał nam plik maili, pokrótce streszczających artykuły z fachowych pism. I prawdą jest też, że nie zwracaliśmy na to uwagi: za pierwszym razem nie było nic interesującego, jakieś techniczne rubryki na temat łowienia ryb na spinning i zarybiania stawów. A później przestaliśmy czytać, Hirsch nawet ich już nie drukował.

- Potem - ciągnął Del Rieco - skontaktował się ze wszystkimi firmami amerykańskimi, aż znalazł odpowiednią. I przystąpił do rozmów. Jakże mógłbym mu tego zabronić? Gdybym to zrobił, nie byłbym neutralny. Działał w ramach obowiązujących reguł, w sposób całkiem prawidłowy.

- Przypuśćmy. Dlaczego Amerykanin z nim pertraktował?

- Dlatego, że jego oferta była interesująca. Dla Amerykanów jesteśmy stadem żab podobnych do siebie. Oni rozmawiają z największą. Jeśli pan pragnie uczuć, to do Hollywood. A nie na Wall Street. A czy zbadał pan sytuację tego Amerykanina?

- N...nie, właściwie nie.

- A należało. Przypuśćmy, że pan mi zadaje pytanie. Ja odpowiedziałbym, że tak jak w wielu tamtejszych firmach fundusz inwestycyjny jest u niego większościowy. Średnia dochodowość kapitału przemysłowego kształtuje się na poziomie poniżej trzech procent w pieniądzech obiegowych. Akcjonariusze chcą pięć razy więcej. Co pan robi, żeby pięciokrotnie go pomnożyć?

Milczałem. Popatrzył na mnie z upokarzającą pobłażliwością.

- Musi pan żonglować. Kupuje pan i sprzedaje. Nieważne co. Nie jestem pewien, czy dobrze zrozumieliście sposób funkcjonowania nowoczesnego systemu ekonomicznego. To jak w kopalni; idzie się tam, gdzie jest żyła. Kiedy już się wyczerpie, drąży się gdzie indziej. A ponieważ trzeba się dobrze odżywiać, pozwala się kilku wieśniakom uprawiać pomidory i kartofle za trzy franki z groszami. Albo produkować haczyki do wędek. Ale z tego nie ma pieniędzy. Przyznaję, że jestem pod wrażeniem wyczynów Emmanuela Charriaca. Pan też nieźle sobie radzi. Ale nie boksujecie w tej

samej kategorii.

Każde słowo było szpilą, każde zdanie zniewagą. Za wcześnie wyciągnąłem go z nory i to go rozdrażniło. Brał odwet, wykładając kawę na ławę.

Przyjął litościwy ton.

- Co pan chce, ustawił poprzeczkę bardzo wysoko. To nie jest taki zwyczajny staż. Zwykle mamy tu ludzi, którzy popełnili błędy w życiu; są bardzo dobrzy, ale w pewnym momencie się pomylili. Grzecznie słuchają poleceń, od razu widać, co im nie idzie, i kiedy trzeba, odpowiednio się ich nakierowuje. Tym razem jednak to wojna na Bałkanach. Bardzo stymulująca intelektualnie. Nikt z was, może oprócz pani Carre, nie starał się wygrać. Od początku chcieliście się nawzajem zniszczyć. Wykroczyliście poza moją logikę i od razu pokonaliście mur. Bardzo mnie ciekawiło, co zrobicie dalej. Chicago w czasach Ala Capone. Ale to pan zaczął, Jérôme. Może był pan nadmiernie zmotywowany... Wie pan, paradoksalnie, to może być przeszkodą.

- To z pańską logiką jest coś nie tak - stwierdziłem z politowaniem.

Wtedy wrzasnął:

- Ależ to nie jest moja logika! To logika systemu! Taki jest świat, a nie wyłącznie ja. Wygrywają najtwardsi. Nic na to nie poradzę. Czasem, wyznam panu, czasem to budzi we mnie pesymizm. Pod koniec przyszłego wieku syndykat zbrodni zapanuje nad naszą planetą i nikt nie zauważy różnicy. Ludzie z mentalnością Attyli, tyle że w garniturach zamiast w zwierzęcych skórkach. Na szczęście mnie już nie będzie; prosto do tego zmierzamy. Chyba dzieje się tak, od kiedy w szkołach zrezygnowano z lekcji etyki...

- Bardzo do pana pasuje opowiadanie o etyce...

- Niech pan zapomni o etyce. Mówię o logice. Przyczyny i skutki zazębiają się, to jest nieodwołalnie zaprogramowane i nikt nie zmieni biegu tej krzywej. To jak wybuch bomby atomowej: w pewnym momencie traci się nad tym kontrolę. Niszczy wszystko, ale każdy szczegół daje się dokładnie przewidzieć. Wszystko, co tu się działo, jest tylko logiczną konsekwencją postaw, jakie przyjęliście. I wy, i tamci. Nie wierzę w fatum, to usprawiedliwienie przegranych. Natomiast głęboko wierzę w logikę. Nie możemy przewidzieć przyszłości wyłącznie dlatego, że nie dysponujemy wszystkimi parametrami. Za każdym razem jednak, gdy opanowujemy kolejny, zmniejsza się nasza niepewność. I ja po to tu jestem: żeby dowiedzieć się o was jeszcze więcej, a tym samym zminimalizować niepewność co do waszego przyszłego postępowania. Wy także jesteście podporządkowani logice.

- Nie logice w ogóle, ale pańskiej logice - powtórzyłem głupio. - To nie tak się odbywa.

Wzruszył ramionami.

- Czytajcie gazety. No dobrze, dosyć pogawędki, Jérôme, mam robotę. Gra kończy się do kolacji. Porozmawiamy o tym znów jutro wieczorem, kiedy spotkam się z panem tak jak z innymi.

Ulatywała ze mnie cała godność, cała pewność siebie. Naprężyłem wszystkie mięśnie, żeby się nie zwalić na ziemię.

- Joseph, ja tu przyjechałem szukać pracy. I tylko po to - powiedziałem, starając się opanować drżenie głosu.

- No to niech pan robi, co trzeba - rzucił brutalnie.

To był jego końcowy wniosek. Albo raczej ostatnie wyzwanie. Gdyby nie wypowiedział tych słów, gdyby poprzestał na swoim cybernetyczno-filozoficznym gładzeniu, może wszystko wyglądałoby inaczej. Lecz cała ta gadanina sprawiała, że miałem ochotę doprowadzić ich do

ostateczności.

Chciał wy badać, jak daleko jesteśmy skłonni się posunąć, chciał skłonić nas do przekroczenia jeszcze jednej granicy. Zbyt daleko już zaszedłem, by się wycofać.

Moja ekipa, a raczej to, co z niej zostało, nie pytała, jak się potoczyło spotkanie. To było wypisane na mojej twarzy. Tylko na mnie spojrzeli i opuścili głowy.

- Nawiązałem kontakt ze związkami zawodowymi Charriaca - poinformował Mastroni. - Próbuję mu zafundować strajk. To może zrazić Amerykanina.

- Tak sądzisz? - spytałem bez przekonania.

- Tak. Szepnąłem im, że przy okazji połączenia kapitałów Charriac ma zamiar zwolnić dwadzieścia procent personelu. Już przygotowują transparenty. Jeśli się zdenerwują, Amerykanin się przestraszy.

Nawet nieźle pomyślane. To nie byłby pierwszy raz, gdy związki zawodowe nieświadomie służą za pionki na szachownicy konfliktów finansowych. Niestety ten manewr się nie powiódł. Charriac obiecał, przysiągł i podpisał, że nie będzie nawet cienia wypowiedzeń. Chciał po prostu zyskać parę godzin. Czy dotrzymałby obietnicy, gdyby gra toczyła się dłużej? Nie wiadomo. Prawdopodobnie nie. To bez znaczenia.

Nasi akcjonariusze stwierdzili, że równowaga została zachwiana, i zaczęli sprzedawać, ile się tylko da. W pewnym momencie Charriac przestał skupować. Miał teraz ponad jedną trzecią naszych wkładów, a ponieważ dysponował względną większością, tuż przed aperitifem ogłosił fuzję naszych firm, nie zwołując nawet rady nadzorczej.

- Nie idę na kolację - oświadczyła Brigitte. - Nie zniosę widoku jego gęby z tymi wywalonymi ślepiami.

Hirsch ociężale usiadł przy komputerze.

- Spokojnie mogę wszystko wymazać - mruknął z niezadowoleniem. - Do niczego już się nie przyda...

Jedynie Mastroni starał się robić dobrą minę do złej gry. Usiłował dodawać nam ducha.

- Polegliśmy z bronią w ręku... Ale przecież doszliśmy do finału, wezmą to pod uwagę...

Zamyślony, położyłem palec na ustach.

- Poczekaj, co powiedziałaś?

- Polegliśmy...

- Nie, co powiedział Hirsch?

- Że wszystko wymażę - odparł Hirsch.

Klasnąłem w ręce, aż podskoczyli.

- Mój Boże! Znalazłem wyjście!

Popatrzyli na mnie tak, jak zwykle patrzy się na pijaka, z litością i lekką odrazą.

- Co znowu wymyśliłeś?

- Nic, nic. Muszę się jeszcze zastanowić. Gdzie będziecie wieczorem?

Brigitte uniosła brwi z niedowierzaniem.

- A jak pan myśli? W Lido? Albo pójdziemy na kolację do La Tour d'argent, i potem gdzieś potańczyć...

- Muszę być z wami w kontakcie. Jakoś sobie poradzę. Chodźcie na kolację.

- Beze mnie - powtórzyła Brigitte. - Nie jestem głodna. Odbierają mi apetyt.

- Ależ z panią. Zachowamy twarz do końca. A koniec być może jest nie tam, gdzie im się wydaje.

- Ma rację - stwierdził Hirsch. - To nie będzie przyjemne, ale zachowajmy twarz. W każdym razie miło było z tobą pracować. Zrobiliśmy, co się dało. Szkoda, że trafiliśmy na bandziorów.

- Może uda nam się jeszcze zerznąć im skórę - powiedziałem cicho.

Nie wierzyli w to. Mecz został przegrany, a oni rozcierali siniaki.

Przy kolacji Charriac okazał się jeszcze wstrętniejszy, niż sądziliśmy.

Czekaliśmy na jego natarcie, przyczajeni w okopach, gotowi odpowiedzieć kontratakami na pociski pogardy, granaty sarkazmu, kanonady ironii. Czekaliśmy z bronią u nogi. Charriac opowiadał o weekendzie, który spędził w Wenecji w towarzystwie jakiejś pani, wyliczał mosty i uliczki Miasta Dożów, kalkulował obroty hotelu Danieli, po czym przerzucił się na zawikłaną analizę finansów Watykanu, jego zdaniem historyczna walka między chrześcijaństwem a islamem tylko maskowała spór o podział zysków, marginalny w porównaniu: procesem Microsoftu. Charriac okazał się błyskotliwy, z powściągliwym uśmiechem żonglował paradoksami, tak jakby bawiąc się pojęciami, dawał do zrozumienia, że sam nie wierzy w to, co mówi, więc poprzestawał na wychwalaniu swoich talentów. To była jedyna oznaka jego ogromnej satysfakcji. Wyraźnie się odprężył, i chyba już myślał o czym innym. Doznałem sromotnej porażki; spodziewałem się, że będzie bezczelnie obnosił się ze swoim triumfem. Tymczasem jego udawana obojętność na to, co się wydarzyło, sprawiła mi jeszcze większą przykrość. To jasny przekaz: „widzicie, to było takie proste, zwykle ćwiczenia wstępne, ja już nawet o tym zapomniałem”. Coś takiego jest jeszcze bardziej upokarzające niż brutalna arogancja czy - co gorsza - przesłodzona, jakiej się spodziewaliśmy.

Laurence włączyła się w tę jego grę, chciała go zagiąć. Znała Wenecję chyba lepiej niż on i próbowała zrobić z niego nieokrzesanego, tępego ignoranta. Chętnie wrócił do tematu, zacytował *Pamiętniki Casanovy*, rozprawiał o pochodzeniu słowa „getto” i opowiedział nam anegdotkę o kolorach i o *Harry's Bar*. Swobodny, miły, słuchał Laurence z niekłamaną uwagą, gdy skierowała rozmowę na malarstwo. Krótko mówiąc, idealny współbiesiadnik. Irytujący kurtuazją.

Czułem, że moi koledzy gotują się ze złości. Byli jednak na tyle mądrzy, że panowali nad sobą. Oczywiście Del Rieco nawet się nie pokazał.

Zewnątrz powracała burza. Usłyszeliśmy świst wiatru wśród drzew, zaraz potem ciężkie krople deszczu zaczęły wbić w szyby.

Ostatnie chwile kolacji trochę nas zdeprymowały. Nie było już Morina, który zwykle ożywiał życie barowe. Ekipa Charriaca natomiast, zaraz po kawie, udała się na prywatne spotkanie - *debriefing*. Przypuszczam, że tak naprawdę poszli napić się szampana, uczcić sukces, rozpamiętywać, jacy to oni byli dobrzy, a my źli, rozkoszować się każdym etapem.

A zwłaszcza pomocą, jakiej udzielał im Del Rieco. Jestem przekonany, że tak właśnie było. Kości już z góry zostały rzucone. Ta rywalizacja nie miała nic wspólnego z uczciwym wyścigiem. Nie wiem, dlatego Del Rieco postanowił faworyzować Charriaca i zrobił wszystko, żeby go wesprzeć: zwracał jego uwagę na właściwe informacje, wybierał reakcje akcjonariuszy, a także dostawców czy klientów, bez powodu wprowadzał nas w błąd, niwelował teren przed nim, a mnożył przeszkody przed nami. Łączyła ich jakaś tajemna więź, ale jaka? Jeszcze tego nie rozwikłałem. Cała maszynaria, na pozór tak skomplikowana i tak realistyczna, była tylko iluzją, środkiem do zaciemnienia oczywistej prawdy: Charriac musi zwyciężyć. Ani przez moment nie mieli zamiaru sprawiedliwie nas oceniać, chcieli tylko uzasadnić aprioryczny wybór, przyjęty na długo przed naszym przybyciem.

W barze podzieliłem się myślami z Laurence i Hirschem siedzącymi przy kawie. Laurence, która

przecież jako pierwsza zaczęła podejrzewać, że istnieje porozumienie Charriaca z Del Rieco, teraz zmieniła zdanie. Według niej oni po prostu stworzyli nam ekstremalną sytuację i każdy dostał to, na co zasłużył. Także w życiu, mówiła, nie ma równowagi między absolwentem ENA, który ukończył liceum Ludwika Wielkiego, a drobnym dilerem pochodzącym z przedmieścia. Tutaj rozgrywka była bardziej równa, wszyscy dostaliśmy swoją szansę. Za dużo skrupułów, za mało nieufności, pewna naiwność i zakorzenione odruchy - to tajemnica naszego niepowodzenia. Charriac, wręcz przeciwnie, był odzwierciedleniem tego, do czego dążył: brutalny, podstępny, bezlitosny, zimny. W oczach Laurence dostrzegłem pełen rezygnacji podziw - albo też, ściślej, rezygnację pełną gorzkiego podziwu.

- Zostałam wyeliminowana - ciągnęła - dlatego że nie jestem taka jak oni. W gruncie rzeczy się nie mylą: nie ma dla mnie miejsca wśród wyższego personelu największych światowych korporacji. Nie jestem jeszcze gotowa iść po trupach do celu. I być może nigdy nie będę. Pokazali mi, gdzie się znajduje przystanek końcowy, i wtedy zrozumiałam, że wcale nie chcę do niego dotrzeć.

- Wyświadczyli pani przysługę...

- W pewnym sensie. Wszędzie dzieje się tak samo, chyba wiecie. Czy na uniwersytecie, w administracji, w wielkich przedsiębiorstwach, czy w środowiskach artystycznych. Każdy ma swoją formę kultury i jeśli nie jesteś dokładnie taki jak oni, odrzucają cię. Mnie pozostaje po prostu znalezienie własnego miejsca. Ale nie tutaj. Nie lubią mnie, bo ja ich nie lubię. Nie mam ochoty się do nich upodobnić. Wyczuli to i dali mi to wyraźnie do zrozumienia. Nie potrafiłabym postępować jak Charriac, stać się kimś takim jak on. To, czego dokonali, jest wspaniałe. Nie tracili trzech lat na próbę uformowania mnie: uporali się z tym w cztery dni. Jestem pod wrażeniem: niewielkie środki i o wiele lepsze rezultaty niż wyniki wszystkich *accointance forms*, które wielkie przedsiębiorstwa wysyłają kandydatom.

- Co to takiego? - spytał Hirsch. Odwróciła się do niego.

- Kiedy chce pan zatrudnić się w dużej firmie, w nieskończoność przysyłają panu kwestionariusze do wypełnienia. Celem jest sprawdzenie, czy pan pasuje do tego, z czym się pan u nich spotka.

Nie tylko czy pan spełnia ich oczekiwania, ale przede wszystkim czy pan im nie narobi kłopotów, czy będzie pan w pełni oddany, czy będzie pan przystawać do ducha, mentalności firmy. Potem wpuszcza się to do komputera i wychodzi pański profil. Del Rieco działa sprytniej: stosuje metodę *live*. Przynajmniej wiadomo, o co chodzi.

Irytowała mnie ta przemowa.

- Dają pani kopa w tyłek, a pani im dziękuje... Omal się nie uśmiechnęła.

- Jestem tego bliska. Wydaje mi się, że wychodzę z seminarium, w którym straciłam wiarę. Nadal chcę mieć pracę, bardzo jej potrzebuję, ale może niekoniecznie taką pracę. Nie czułam się tu dobrze przez te trzy dni. Doszłam do wniosku, że nie jestem do tego stworzona. Rozejrzę się, poszukam czegoś, co mi będzie bardziej odpowiadało.

- Nie ma czegoś innego, Laurence. Służba państwowa jest niedostępna dla ludzi w naszym wieku, może nie w pani, ale w moim: skończyłem czterdzieści lat. Nie studiowałem medycyny, nie mogę być adwokatem, nie umiem naprawiać telewizorów czy kranów, nawet nie mam za co kupić licencji szofera taksówki. Więc co będę robić?

- Nie wiem, sprzedawać kwiaty na targu w Prowansji... Jeśli panu odpowiada, zatrudnię pana!

- Albo grać na akordeonie w kawiarnianych ogródkach. Przepraszam, Laurence, ale to nie dla mnie. Chyba ominęła nas właśnie wspaniała przygoda miłosna.

Tym razem szczerze się roześmiała.

- Lepiej sobie to uświadomić teraz. Zresztą nawet nie przyszłoby mi to do głowy, już raz wpadłam.

- No dobrze, gruchajcie sobie, ja wychodzę - ironizował Hirsch.

Ale to Laurence powiedziała nam dobranoc i wyszła. Gdy tylko przekroczyła próg, natychmiast przestałem się nią interesować. Nie sędzę, że gdyby została, udałoby się jej mnie przekonać. Chyba nie pragnęliśmy tego, ani ona, ani ja. Po prostu przebyła tę drogę przede mną, nie zatrzymując się.

Kontynuowałem rozmowę z Hirschem. Inaczej to wyrażaliśmy, ale nadawaliśmy na tych samych falach: uczucie wściekłości, że zostaliśmy oszukani.

On także uważał, że gra była pokrętna. Co chwilę odgrzebywaliśmy ten czy inny szczegół, co umacniało nas w takim przekonaniu.

- Obserwatorzy! - dziwił się Hirsch. - Próbowali nawet ich przemycić jako psychologów! W takim razie ja jestem łyżwiarzem figurowym, nie, arcybiskupem Paryża! Morin psycholog! I chcę, żebyśmy naprawdę w to uwierzyli! A widziałeś choć przez moment gębę tego psychologa? Może to była po prostu ukryta kamera!

- Ale najlepsze to historia z Amerykaninem. My go wymyślamy, a jak tylko się na nim opieramy, oni go nam podkupują i padamy na pysk. Poleciałbym z Paryża do Los Angeles, żeby z tym typkiem porozmawiać. To by była zupełnie inna melodia. Biznesu nie powinno się załatwiać faksem: trzeba spotykać się z ludźmi i rozmawiać twarzą w twarz. Web to głupota; nigdy nic nie zastąpi bezpośredniego kontaktu człowieka z człowiekiem. Ale oni nam tego odmówili.

- A ta historia z haczykami do wędek! - rzucił Hirsch. - Kto zaproponował taki idiotyzm? Pinetti?

- Chyba tak. Wszystko jedno. Zresztą on też był w zмовie.

Na próżno mieszając łyżeczkami w pustych filiżankach, wzajemnie się podburzaliśmy. W końcu, kiedy wyczułem, że już dojrzał, wyciągnąłem moje atuty.

- Jesteśmy ugotowani, zgadzasz się?

- Bardziej niż ugotowani. Spaleni.

- Nie mamy już nic do stracenia?

- Z nimi, nic.

- No to posłuchaj: urządzimy im niezły burdel.

Nie spytał dlaczego, lecz jak. Tego właśnie oczekiwałem.

- Zniszczymy im te ich zabawki. Wszystko zdewastujemy. Clausewitz: wojna jest kontynuacją polityki, ale innymi środkami. Oni uwielbiają tę formułkę, powtarzają ją za każdym razem, kiedy kogoś pałują, wycierają sobie tym gębę, uważają, że to genialna myśl, szczyty filozofii. Przez dwa tysiące lat nauczano Platona, teraz jest Clausewitz. Okej, więc my im pokażemy. Nie znają granic? Zgoda, my też nie.

Hirsch nie dyskutował.

- A konkretnie?

- Konkretnie, udamy, że kładziemy się spać. Spotykamy się o drugiej w nocy i okrążamy ich kwaterę główną. I zajmujemy się ich komputerami. Wchodzisz w to?

Gdyby powiedział nie, odpuściłbym. Potrzebowałem wsparcia w tej mojej wściekłości. Ale on pokiwał głową z rozjuszoną miną.

Postanowiliśmy nikogo innego nie wtajemniczać w tę operację komandosów. Laurence znalazła się już w innej bajce, Mastroni był zbyt bojaźliwy, Brigitte Aubert za bardzo rygorystyczna, a inni nic

niewarci. Kiedy człowiek chce rozwalić interes, angażuje wyłącznie zabójców.

Idąc do pokoju, minąłem ekipę Charriaca; właśnie skończyli zebranie. Pinetti mrugnął do mnie, prawie przyjaźnie.

Punktualnie o drugiej spotkałem się z Hirschem w ciemnym, pustym holu. Tylko słaba lampka nad wejściem rzucała nikłe, żółtawe światło na schody. W budynku panowała cisza.

Hirsch czekał na mnie, zagłębiony w jednym z foteli przy recepcji. Miał na sobie dzinsy i czarny pulower. Brakowało mu tylko kominiarki i pistoletu maszynowego, by dopełnić portretu międzynarodowego terrorysty.

- Idziemy? - spytałem szeptem.

Zwinnie się poderwał. Wydawał się jeszcze bardziej zdecydowany niż wcześniej, miał nieprzeniknioną twarz. Na pewno, tak jak ja, długo przeżywał urazę, leżąc w ubraniu na łóżku.

Na dworze wiatr i deszcz wyzwały się na pojedynek. Do domku dotarliśmy zmoczeni i rozczochrani. Przed drzwiami Hirsch wyjął z kieszeni pręt. Spojrzałem na niego pytająco.

- Nie wiesz, skąd się wziąłem - szepnął, wsuwając drut do dziurki od klucza.

Chyba trochę wyszedł z wprawy: minęło kilka minut, zanim zamek ustąpił. W końcu rozległ się trzask, stłumiony przez głośnie podmuchy wiatru. Ujrzałem w mroku błysk zębów Hirscha.

- To nie jest Banque de France - zamruczał. - Wydaje im się, że są bezpieczni.

Ramieniem pchnął drzwi. Wślizgnęliśmy się do groty Ali Baby i natychmiast ją za sobą zamknęliśmy.

- Nie zapalamy światła - zarządziłem.

Gdy nasze oczy przyzwyczyły się do ciemności, Hirsch podszedł do komputerów i je włączył. Urządzenia posłusznie zaszemrały i zaczęły wypełniać ekrany tajemniczymi formułkami.

Hirsch zmarszczył brwi, raczej czujny niż niespokojny. Potem przysunął sobie krzesło, usiadł i zaczął przyciskać klawisze. Nie jestem biegły w informatyce, ale tak jak wszyscy mam o tym podstawowe pojęcie. Domyśliłem się, że chciał dotrzeć do zawartości pamięci.

Tymczasem ja otwierałem szuflady. Były w nich tylko zapasowe kopie dyskietek. Ale Del Rieco na pewno gdzieś przechowywał pisemne ślady swojej działalności, choćby do celów prawnych. Przypomniałem sobie wykład, który wysłuchałem jako student: jakiś prorok przekonywał nas, że w roku 2000 papier stanie się reliktem, że ludzie będą się z pełną swobodą komunikować wyłącznie przez sieć. Dwadzieścia pięć lat później firmy zużywają więcej papieru niż kiedykolwiek przedtem; nigdy dotąd nie było tak dużo biurowych, urzędowych papierzysk, nigdy formalne procedury prawne tak bardzo nie ciążyły na życiu codziennym.

Rzuciłem się na stalowe biurowe szafki. Dwie były zamknięte na klucz, dwie inne - pełne dokumentów, równiutko powieszonych na przepisowych listewkach. Wyciągnąłem jedną teczkę i rozłożyłem na stoliku jej zawartość. W ciemności trudno rozszyfrować dokumenty. Wyjmowałem każdą kartkę, przybliżałem ją do okna i nachylałem w stronę, gdzie było mniej ciemno, w nadziei że uda mi się dojrzeć litery.

Hirsch odwrócił się do mnie.

- Zepsujesz sobie oczy i nic nie zdasz. Nie zawracaj sobie głowy, zabieramy to.

- Poczekaj, najpierw muszę zobaczyć, co to jest. Jeśli to rachunek z pralni, akurat nam się przyda.

Okno nie spełniło swojego zadania, więc trochę uchyliłem drzwi. Na kartonowej okładce widniały litery napisane flamastrem.

- To poprzedni staż. Z początku roku.

- Bierz, bierz...

- Znalazłeś coś?

Odsunął się od klawiatury i uklęknął, wpatrując się w podłogę.

- Jest siedem lub osiem kartotek, niestety dobrze chronionych. Spróbuję na innym komputerze.

Sądząc po okablowaniu, nie jest podłączony do sieci, nie wszystko pracuje w Uniksie. Może nagle przestali go chronić, ale to nic pewnego.

Wróciłem do szafek. Wszystkie teczki były do siebie podobne. Następną poddałem próbie uchylonych drzwi. Dotyczyła innego stażu, jeszcze dawniejszego. Odłożyłem ją. Poruszaliśmy się jak najciszej.

- Hasło - szepnął Hirsch. - Cholera jasna!

- Nie możesz jakoś się włamać?

- Mogę, ale to zajmie całą noc. A na pewno minimum godzinę albo dwie, przy odrobinie szczęścia.

- Nigdy nie widziałem tak nieudolnego hakera - zażartowałem.

- No to zabierz się do tego sam - fuknął.

- Wyciągnij raczej ten twój niezbędny włamywacza i spróbuj otworzyć tamtą szafkę.

Dźgnął mnie łokciem.

- To nie jest niezbędny włamywacza, to pręt do otwierania drzwi samochodowych. Dał mi go mój siostrzeniec.

- Ten z Fresnes?

- Tak, ten...

Pochylił się i wsadził wytrych w szparę. Znowu trzask.

- Cholera, rozwalilem.

- Wytrych?

- Nie, zamek. Będzie widać...

Wzruszyłem ramionami.

- A co tam...

W szafce znaleźliśmy butelkę whisky, butelkę wody Perrier, trzy szklanki i ściereczkę do naczyń. Hirsch w zamyśleniu potarł brodę.

- No to w drugiej na pewno są kostki lodu... Zauważ, ukrywają te rzeczy lepiej niż dokumenty... To bardziej interesujące. Drinka? Ja częstuję...

- Nie sądzę, żeby to była odpowiednia chwila.

Zrobił półobrót i popatrzył na włączone monitory.

- W komputerach jest wszystko. Co mam robić? Zabrać jeden?

Zastanowiłem się.

- Poczekaj... Nie, zostaw. Najpierw zobaczymy, co jest w tej teczce. Zazwyczaj, kiedy staż się kończy, wszystko przenoszą na papier, żeby zamknąć sprawę. Najpierw dowiemy się, czego trzeba szukać.

Był na tyle miły, że się zgodził.

- Okej. Zanim wrócimy, spróbujmy znaleźć jakąś latarkę. Kody dostępu nie są jednakowej długości. To znaczy, że dla każdej kartoteki jest inny kod. Kiedy jest ich więcej niż jeden czy dwa, notuje się je na kartce papieru, gdzieś w pobliżu komputera. Wiesz, jak to jest, chcesz pracować, a tu nagle, cholera, nie pamiętasz kodu, musisz go szukać. To tak jak z błękitną kartą, gdzieś zapisujesz

kod, każdemu może się zdarzyć luka w pamięci, na przykład gdy jest przeziębiony albo coś w tym guście... Nasza pamięć to nie twardy dysk, niezmienny. Jak zwykle, człowiek jest słabszym ogniwem systemu.

To chyba była nie najlepsza pora na rozprawianie o ontologii. Uciszyłem go gestem.

Bezpiecznie ukryci w moim pokoju, zamkniętym na klucz i rzęsiście oświetlonym, rozkładaliśmy nasze skarby. To był staż styczniowy. Najpierw lista uczestników, czternastu. Nazwiska nic mi nie mówiły.

Każdy z nich miał swoją kartę, duży grafik, dwie kartki A4 złączone papierową taśmą samoprzylepną, były na nich kolumny, nad którymi widniały jakieś niezrozumiałe skróty: FA, PL, C, IP i tak dalej. W każdej kratce cyfra albo litera. Brak końcowej sumy. Sprytnie wydedukowałem, że dane nie zostały zsumowane, że były zupełnie różne.

Dalej, kilka notatek pisanych ręką Del Rieco. Dowiedziałem się, że niejaki Marceau bredzi, że jakaś pani Montceny miała ściśnięte nogi (?), że pewien Halmer przypomina Kaczora Donalda (??). Tak jak i nas, nieszczęsne ofiary podzielono na trzy grupy. Była to sesja poświęcona hurtowej sprzedaży mięsa, do której aluzje robił Del Rieco, a która tak go rozbawiła. Zaskoczeni epidemią choroby szalonych krów, przedsiębiorcy zareagowali tak, jak potrafili. Jeden zakwestionował wyniki analiz i rozpoczął kampanię podważającą kompetencje naukowców, inny zainicjował dyskusję z władzami państwowymi, by otrzymać odszkodowanie, jeszcze inny zwrócił się do producentów kaczek i gęsi. Pomimo znacznych strat wszyscy trzej przetrwali (pierwszy nie tak dobrze jak pozostali, drugi o wiele lepiej). Nigdy nie ścierali się ze sobą. Może my też powinniśmy byli zawrzeć pakt już na samym początku. Ale w naszym przypadku okazałoby się to bezużyteczne: i tak nikt by go nie respektował.

Notatki nie były uporządkowane. Odtworzyłem tę historię na podstawie licznych skrótów i pospiesznie robionych zapisków.

Ostatnie strony mówiły o nowej serii testów, zapewne tych, które przygotowano dla nas na jutro. I tu znajdowały się tabele, kilka cyfr zostało zakreślonych na czerwono.

I wreszcie ostatnia kartka powtarzała wszystkie nazwiska, a po nich tym razem następowała seria liter. Przy nazwisku Marceau: ACDBA<?>2114BZ. Podobnie przy innych. Chińszczyzna. Nie miałem nawet pewności, czy A lepiej wróży niż D.

Hirsch był tak samo bezradny jak ja. Zmusił się do uśmiechu, wskazał na jedną z rubryk.

- BZ... Może to Bretończyk... Jeśli to samo mają w komputerze, bez sensu gimnastykować umysł. Mamy tajny komunikat, nie znamy kodu, by go rozszyfrować. Gdybyśmy znaleźli naszą grupę, byłoby to samo.

Zastukałem końcem palców w stół.

- To musi być przecież gdzieś zapisane po francusku...

- Albo faksują do Paryża i tam podliczają. Jeśli tak, jesteśmy załatwieni.

W końcu podjąłem decyzję.

- To nic nie zmienia. Nie chcemy poznać szczegółów ich kombinacji, chcemy rozwalić im tę budę. Umiesz popsuć komputer? Najwyraźniej jeszcze nic nie przenieśli na papier...

- Tak, umiem. Ty też umiesz: bierzesz młotek i walisz.

- A może coś bardziej finezyjnego?

- Trzeba sformatować twardy dysk. Cztery razy. Jeśli robisz to jeden raz, można jeszcze odzyskać część danych.

- Czy to może wyglądać jak wypadek przy pracy? Namyslał się.

- Wypadek, nie bardzo... Awaria sektora nie może tego spowodować. Ale jakiś drobny wirus...

Tak, można wprowadzić wirus, który wszystko załatwi, i nikt się nie dowie, kto zainfekował. To się ciągle zdarza, połowa sieci jest zainfekowana. I są takie wirusy, które potrafią sformatować twardy dysk. Nie czterokrotnie, jeden raz, ale to wystarczy, by poczynić poważne szkody.

- Masz to przy sobie? Roześmiał się.

- Nie. Myślisz, że nie rozstaję się z dyskietką z wirusem? Być może trzeba by rozwalić komputer?

- A wykombinowałbyś coś takiego? Rozłożył ręce.

- Po co? Pójdziemy tam, sformatuję dysk w obu komputerach i do widzenia. Kto to zrobił? Ach, to nie ja, ja przecież spałem.. Nie komplikujmy sprawy. Zobaczą, że ktoś popsuł im komputery, ale kto? Jeśli cię spytają, mówisz: ja? Chyba że zaczną walić cię po głowie książką telefoniczną, to już co innego. Uważasz, że to zrobią?

Nie. Nie uważałem. I wcale to na mnie nie zrobiło wrażenia. Widziałem firmy, które uczyły swoich pracowników, jak wytrzymać stałą kontrolę, jaką przyjąć postawę wobec wejścia skarbówki czy przed sędzią śledczym. Ale największa sztuka to spowodować taki zamęt, żeby komisarz zapomniał cię poinformować o twoich prawach, a takie uchybienie proceduralne unieważnia całe postępowanie.

- Dobrze. Tak zrobimy. A da się to zrobić z opóźnieniem, na przykład, żeby włączyło się dopiero jutro?

- Za pomocą wirusa, tak. Ale sformatowanie nie, chyba że stworzy się specjalny program.

- Trudno. Chodźmy.

Idąc na palcach, wymknęliśmy się na dwór. W nocnej ciemności pogoda ciągle się zmieniała - na przemian podmuchy wiatru i krople deszczu. Wisząca pod dachem latarnia była zapalona. Wcześniej nie zwróciłem na nią uwagi. Tym razem miałem wrażenie, że uciekam z obozu jenieckiego i muszę przebiec jakiś dystans w świetle reflektora z budki strażniczej. Ciekawe, jak niektóre szczegóły umykają uwadze, a potem nagle rzucają się w oczy. Latarnia do niczego nie była tu potrzebna: na tę stronę nie wychodziło żadne okno. Może służyła do odpędzania dzikich zwierząt, które zapewne żyły w lesie.

Szedłem wzdłuż linii drzew, Hirsch za mną; wskoczyłem na stopnie przed domkiem. Otworzyłem drzwi i w tej samej chwili zapaliło się światło.

W fotelu Del Rieco siedział Charriac. Na kolanach trzymał strzelbę myśliwską. Pinetti zamknął za nami drzwi i oparł się o nie. Chyba wyglądaliśmy jak uczniaki złapane na włamaniu do gabinetu dyrektora: Charriac wybuchnął śmiechem.

- *Nocni goście...* - zazgrzytał. - Piękny film. Może trochę przestarzały. Możecie okazać zaproszenie marszałkowi dworu? Nie jestem pewien, czy byliście zaproszeni...

Staliśmy nieruchomo jak skamieniali. Zareagowałem pierwszy.

- Charriac, a czego ty tu szukasz?

Kołysał się lekko, tak jakby siedział nie w zwykłym fotelu, lecz w fotelu bujanym.

- To raczej ja powinienem cię zapytać... Tak sobie pomyśleliśmy, że lepiej grać w brydża we cztery. Po to tu przyszedłeś, prawda? No dobra, daj mi te dokumenty, które chowasz pod pachą...

Niedbałym ruchem wycelował we mnie lufę strzelby.

- Odbiło ci czy co? Skąd wzięłeś tę pukawkę? Rzucił krótkie spojrzenie na strzelbę.

- To? W magazynie jest stojak z bronią. Nie, bądź tak miły i nie podchodź bliżej!

Zrobiłem krok i się zatrzymałem.

- Żartujesz? Przecież nie jest nabita... Powiedział wolno:

- Nie byłbym taki pewien... To się nazywa rosyjska ruletka. Nabita czy nienabita? Ja sędzę, że nabita. Chcesz sprawdzić?

- Poczekaj, chyba mnie nie zastrzelisz... Oszalałeś? Dlaczego miałbyś mnie zabić?

Pogardliwie wydał wargi.

- Dla przyjemności? No tak, to byłaby jakaś tam przyjemność. Z powodu tych kart. Źle zrobiłem, że przesłałem ci fałszywe karty, ale ty okazałeś się naprawdę wredny, gdy przekazałeś je Del Rieco. Przyszedł do mnie porozmawiać i był wręcz nieprzyjemny. Można robić, co się żywnie podoba, ale nie wolno bawić się jego fiskami. Nawet dla żartu. To go rzeczywiście zirytowało. Powiedział, że ja jestem równie nie w porządku jak ty. Po prostu jakieś zasady obowiązują. Próbowaleś pociągnąć mnie za sobą na dno, a to świństwo. Na próżno przekonywałem go, że nic takiego nie zrobiłem, że to ty wszystko wymyśliłeś; nie uwierzył mi. Chce nas skonfrontować. Tak jak w filmie gangsterskim. I jeśli do tego dojdzie, to jak cię znam, wygadasz mu całą prawdę. Był pewien, że nic nie masz, a teraz nie jest nawet pewien, czy ja coś mam. Oczywiście, jeśli jesteś w stanie mówić... Uważasz, że to normalne? No więc teraz już wiesz, jak ja to wszystko widzę...

Oparł kolbę strzelby na brzuchu.

- Spokojnie się przechadzaliśmy - mówił dalej żwawo - gdy z tego pomieszczenia dał się słyszeć jakiś hałas. Pomyślałem, że to może włamanie, więc poszedłem do magazynu po strzelbę, dla obrony własnej. I wtedy jakaś postać się na mnie zamachnęła. Miała broń...

Ruchem głowy wskazał tasak, leżący na stole.

- Włamywacz na odludnej wyspie? - zażartował Hirsch, który doszedł już do siebie. - Z tasakiem? Musiało mu odjąć rozum...

Charriac go zlekceważył.

- I wiecie, co to było? Ten nieszczęsny Carceville, całkowicie załamany porażką, po prostu zwariował. To się wydarzyło tak szybko!... Próbował mnie zaatakować, ja strzeliłem na oślep, w ciemność. Rozpatrzenie sprawy. Umorzenie. Dla mnie to głęboka trauma. Któż by się czegoś takiego spodziewał? Miną długie miesiące, zanim się z tego otrząsnę. Nie, nie miesiące, tyle czasu, ile potrzeba do objęcia nowego stanowiska pracy. Jérôme, daj mi te papiery!

Powoli położyłem je na skraju biurka.

- Do niczego ci się nie przydadzą. To nie nasze dossier.

- Wiem. Jeszcze jeden objaw zaburzeń umysłowych. Ten pomylenie Carceville wziął pierwsze z brzegu dossier, a z kuchni ukradł tasak. Potem zaczął wszystkich atakować jak psychole w Ameryce, którym coś odbija i urządzają masakrę w szkołach. Za dużo stresu... Słaby charakter, zbyt silna motywacja, ale przede wszystkim za dużo stresu. Pożałowania godne!

- A Hirsch? Jak to wytłumaczysz?

- Hirsch niewiele może. Już go zamordowałeś. Tasakiem. Kiedy o tym pomyślę... Na szczęście wyszedłem z tego cało!

Po raz pierwszy poczułem niepokój. Mówił tak poważnie. I coraz bardziej wierzył w swój gangsterski scenariusz. Ten typek postradał zmysły. Usiłowałem uchwycić się resztki rozumu, jaka jeszcze mu pozostała.

- Emmanuel, nic z tego. Kiedy chodzi o zabójstwo człowieka, nie wystarczą im zeznania. Robią wtedy analizy balistyczne, szukają odcisków palców. Wszędzie je zostawiłeś. Nawet na tasaku.

- Ależ nie, to odciski Pinettiego, nie moje. Chwycił go odruchowo, gdy chciał przyjść z pomocą Hirschowi.

Ciarki przeszły mi po przedramieniu. Nie ustępowałem:

- A jeśli napiszę oświadczenie, w którym o wszystkim opowiem?

- Och, oświadczenia!... Zawracanie głowy. Każdy może cofnąć swoje słowa...

Powoli podniosłem rękę, uważając, by nie zirytować tego świra.

- Nie warto, Emmanuel. A już na pewno nie po to, by dostać pracę. Z tego powodu się nie zabija.

Poprawił okulary na nosie.

- Oczywiście, że z tego powodu się zabija. Są miejsca, gdzie zabija się dla pięćdziesięciu franków. Dla zegarka. Kurtki. Butów.

A nawet dlatego, że popatrzyłeś komuś w oczy. Naprawdę, niewiele znaczymy...

Jak się zachować w obecności uzbrojonego psychopaty? Kogoś takiego, kto przez cały tydzień mówi o zabijaniu, aż w końcu nie poprzestaje na symbolice, lecz zaczyna działać? Rzeczywiście, wszyscy przeszliśmy na drugą stronę muru. Próbowałem wysuwać kolejne argumenty.

- Są jeszcze inne rozwiązania, Emmanuel. O wiele mniej niebezpieczne.

- Dla ciebie zapewne.

- Nie. Dla ciebie też. Dwa trupy, to już szokuje. Przeprowadzą śledztwo, poważne śledztwo. Podejrzenia. Artykuły w prasie. Rzecz raczej niekorzystna dla twojego CV... Nie widzę, jaki masz interes w tym, żeby mnie zabić.

Zamyślił się.

- Prawdę mówiąc, ja też nie widzę. Tyle krwi... To takie pospolite! Jest o wiele lepsze rozwiązanie. Razem pójdziemy obudzić Del Rieco, a ty mu wytłumaczysz, co robiłeś w jego kwaterze głównej. Może nie straciłeś jeszcze wszystkich szans? To oczywiste, że nie mieli zamiaru proponować ci tak interesującego stanowiska jak to, które przeznaczili dla mnie, ale prawdopodobnie będziesz miał za co utrzymać rodzinę, jeśli twoje dzieci nie są zbyt wymagające...

- A ty też opowiesz mu, co robiłeś w jego fotelu z tą cudaczną strzelbą w rękę?

- Naturalnie. Bronilem jego dóbr, a także porządku społecznego. Usłyszałem hałas i przybiegłem.

Na chwilę spuścił wzrok, ściągnął usta.

- Po zastanowieniu się sądzę, że chyba niewiele zyskam - ciągnął. - Uwierzy mi, ale może mieć jakieś wątpliwości. Chyba jednak lepszy jest mój pierwszy pomysł.

Zrobiłem krok do tyłu, oparłem się o szafę.

- Emmanuel, wpadłeś w niezłe bagno. Nie zgładzisz dwóch osób tylko dlatego, że fizycznie byłbyś do tego zdolny. Przerywamy zabawę, wracamy do domu i zapominamy o sprawie. Wszystkie inne scenariusze są chybione.

Westchnął.

- Tak, ale ja nie wiem, co wyście tu przed chwilą wykombinowali na tych komputerach... Nie ma tu ze mną Delvala, a nasz drogi Hirsch może wmówić mi nie wiadomo jakie głupoty, a ja i tak tego nie sprawdzę. Powrócić do sytuacji sprzed twojej tu wizyty, zgoda. Tylko że tak się nie da. Coś porobiliście, ja właściwie nie wiem co i bardzo mi się to nie podoba...

- Nic nie zrobiliśmy, nie mogliśmy wejść do tych programów - powiedział Hirsch. - Są chronione.

- Mów do mnie jeszcze! Nos ci się wydłuża! Nie przyszliście tylko po to, żeby zabrać przedawnione dokumenty.

- Masz moje słowo - odparł Hirsch. Charriac się zdenerwował.

- Twoje słowo, wypchaj się! Tu trwa wojna domowa. Dajesz słowo, a jak tylko facet się odwraca, strzelasz mu w plecy.

- No to już nie wiem, jak z tego wybrnąć - wtrąciłem się. Charriac lekko przesunął strzelbę.

- Kiedy ktoś mówi, że nie ma wyjścia, to po prostu znaczy, że nie chce wyjścia. Zawsze jest jakieś rozwiązanie. Albo kilka. Mniej lub bardziej nieprzyjemnych. Aaa, chyba je znalazłem.. Pinetti, weźmiesz te papiery i zaniesiesz do pokoju Carceville'a. Schowasz, ale nie za głęboko. Potem tu wrócisz.

Z ulgą stwierdziłem, że pewnie zrezygnował ze swojego zamiaru zabijania.

- Cóż to, jakiś plan?

- Nie, nic takiego. Oglądasz za dużo filmów. Na końcu ten niedobry wyjaśnia, co ma zamiar zrobić, a dobry ucieka i wszystko mu psuje. Tyle że ten dobry to ja. Otóż nie mam nic do wyjaśnienia. Zatrzymujemy zegar, przewijamy taśmę i wracamy do sytuacji sprzed pół godziny: siedzisz w swoim pokoju z dossier, które wykradłeś, i nic się nie wydarzyło.

Oczywiście zaraz pójdzie powiadomić o tym Del Rieco, a ja będę musiał wytłumaczyć, skąd wzięły się dokumenty w moim pokoju. Ani przez chwilę nikt nie uwierzy w tę nedorzeczną historię ze strzelbą i całą ukartowaną intrygę. Charriac miał rację: nic się nie wydarzy. Z wyjątkiem ujawnienia oszukańczych manewrów, za które natychmiast z hukiem wylecę, a potem zostanę ukrzyżowany na wieczność na czarnej liście.

Tego należało uniknąć. Powinienem sprowokować Charriaca do mówienia, aż się zmęczy. Ten gość uwielbiał słuchać siebie samego, wdzięczyc się do lustra. Był pewien, że kontroluje sytuację, więc teraz będzie się mógł nią delectować. W tym widziałem moją szansę.

- Jak się do tego zabierzesz? - spytałem.

Zrobił zmartwioną minę. Ale silniejsze było u niego pragnienie puszenia się, więc ustąpił, zaprzeczając temu, co mówił kilka sekund wcześniej - to było o wiele sensowniejsze.

- Jérôme... zawiodłem się na tobie, przecież możesz sobie to wyobrazić. Pinetti pójdzie ukryć dossier, my trzej zostaniemy tutaj. Potem zadzwonię do Del Rieco i powiem mu prawdę: że wróciłeś tu po dokumenty, ale przedtem na pewno ukradłeś już inne. Aha, znalazłem listę jutrzejszych testów. Czy raczej ty ją znalazłeś, a ja cię na tym przyłapałem. Jest tutaj, na stole.

Końcem lufy wskazał pomarańczową okładkę i mówił dalej:

- To zabawne. Po tych wszystkich farsach chcieliby, żebyśmy jeszcze zagrali w madżonga. Bóg wie dlaczego. Moim zdaniem bardziej stosowne byłyby szachy. Facet, który gra w szachy, nie może być tak całkiem nieudolny: przynajmniej wie, że trzeba uprzedzać ruchy przeciwnika, a zwłaszcza zawsze go doceniać. Czy wiesz, że mistrzowie przerywają grę, kiedy widzą, że przeciwnik może wykonać ruch, którym wygra, choć nie jest w stanie tego dostrzec i przygotowuje się do zupełnie innego posunięcia? Wielka sprawa. Dać na kredyt przeciwnikowi swoją własną inteligencję. Godne podziwu.

Znowu poniosło go jego zamiłowanie do dygresji, znowu zaczęła się saczyć ta jego werbalna biegunka. Czekałem na chwilę, gdy niepostrzeżenie rozluźnią się mięśnie jego ręki. Staralem się jeszcze bardziej odwracać jego uwagę:

- Emmanuel, to nie jest gra w szachy. Trzymasz w ręku strzelbę. Przekroczyłeś pewien próg, to zupełnie coś innego.

- Ejże! Dokładnie to samo. Czy zabijasz faceta wezwaniem sądowym, artykułami prasowymi, czy

bronią kaliber 7,65, to dokładnie jedno i to samo. Różnica jest tylko taka, że zabije się sam, co pozwoli ci oszczędzić koszt jednej kulki. Bieregowoja zastrzelili jak zająca, tak samo Nixona. Nawet nie musieli nikomu płacić za to, że zabije, tak jak w przypadku Kennedy'ego. To już duży postęp.

Nie przestawałem obserwować wyrazu jego oczu, gdy wydarzenia nagle przyspieszyły bieg - i wszystko już popadło w szaleństwo. W chwili gdy Pinetti, zapewne znużony wysłuchiowaniem dywagacji swojego szefa, postanowił wyjść, Hirsch się na niego rzucił.

Powstało okropne zamieszanie. Szarpiąc się na wszystkie strony, wypełnili sobą niemal całe niewielkie pomieszczenie, po czym w jakimś dzikim wirze razem wypadli przez otwarte drzwi. Charriac skoczył na równe nogi. Wymierzyłem mu silnego kopniaka tuż pod kolano, zgiął się z bólu, zapominając o strzelbie. Chwyciłem ją za lufę. Gwałtownie się wyprostował, wykręcił broń i tak mocno zdzielił mnie kolbą w klatkę piersiową, że usiadłem na podłodze. Dostałem drugi cios w prawą kość policzkową, czerwona fala na krótko przesłoniła mi oczy. Podniosłem się, miałem zraniony policzek, czułem, jak błyskawica przeszywa mi klatkę piersiową, i skrzywiłem się z bólu. Chyba miałem pęknięte żebro - albo kilka.

Charriac był już na zewnątrz, podskakiwał na jednej nodze. Powlokłem się do drzwi. Zszedł po schodach, celował z broni. Nieco dalej, tuż przy linii świerkowego lasu, Hirsch i Pinetti tarzali się na ziemi, usiłując się nawzajem udusić.

- Przestańcie! - krzyczał Charriac. - Przestańcie albo będę strzelać!

Dalej się szamotali, no to wystrzelili. A więc strzelba była nabita. Huk długo niósł się echem po zawalonym skrzyniami podwórku.

Przez ćwierć sekundy stałem jak wryty. Zrobił to. Szaleniec ruszył do ataku. Hirsch i Pinetti swoją walką wyzwolili furie, którą z trudem powstrzymywał od samego początku.

Charriac postąpił krok do przodu; usiłował dostrzec, co się dzieje pod drzewami.

Nie czekałem dłużej; trochę biegnąc, trochę utykając, zbliżyłem się do niego i przystanąłem za jego plecami; łokciem ochraniałem uderzoną pierś. Po chwili ruszyłem w ciemność za magazynem, na lewo od domku.

Tam przykucnąłem, jęcząc z bólu. Policzek mi krwawił, każdy oddech wyciskał łzy.

W mroku nikt się już nie ruszał. Charriac zniknął. W głębi podwórka, przysłonięte drzewami, leżało ludzkie ciało. To zapewne Hirsch.

Torturował mnie ból piersi i twarzy. Byłem oszołomiony. Wszystkie bariery, starannie wznoszone poprzez długą edukację, lecz podlegające stopniowej erozji z powodu nękających nas napięć, nagle popękały; ci opanowani, rozsądni mężczyźni przemienili się w łobuziaków, naporzających się w błocie na szkolnym boisku. W koguty uzbrojone w strzelby. Mnie też ogarniały najbardziej prymitywne uczucia, takie, które przez całe życie starałem się w sobie zwalczać: strach, nienawiść, pragnienie zemsty, chęć zabijania. Kiedy nas dopadają, czujemy się równie bezsilni jak wobec fali zalewającej molo. Tak jak owa fala dobywają się z największej głębi; tak jak i jej, nic nie jest w stanie ich powstrzymać.

Cofnąłem się parę metrów, usiłowałem przebić wzrokiem ciemności magazynu. Siedziałem w wąskim korytarzu, pomiędzy jakąś maszyną rolniczą a półką pełną baniek z olejem. Nieco dalej rząd snopków siana zasłaniał ścianę. Podczołgałem się tam. Chciałem się jakoś schować, a nie miałem siły wstać.

Kiedy wreszcie zdołałem oprzeć rozogniony policzek o słomę, usłyszałem szept:

- Jerôme?

Aż podskoczyłem. To był głos Hirscha. Po chwili przykucnął obok mnie.

- W porządku?

- Trochę dostałem, ale można wytrzymać. Nie postrzelił cię?

- Nie. Ten świr strzelał na oślep i trochę nafaszerował Pinettiego. Jest załatwiony. Gdzie stojak?

- Co?

Potrząsnął mną, wywołując zduszony jęk bólu.

- Stojak! Powiedział, że wziął spluwę ze stojaka w magazynie. Na pewno są tam jeszcze inne.

- Chwileczkę, przecież nie będziemy...

- Owszem, będziemy! On ma strzelbę i z niej strzela! Nie ma już nic do stracenia! Musimy ratować własną skórę, Jérôme! Naszą skórę!

Zostawił mnie i poszedł przeszukać magazyn. Zrobiłem parę ostrożnych ruchów, jak człowiek chory, i w końcu udało mi się podnieść. Zaczynałem oswajać się z bólem. Nie tylko do niego miałem się przyzwyczaić. Bardzo powoli postąpiłem dwa kroki, obrzuciłem spojrzeniem ciągle puste podwórko. W hotelu natomiast powstał zamęt. Wystrzał obudził chyba kilku naszych wspaniałych kolegów.

Daleko za mną Hirsch wydał triumfalny okrzyk:

- Tam! Są jeszcze dwie! Trzymaj... Wetknął mi w rękę karabin z celownikiem.

- A i naboje. Cholera, całkowita samoobsługa!

Niesłychane, robił wrażenie, jakby go to bardzo bawiło. Z jego dolnej wargi ciekła strużka krwi, z miejsca, gdzie zranił go Pinetti. Próbowałem go uspokoić.

- Poczekaj, to przecież szaleństwo! Wyjdźmy stąd i wszystko sobie wyjaśnijmy!

Kłęczał obok mnie, trzymał pod pachą strzelbę podobną do broni Charriaca i obserwował skraj lasu.

- Nie. On ciągle tam jest. Czeka na nas. Chce nas wykończyć, nie ma innego wyjścia.

- Moglibyśmy...

- Nie moglibyśmy - przerwał. - Pinetti dostał kulkę w pierś, chyba nie wygląda najlepiej. Krew na mojej koszuli nie jest moja!

Po raz pierwszy wypadki mnie przerosły. Charriac dostał pomieszania zmysłów, Hirsch nie był więcej wart. Wyraźnie czerpał przyjemność z zabawy w wojnę.

- Zobaczysz - szepnął.

Szybkim ruchem chwycił bańkę z olejem i rzucił ją na podwórko. Kolejny strzał i trochę kurzu wleciało w pewnej odległości od bańki.

- Strzela jak noga, ale nie możemy ryzykować.

Minęło kilka minut. Dostrzegłem dwa cienie przebiegające niewielką przestrzeń między hotelem a lasem. Dziwne, wiatr i deszcz jednocześnie ustały, jakby zaskoczone tym, co się dzieje.

Nagle rozległ się głos, silny, władczy:

- Jérôme! Niech pan się podda! Nie warto!

Del Rieco. Wymieniliśmy z Hirschem bezradne spojrzenia. Nie mieliśmy czasu na komentarze. Del Rieco krzyczał:

- Wychodźcie z magazynu z uniesionymi rękami! Zostając tam, nic nie zyskacie!

Hirsch zwinął dłonie w trąbkę. Pod palcami jego grdyka rysowała się wyjątkowo wyraźnie.

- Gdzie jest Charriac?

- Tutaj. Z nami. Wszystko w porządku. Wychodźcie. Hirsch rzucił drugą bańkę oleju. Tym razem

nikt nie strzelił. Wierzchem ręki otarł krew płynącą z wargi.

- Co robimy?

Ciągle się wahałem, gdy nagle Del Rieco, ukryty między drzewami, uznał za stosowne wykrzyknąć ostatni argument:

- Pinetti żyje! Tylko go zraniliście!

Hirsch cofnął się i kręcąc głową jak zmęczony koń, szepnął mi do ucha:

- Jak to: wy zraniliście? Przecież to Charriac go zranił, nie my! Pomiedzy dwoma grymasami bólu wyjaśniłem:

- Tak. Ale to Charriac mu opowiedział, co się wydarzyło. Pech, co? On był w magazynie, a my w lesie z tamtymi...

- Poczekaj, przecież są świadkowie, ty, Pinetti, jeśli przeżyje...

- No właśnie. Nie chciałbym być na miejscu mojego ubezpieczyciela... Powinniśmy nastawić się na raczej krótkie życie...

Uśmiechnął się na ten żart. Ja nie mogłem: ostry ból kości policzkowej promieniował aż do brody jak przeszywający ból zębów. Od dawna - od czasów sportowej młodości - nie byłem bity; zapomniałem, jak to boli. Niewykluczone, że jedna z kości twarzy została złamana.

*No man's land**[* *No man's land* (ang.) - (dosł. ziemia niczyja) terytorium neutralne (przyp. tłum.)] podwórka był tak mały, że obozy mogły porozumiewać się ze sobą. Wystarczyło krzyknąć prosto w mur; słowa rykoszetem docierały do adresata.

Po upływie dziesięciu minut sytuacja niewiele się zmieniła: wy-chodźcie-nie-idziecie-nie... Sądząc po tonie głosu, Del Rieco zaczynał tracić cierpliwość. Otaczało go chyba ze dwunastu ludzi: las szumiał podnieconymi szeptami. Muzyczny finał z udziałem całej trupy.

- No dobrze, dość już tego - szepnął Hirsch. - Nie będziemy tak sterczeć całą noc... Idę, wszystko sobie wyjaśnimy...

- Nie bądź głupi!

Nie posłuchał; krzyknął, zwijając dłonie w trąbkę:

- Wychodzę! Bez broni!

Wydało mi się to wielką nieostrożnością. Del Rieco był prawdopodobnie człowiekiem zrównoważonym i inteligentnym, chwilowo tylko zwiedzionym przez łajdaka, więc istniała może jakaś szansa negocjacji. Miał jednak u boku psychopatę, ogarniętego morderczymi zapędami, co zawsze stwarza pewne niebezpieczeństwo.

Chciałem zrobić ruch, by zatrzymać Hirscha, ale natychmiast zwinąłem się z bólu. Powiniennem być bardziej przewidujący. Hirsch postawił strzelbę na ziemi. Powoli wyciągnąłem się płasko na brzuchu w klasycznej pozycji leżącego strzelca, niepotrzebnie przygotowując się do krycia go.

Zdecydowanym krokiem Hirsch wyszedł na środek podwórka jak Gary Cooper w ostatniej scenie westernu. W pół drogi odwrócił się, jakby chciał powiedzieć: widzisz? Nie ma żadnego ryzyka.

I właśnie w tej chwili trafiła go kula. Z przerażeniem ujrzałem, jak z brzucha trysnęła mu krew; padł na ziemię. Huk dotarł do moich uszu dopiero pół sekundy później. Zastrzelili go jak zająca.

Przerażony, usłyszałem kobiece krzyki, a potem grzmiący głos Del Rieco:

- Charriac, oszalałeś?!

Padł drugi strzał, rozległ się tupot jeleni, rozpaczliwie uciekających w zarośla, odgłosy szaleńczej kawalkady pod drzewami i w końcu, po chwili ciszy, szloch, jeden szloch. Hirsch, leżąc twarzą do ziemi, ruszył ręką, po czym znieruchomiał.

Pulsowały mi żyły na skroniach, usiłowałem zebrać myśli. Charriac zabił Hirscha albo, w najlepszym razie, ciężko go zranił. Potem prawdopodobnie wybuchła kłótnia. Może strzelił też do Del Rieco, a może broń wystrzeliła sama, kiedy ją sobie wrywali. W każdym razie Del Rieco i tamci wiedzieli już, że błąd nie leżał po jednej stronie. Jeśli pozostał jeszcze ktoś żywy. Prawdziwa jatka. Poczułem to, czego doznaje się na widok nawałnicy, która nagle pustoszy odwieczny las: strach połączony z niedowierzaniem.

Oczywiście Charriac mógł jeszcze wykombinować jakieś mętne tłumaczenie: myślał, że Hirsch odwraca się, by wyjąć broń, czy coś w rodzaju takich gangsterskich głupot. Ale i tak jego sytuacja bardzo się pogorszyła.

Prawdę mówiąc, moja nie była o wiele lepsza. Tak czy inaczej, czekał na mnie. A ja, jak szczur, siedziałem zaklinowany w mojej norze. Gdybym spróbował przejść oświetlony plac, nie miałbym najmniejszej szansy.

Oświetlony... zaraz, zaraz. Zastanowiłem się i... Spokojnie, z okiem przy celowniku, skierowałem broń na latarenkę. Strzeliłem. Z odległości piętnastu metrów nie było trudno trafić. Udało mi się za pierwszym razem. Ktoś w lesie - zapewne Charriac - wydał wściekły okrzyk i jeszcze jedna kulka utkwiała w murze, na lewo od mojej głowy, dość daleko. Podwórko pogrążyło się w nieprzeniknionych ciemnościach.

Podniosłem strzelbę nieszczęsnego Hirscha, przykucnąłem, powoli policzyłem do dziesięciu i ruszyłem przed siebie.

Charriac wystrzelił w kierunku, z którego doszedł hałas, ale mnie już tam nie było. Przez parę chwil, dziwna rzecz, moje nerwy stłumiły uczucie bólu, tym samym umożliwiły mi dotarcie biegiem do domku, a stamtąd jednym susem w zarośla. Usiadłem na ziemi, trzymając w ręku obie strzelby. Zgiąłem się wpół: złamane żebra wyrównały rachunek. Oddychałem z trudem, ze wszystkich sił starałem się nie poruszać. Charriac ciągle tu gdzieś był, niósł śmierć.

Po dłuższym czasie usłyszałem szmery w leśnym gąszczu, z mojej prawej strony. Minutę później nikła wiązka światła latarki przebiła ciemności. Znowu się rozpadało; ciężkie krople, powolne i uroczyste, trochę mnie ochłodziły. Latarka zgasła, potem znów się zapaliła, tak jakby przekazywała sygnał alfabetem Morse'a. I może rzeczywiście - ale nigdy nie byłem harcerzem. Najprawdopodobniej spodziewali się, że strzelę, wtedy mogliby zlokalizować miejsce, z którego padł strzał. Nie ruszałem się. Zaczynałem zachowywać się jak komandos w akcji: zawodowiec, chociaż to nie jest jego wyuczona specjalność.

Siedziałem cicho, więc pewnie pomyśleli, że uciekłem do lasu. To musiało ich rozsierdzić. Nie mogli wiedzieć, że jestem ranny, nie brałem udziału w strzelaninie, więc jestem cały i zdrowy.

Latarkę miał w ręku Delval. Charriac posuwał się kilka kroków za nim. Z mojej kryjówki doskonale ich widziałem i słyszałem.

Delval omiół światłem magazyn.

- Nie ma go tu...

- To jasne, że go tu nie ma - zazgrzytał Charriac. - Popatrz na stojak, na strzelby...

- Pusty!

Charriac szeptem zaklął. Kiedy Delval się odwrócił i go oświetlił, zobaczyłem, że i on powłóczy nogą. Nikogo z nas nie przygotowano do użycia przemocy fizycznej, najślabszy cios pozostawiał ślady. To jedna z luk w kwestionariuszach.

Nie bardzo rozumiałem, co w tym wszystkim robi Delval. Nie był świadkiem - jak Pinetti - splotu

okoliczności, które doprowadziły do tej sytuacji, a nie wydawał się przestraszony ani obrotem sprawy, ani niepokojącym stanem umysłu Charriaca. Charriac prawdopodobnie opowiedział mu jakąś bajeczkę, w której grałem rolę Sinobrodego. Delval pewnie myślał, że to ja popadłem w obłąd. Mało pocieszające: nikt nie jest bardziej zacierzwiony niż człowiek szczery.

W czasie gdy Delval i Charriac przeszukiwali magazyn, postanowiłem zrobić okrażenie, a to idąc, a to czołgając się. Klatka piersiowa już tak nie bolała - policzek bardziej, ale to nie przeszkadzało w posuwaniu się do przodu.

Gdy dotarłem do celu, z gorzką ironią stwierdziłem, że zamieniliśmy się pozycjami: Charriac i Delval byli teraz w magazynie, ja - po drugiej stronie, na skraju lasu. Kiedy Delval zapalił latarkę, nie mogłem się powstrzymać od splątania mu figla: strzeliłem ponad jego głowę. Nie miałem najmniejszego zamiaru zranić tego dzielnego młodzieńca. Rzucił latarkę i się schował. Usłyszałem okrzyk bólu: zapewne wpadł na traktor i nabił sobie niezłego guza. Co za głupota, przez to na pewno nie przeciągnę go na moją stronę. Ale już miałem za sobą etap, gdy rozważa się konsekwencje swoich poczynań. Charriac zaklął.

Czekało mnie dziesięć minut spokoju, przez ten czas będą się zastanawiać, czy ciągle ich śledzę. Leżąc na ziemi zapalona latarka oświetlała znieruchomiłe ciało Hirscha. Na ten widok ścisnęło mi się serce.

Jak tylko mogłem najszybciej, pokuśtykałem w stronę alejki prowadzącej do hotelu. Rzut oka na pomost - i? Łodzi nie było. Albo chowali ją na noc, albo ktoś popłynął zawiadomić odpowiednie władze, przewieźć rannego, a może uciekł ze strachu - nieważne dlaczego. Na pewno Del Rieco. Uciekał z zawrotną szybkością, pod pierwszym lepszym pretekstem, chroniąc swoją cenną osobę przed masakrą.

Nie miałem odwrotu; skradając się jak kot, szedłem w kierunku hotelu. Coraz bardziej ulewny deszcz siekł po twarzy. Gdzieś nad górami zagrzmiało, niebo zasnuło się bladą poświatą.

Przy wejściu do hotelu było spokojnie, tak jak pierwszego dnia. Odważyłem się zajrzeć do pustego, cichego wnętrza, po czym wśliznąłem się do holu. Bar tonął w ciemnościach. Słaba lampka oświetlała pierwsze stopnie schodów. Cicho poszedłem do jadalni.

Była tam Laurence, pochylona nad ciałem Pinettiego. Podniosła głowę, wybałuszyła oczy i zrobiła taki gest, jakby się bała. Uniosłem lufę karabinu.

- Ćśś... Laurence...

Cofnęła się, omal nie tracąc równowagi, i się wyprostowała. Patrzyła na mnie w milczeniu. W jej oczach były niedowierzanie, strach, ale także - tak, bez wątpienia - ciekawość.

- Nic pani nie grozi - szepnąłem. - Pani nie jest moim wrogiem.

Świeciły się tylko dwa kinkiety, na obu końcach sali. W takim przyćmionym świetle ledwo widziałem jej rysy jak w romantycznej restauracji. Nie spuszczałem jednak wzroku z jej twarzy. Jeszcze nie wiedziałem, czy ta kobieta może stanowić jakieś zagrożenie.

Wskazałem palcem leżące ciało, przykryte kocem w szkocką kratę.

- Pinetti jest...

- Nie. Kula utkwiała w barku. Ale trzeba go jak najszybciej zawieźć do szpitala, traci dużo krwi.

- Trafili Hirscha...

- Wiem. Widziałam go. Charriac powiedział, że sięgnął po broń. Dlaczego pan to zrobił?

Nagle poczułem się bardzo znużony. Położyłem obie strzelby na stole i ciężko usiadłem.

- Laurence, ja nic nie zrobiłem... Za dużo by mówić... Nigdy tego nie chciałem.

- Ale stało się - ucięła. - Pan jest ranny? Delikatnie pomacałem policzek.

- Tak, chyba tak. Kość policzkowa. Wydaje mi się, że jest złamana. Dostałem też w żebra.

- Gdzie Charriac?

- Nie wiem. Może jeszcze w magazynie.

Trudno mi było mówić, każdy ruch szczęki rozdzierał bólem prawą stronę twarzy. Byłem oszczędny w słowach.

- To szaleństwo. Oblęd. Przypadki psychiatryczne. Co was ogarnęło, że chcecie się pozabijać? - spytała Laurence.

- To było zaprogramowane od początku - odparłem. - Gdy nie chcemy przegrywać, tak właśnie się dzieje. A żaden z nas nie mógł sobie pozwolić na przegraną.

- Ale przecież są jakieś granice. Ja się nie posunęłam do czegoś takiego...

- Nie. Już nie ma. Przekona się pani: od prawie dziesięciu lat nie ma żadnej granicy. Och, niech mi pani nie każe mówić...

- Proszę pokazać...

Jęknąłem z bólu, kiedy macała mi klatkę piersiową. Postawiła diagnozę:

- Złamane trzy żebra. A jedno lub dwa pęknięte. Chrząstka międzyżebrowa też w kiepskim stanie.

- Pani jest lekarzem?

- Byłam pielęgniarką, dawno temu - odpowiedziała, dotykając mojej twarzy.

Tym razem aż zakwiczałem.

- Aua... Nie wiem, czy kość jest złamana... Ale jest za to krwiak, i to jaki... Kiedy będą panu robić zdjęcie, w celu ustalenia tożsamości, niech pan się stara pokazywać lewy profil. Prawy do niczego już nie jest podobny.

Ustalenie tożsamości... Nawet o tym nie pomyślałem. Na tej wyspie smaganej wiatrem wszelkie instytucje wydawały się czymś abstrakcyjnym. Wziąłem się w garść.

- Gdzie jest Del Rieco? Zrobiła niejasny gest.

- Nie mam pojęcia. Chciał pójść do swojego małego domku, ale bał się do niego zbliżyć. Tam chyba rozpętała się wojna domowa...

- Och, nie jest gorzej niż w sobotę wieczorem na przedmieściu...

Starąłem się mówić półgębkiem, nie poruszając brodą. Nawet nieźle mi szło, gdy mówiłem powoli. Może powinienem pomyśleć o karierze brzuchomówcy.

Zdawało mi się, że usłyszałem jakiś hałas, na zewnątrz. Charriac ciągle tam krążył. Przez chwilę o nim zapomniałem.

Wstałem, wziąłem strzelby. Byłem okropnie zmęczony. Ale już to przeżyłem: kiedy rusza jakaś sprawa i trzeba ją zakończyć w wyznaczonym czasie, przekracza się stadium całkowitego wyczerpania, gdy wiadomo, że za wszelką cenę trzeba ją doprowadzić do końca. W oczach Laurence znowu pojawił się strach.

- Co pan jeszcze chce zrobić?

- Zakończyć moje porachunki z Charriakiem. A co pani myśli, że zasnę z głową na pani piersi?

Uśmiechnęła się blado. Wiedziała, że miałbym ochotę usiąść i ze wszystkiego zrezygnować, zamienić tę nawałnicę i rozlew krwi na odrobinę czułości.

- I lepiej by pan zrobił... Gdyby pan skończył z tymi głupotami...

Nie miałem prawa. Nie mogłem po raz kolejny być przegranym, tym, kto się poddaje i akceptuje. Już nie. Nieśmiało wyciągnąłem rękę i pogłaskałem ją po szyi.

- Laurence, nie mogę. To sprawa między nim a mną. Del Rieco zadekował się w mysiej dziurze, nie mamy już arbitra.

- Cała jego ekipa jest razem z nim. Myślą, że pan jest psychopatycznym potworem z filmu grozy. Oni tworzą blok.

- Nie zostało ich wielu.

Położyła dłoń na mojej ręce niemal z czułością.

- Jerôme, niech pan skończy już z tym wszystkim, proszę. Chodźmy do lasu, tam poczekamy na policję. Jeśli pan chce, pojedę z panem. I tak nic nie mogę zrobić dla Pinettego.

Chciałem pokręcić głową, ale w ostatniej chwili się opamiętałem.

- Laurence, przez dwadzieścia lat mówiłem tak, amen i byłem posłuszny. Oni podcięli mi skrzydła, ale teraz je odzyskałem. Niech mi pani pozwoli być mężczyzną jeszcze przez godzinę, dwie.

- To nie jest najlepszy sposób bycia mężczyzną - zaprotestowała. - Nie trzeba po to zabijać ludzi. Od czasów Johna Wayne'a zrobiliśmy spore postępy... Cywilizacja, Jerôme, cywilizacja! Istnieją prawa, sądy, policja! Nie tylko kowboje i Indianie.

Ona na pewno nigdy nie zrozumie, czym jest świat, czym stał się świat. Czym nigdy nie przestał być pod płaszczykiem konwenansów, „drogi przyjacielu”, odwołania sądowe, uwierzytelnione umowy: pomiędzy małpami człekokształtnymi toczy się walka o dominację. Odpuściłem. Nie miałem ani czasu, ani siły jej tego tłumaczyć.

- Gdzie jest Mastroni? - spytałem.

Rozłożyła bezradnie ręce. Dwie łzy zalsniły na koniuszkach rzęs. Usłyszeliśmy jakiś szmer przy wejściu. Ktoś się zbliżał. Dałem Laurence znak, żeby schowała się pod stół, sam zacząłem się przy ścianie, z karabinem wycelowanym w drzwi.

Kroki zatrzymały się przy drzwiach. Po chwili się oddaliły. To mógł być każdy. Ale nie Charriac: on na pewno by wszedł.

Rozluźniłem się i odsunąłem od ściany. W tym momencie drzwi gwałtownie się otworzyły, uderzając o ścianę tuż obok mnie, a na wysokości mojego brzucha wyłoniła się postać mężczyzny. Prawdopodobnie cicho wrócił i przygotował się do tego skoku. Byłem gotów wystrzelić, lecz zaplątałem się w strzelby, które skrzyżowały się akurat na moim pępku. Stanowczo nie nadawałem się na komandosa.

W czasie gdy unosiłem broń, przybysz kończył swój ślizg, waląc głową w nogę od stołu; podniósł się, masując owłosioną skórę, z komiczną miną pełnego niesmaku zaskoczenia. To był Mastroni.

Usiadł ciężko, ciągle rozcierając sobie głowę.

- To ty? - rzucił. - Jakoś z tego wybrnąłeś?

- Ja, tak. Ale Hirsch nie.

- Wiem. Byłem tam. Kiedy strzelił do Hirscha, rzuciłem się na niego, ale za późno. Omal nie dostałem kulki. Myślę, że Del Rieco też został trafiony. Dziwne, stał za nami, a uciekał, trzymając się za ramię. Może dostał rykoszetem...

No, teraz nareszcie wyjaśniła mi się sprawa drugiego wystrzału. Spytałem:

- Gdzie on jest?

- Del Rieco? Nie mam pojęcia.

- Nie, Charriac...

- Też nie wiem. Szuka nas. Masz jakiś plan?

Nie. Po raz pierwszy nie miałem planu. Chyba tylko przecć do przodu, strzelając do wszystkiego,

co wystaje. Podałem Mastroniemu strzelbę, dla siebie zachowałem karabin z celownikiem. Wziął ją, pogłaskał podwójną lufę, przymierzył do oka. Patrzyłem ze zdziwieniem: wyglądał, jakby z wprawą posługiwał się bronią.

- Teraz to rozumiem - stwierdził. - Czułem się trochę jak na golasa. Co się właściwie stało? Tak nagle sfiksował?

- Powiedzmy, że sprawy przybrały zły obrót. Przeszliśmy do wyższej fazy. Bardziej bezpośrednia konfrontacja... Bardziej szczerza...

- Tak - powiedział powoli. - Można i tak na to patrzeć... W pewnej chwili straciliście kontrolę? Wiesz, kiedy wjedziesz na oblodzenie, nagle zbaczasz z drogi i jeśli nie masz wprawy, za wolno reagujesz... skręcasz w odwrotną stronę. Potem nie możesz już wyjść z poślizgu i walisz w mur. Nie jest tak?

Nie miałem ani czasu, ani ochoty dyskutować na temat techniki kierowania samochodem. Milczałem. Pokiwał głową zamyślony i mówił dalej:

- Być może już na samym początku nastąpił taki poślizg. Może po prostu jechaliśmy za szybko po oblodzonej drodze. Ale co się stało, to się nie odstanie. Co teraz zrobimy?

- To, co robią wszyscy, którzy zostali zaatakowani: będziemy się bronić. Widzisz jakieś inne wyjście?

Laurence stanęła między nami, przestraszona.

- Słuchajcie, może byście przestali? Myślicie, że oni zwariowali i chcą was zabić, a oni myślą, że to wy zwariowaliście i chcecie ich zabić... Chyba da się jakoś porozmawiać?

- Wszystkie wojny tak się zaczynały, moja droga - tłumaczył Mastroni ojcowiskim tonem. - Kiedy dochodzi do przelewu krwi, jest już za późno na wycofanie się. Nie mamy już zaufania, rozumie pani?

Powstrzymałem uśmiech. Rzeczywiście, nie mamy już zaufania. Prawdę mówiąc, nigdy nie mieliśmy zaufania.

Obecność Mastroniego, solidna i uspokajająca, dodawała mi otuchy. Co dziwne, rany już mi tak nie doskwierały.

Laurence uczyniła ostatnią próbę:

- Zostańcie tutaj. Zabarykadujcie się i poczekajmy do rana. W końcu ktoś zawiadomi policję.

Trzy lub cztery razy przełknąłem ślinę. Przy takiej pogodzie na pewno się przeziębnię, na domiar złego.

- Och, policja... Zaczną strzelać na oślep. A za nimi stoi wymiar sprawiedliwości - powiedziałem powoli. - Ja jestem jak większość Francuzów: nie mam najmniejszego zaufania do wymiaru sprawiedliwości w moim kraju. Nie, najpierw wszystko wyczyszcze, a potem będzie tylko jedna wersja: moja. Charriac wpadł na ten sam pomysł. Kule, które dosięgły Pinettiego i Hirscha, pochodzą z jego broni. Nie może zostawić mnie przy życiu. Musi zamknąć mi gębę. Ma tylko ten jeden cel. To człowiek logicznie myślący. A więc przewidywalny.

- Albo też - zawołała Laurence, coraz bardziej ożywiona - wsiadamy do łodzi i płyniemy na drugą stronę, tam będziemy bezpieczni!

- Nie ma już łodzi. Odpłynęła.

- A poza tym - kwiliła - nie wiem, czego wy się tak boicie! Są przecież świadkowie: pan, Mastroni, ja, Del Rieco... Charriac nie może pozabijać nas wszystkich!

- Sprzątnął już dwóch, mało brakuje. Nie mogę pozwolić, by Charriac otumaniał sędziego. Jest

jurystą, i to dobrym. A co potem? Mamy zakopać się w potwornie długi proces, zafundować sobie dwa lata tymczasowego aresztu, podczas gdy Charriac i jego adwokaci rozbiorą na czynniki pierwsze kodeks postępowania karnego i wyprowadzą sędziów w pole? A my skończymy w pudle, w najlepszym razie na pięć lat, w tym trzy z zawieszeniem? I w końcu będziemy szukać pracy, całkiem spaleni? Wolne żarty! Del Rieco dał nogę, popłynął zawiadomić policję, trybunał handlowy, komisję kontroli giełdy i może jeszcze Światową Organizację Handlu. Myślicie, że Charriac się przestraszy? A zresztą, to już nie nasz problem. Teraz chodzi o naszą skórę.

Dość już powiedziałem. Odwróciłem się do Mastroniego i dokończyłem z rozmysłem:

- Musimy mieć na oku hol hotelowy. Nie jestem za mocny w strategii, ale jeśli utrzymamy tę pozycję, dobra nasza. Stąd można obserwować jednocześnie piętra i to, co się dzieje na dworze. Jeden z nas...

Laurence złapała mnie za rękaw w ostatniej, milczącej próbie prześlągnięcia. Delikatnie ją odsunąłem i mówiłem dalej:

- Jeden z nas zajmie stanowisko i nikogo nie przeoczy. Drugi obserwuje piętra. Kiedy już zyskamy pewność, że tutaj jest bezpiecznie, pomyślimy, czy zająć się tym, co na zewnątrz.

- Rozkaz! - krzyknął Mastroni i stanął na baczność z podniesionym podbródkiem, naśladując amerykańskich marines.

Tylko częściowo była to ironia. Tak jak Hirsch, zaczynał chyba czerpać z tego przyjemność.

- Spocznij, szeregowy. Laurence, pani zostanie tutaj. Zorganizuje pani szpital polowy. To na pewno będzie bardziej opłacalne niż te pani przynęty. Będziemy tu przynosić rannych.

Poddała się, usiadła na podłodze, biodrem tuż przy głowie Pinettiego.

- A co tam słyhać na górze? - spytałem Mastroniego.

- Myślę, że zamknęli się w swoich pokojach. Kiedy schodziłem, nikogo nie widziałem. Wszyscy byli w lesie, a potem nagle, fiuuu, zniknęli. Jak ptaki, kiedy się do nich strzela z ukrycia, po chwili nie ma już ani jednego. Nasi przyjaciele na pewno leżą sobie pod kołderkami z nadzieją, że deszcz przestanie padać.

- A od strony kuchni? Jest tam chyba jakieś wyjście? W głębi sali?

- No jest, a jakże - odezwał się Charriac.

Cicho wszedł od tyłu, właśnie służbowymi drzwiami. Dziesiątki razy widziałem wchodzącego tamtędy kelnera, a ponieważ my nigdy tego wyjścia nie używaliśmy, zbyt późno sobie o nim przypomniałem. Byłem przekonany, że restauracja ma tylko jedno. Przez setną sekundy przeklinałem moją nieuwagę.

Charriac celował w nas, gdzieś między Mastronim a mną (może nawet trochę bliżej mnie). Okulary zsuwały mu się z nosa, nie miał już krawata. W wymiętym garniturze, rozdartym na ramieniu, pofałdowanym na plecach, wyglądał jak w piżamie. Delval przezornie stał za nim, gotów wycofać się w stronę kuchni przy najmniejszym alarmie.

Charriac się uśmiechał. To było najbardziej przerażające w tej sytuacji: wydawał się całkiem normalny, taki, jakiego znaliśmy, pewny siebie, uprzejmy, lekko pogardliwy.

- Cześć, dziewczynki. Teraz grzecznie odłóżcie broń i nikt nie zrobi wam kuku - powiedział powoli.

Laurence zakryła twarz rękami i zaczęła płakać. Mnie ta scena jak z filmu gangsterskiego raczej rozśmieszyła. Dziwne, ale wcale się nie bałem. Miałem wrażenie, że gra trwa dalej, że zaraz trafi mnie paintballowa kulka, plamiąc mi kurtkę. Albo i prawdziwa kulka - choć nasza gra ciągle jeszcze

się toczyła.

- A może ty byś odłożył swoją broń? Nas jest dwóch, ty jesteś sam...

- Zgadza się. Ale dosięgnę na pewno któregoś z was. Pytanie za sto tysięcy franków: którego? A może obu, kto wie?

Delval, czując zapach spalenizny, roztropnie zniknął w bezpiecznym mroku. Charriac lekko przesunął lufę strzelby.

- Szszsz! Jeśli ktoś się ruszy, strzelam! No ale chyba nie spędzimy tu całej nocy... Carceville, ty naprawdę jesteś uparty jak wściekły osioł! Dlaczego nie chcesz przyznać, że przegrałeś? Nie miałem zamiaru nikogo zranić... Ale licytacja poszła za wysoko... Jak teraz z tego wybrniemy?

Gdyby zapędził się w swoją kolejną przemowę dydaktyczną, byłaby może szansa, żeby się trochę rozluźnił. Powinienem go prowokować do mówienia, nie spuszczać go z oczu.

- A jak myślisz? - spytałem.

Laurence wszystko popsowała. Mając nadzieję na szybki rozejm, wstała i powiedziała coś, czego nie usłyszałem.

Mastroni wystrzelił, Charriac także. Ja dałem nura pod stół i chwytając go za nogi, z hałasem go przewróciłem.

Minęło kilka sekund. Wbrew temu, co zwykle czyta się w książkach, nie wydały mi się wiecznością, lecz raczej krótką chwilą. Powaliła nas ciężka cisza. W powietrzu czuć było proch, ten gryzący zapach siarki. Odważyłem się wyrzeć, ostrożnie.

Mastroni leżał na podłodze, niedaleko Pinettiego. Laurence obok niego. Charriac zniknął. Pozostało po nim trochę dymu przy drzwiach.

Przykucnąłem, żeby wyjść z mojego bunkra. Pęknięte zebro musiało w końcu chyba się złamać, powodując ból w całej piersi. Podczołgałem się do leżących ciał, nie wypuszczając z rąk karabinu.

Mastroni został postrzelony. Na mój widok blado się uśmiechnął.

- Gruby śrut - wybełkotał. - Ten łajdak strzelał grubym śrutem. Dostałem w nogę. Nic poważnego, zajmij się dziewczyną.

Na jego poszarpanych spodniach pojawiły się niewielkie plamy krwi, między kostką a kolaniem.

Na wpół klęcząc, odwróciłem się w stronę Laurence. Jeśli część śrutu w nią trafiła, Charriac pewnie ją zabił. Nie, jednak otworzyła oczy; jej twarz była kilka centymetrów od mojej.

- W porządku? - spytałem cicho.

Zatrzepotała rzęsami. Na jej ciele nie widziałem najmniejszego zranienia.

- Przestraszyłam się - odparła.

I zaczęła płakać. Poklepałem ją po ramieniu.

- Niech pan zobaczy, co można zrobić dla Mastroniego. Mastroni wyciągnął do nas rękę.

- Dziwne - powiedział niepewnym głosem. - Prawie nic nie czuję. Ale chyba igrzyska olimpijskie mam z głowy. Celował w ciebie, zorientowałem się, że zaraz strzeli, więc strzeliłem pierwszy. Trochę to go zbulwersowało, dlatego dostałem. To nauczka za uratowanie ci życia! Ale ja chyba też go trafiłem.

Uśmiechał się dzielnie. Ja nie. Czulem potworną złość. Hirsch, Mastroni... Wszystkie te złamane życia! I po co? Z powodu tej cholernej pracy, pięćdziesiąt godzin tygodniowo i dwadzieścia tysięcy franków miesięcznie? Byłem równie wściekły na Del Rieco, który nas do tego doprowadził, jak i na Charriaca. Pulsowało mi w skroniach, ciśnienie chyba bardzo mi podskoczyło. Gdzieś w głębi duszy puścił ostatni zawór bezpieczeństwa. Miałem w głowie tylko jedno: wykończyć tych wszystkich

drani.

Nie zwracając uwagi na rwący ból, który przeszywał mi klatkę piersiową, poszedłem do kuchni. Na podłodze były ślady krwi tak jak i na glazurze.

Odwrociłem się do Mastroniego, uniosłem kciuk.

- Brawo, szefie! Masz rację, dowaliłeś mu!

Znowu się uśmiechnął, ale był to raczej grymas człowieka cierpiącego.

- Pewnie. Jestem myśliwym. Nie mogłem w niego nie trafić. Jest wielki jak słoń w wąskim korytarzu.

Przy ostatnim słowie zaciął się i przygryzł wargę. Gdy minął pierwszy wstrząs, który zwykle znieczula ofiary, zaczął odczuwać ból. Bilans był naprawdę poważny: Hirsch martwy lub prawie martwy, Mastroni ranny, a po stronie nieprzyjaciela Pinetti. I to wszystko bez żadnej korzyści dla nikogo. Akcjonariusze nie będą zadowoleni. Mastroni opadał na udo Laurence jak niemowlę przy matce. Zrobiłem w jego stronę ostatni gest, by dodać mu otuchy, i rzuciłem się w pogoń za Charriakiem.

Nie trzeba było urodzić się wśród Siuksów. Wystarczyło iść po śladach kropelek. W pewnym momencie zorientuje się, że krwawi, ale ja podejść już wystarczająco blisko. Byłem ranny tak jak on. Nareszcie szanse się wyrównały, siła przeciw sile, podstęp przeciw podstępowi.

Przeszedłem przez lśniąca czystością kuchnię, potem przez spiżarnię pełną puszek konserw. Na małym stoliku leżały jeden na drugim dwa ogromne koła serów, trzy szynki zawinięte w ścierki zwisały z sufitu nad wielką zamrażarką. Stan pomieszczeń gospodarczych upewnił mnie w mojej opinii co do jakości tutejszego żywienia, ale chwilowo nie to najbardziej zaprzętało moje myśli.

Na lewo w kuchni znajdowały się drzwi służbowe - na dwór. Charriac tędy wszedł i tędy też uciekł. Być może także tutaj na mnie czekał. Strzelbę zostawiłem w rękach Mastroniego, wystarczył mi karabin. Położyłem się płasko na brzuchu i wyjrzałem na zewnątrz, tuż nad ziemią. Kiedy na kogoś czyhamy, zwykle celujemy na wysokość metra czterdziestu, żeby trafić w okolice serca, i jesteśmy zaskoczeni, gdy napastnik znajduje się dziesięć centymetrów nad ziemią - zapamiętałem to z filmów telewizyjnych, które właśnie tu powielaliśmy.

Jednak nikogo tam nie było. Wstawał dzień, szary i smutny. Deszcz chyba przestał padać, po niebie powoli sunęły żółtawe chmurki. Podniosłem się, częściowo jeszcze ukryty. Miałem przed sobą coś w rodzaju korytarza - wąski betonowy przesmyk pomiędzy ścianą magazynu a innym, niższym budynkiem; zapewne znajdowały się w nim sale, o których mówiono nam po przyjeździe, a w których nigdy nie pracowaliśmy. Tutaj także nie było okien. Przemknąłem przez ów przesmyk, przystanąłem na chwilę przed ostatnim narożnikiem i powtórzyłem manewr.

Miałem przed sobą las. Tak jak na podwórku przed magazynem i tutaj gałęzie najbliższych rosnących świerków niemal dotykały muru. Popatrzyłem na ziemię pokrytą brązowym igliwem, ale nie dostrzegłem śladów krwi.

Charriac na pewno uciekł tędy: nie było innej drogi. Albo zagłębił się w las, żeby lizać rany. A może nie został poważnie zraniony i postanowił zrobić okrażenie, aby wrócić do głównego wejścia. Co zrobiłbym na jego miejscu? Po chwili zastanowienia doszedłem do wniosku, że wróciłbym. Żeby dokończyć robotę - jeśli było w nim tyle nienawiści co teraz we mnie.

Ostrożnie szedłem drogą, jaką on by wybrał.

Posuwałem się wzdłuż zachodniej fasady, tuż przy ścianie, ciągle jeszcze w ukryciu. Ogarnęło mnie zupełnie nowe uczucie wywołane zapachem krwi: silna ekscytacja wprawiająca mnie w

drzenie, która jednak nie odbierała mi jasności umysłu, tak jakby wszystkie moje zmysły się wyostrzyły. Odczuwałem już kiedyś coś podobnego, taki przyływ adrenaliny wobec odważnego przedsięwzięcia, nieoczekiwanej ofensywy - ciało przecież wytwarza narkotyki, a one sprawiają, że życie staje się interesujące. Ale wtedy ekscytacja była o wiele słabsza, wyhamowana, złagodzona, pozbawiona tej dzikości, jaka teraz obudziła się we mnie.

Byłem w połowie drogi, kiedy w budynku padł strzał. Drgnąłem. Charriac dobiegł tam pewno szybciej, niż się spodziewałem. Przyspieszyłem.

Tuż przy wejściu do hotelu poślizgnąłem się na zwirze i runąłem na ziemię. Podnosiłem się z trudem, gdy w drzwiach stanęła przerażona Laurence.

Miałem jeszcze na tyle siły, by złapać ją za ramię i pociągnąć za jedną z dwóch donic z kwiatami stojących przy schodach.

- Gdzie on jest? - wyrzuciłem z siebie.

Nie odpowiedziała. Drżała jej broda. Ukryła twarz w mojej koszuli, nie zwracając uwagi na bolące zębra.

Nad nami kolejny wystrzał rozwalił okno; długi płomień musnął niebo, spadł na nas deszcz odłamków szkła. Trzymając kurczowo Laurence za kark, cofnąłem się za świerk i popchnąłem ją. Nie rozumiałem, co się dzieje.

Laurence upadła dwa metry ode mnie. Podkradłem się do niej, wymachując bronią. Nagle zacząłem się zastanawiać, czy karabin jest nabity. Co za głupota, nie pomyślałem, że trzeba to sprawdzić. Z wysiłkiem wyciągnąłem z kieszeni puszkę naboju, starą, okrągłą, metalową puszkę przeznaczoną na pastylki od kaszlu. Nie chciała się otworzyć. Wściekle się z nią siłowałem.

- Brigitte - powiedziała Laurence, czkając.

- Co, Brigitte?

Zmarszczyłem brwi. Tylko jej jeszcze brakowało.

- Przyszła i pomagała mi opatrywać rannych, a potem pojawił się Delval. Nie wiem, co się wydarzyło, ale wzięła strzelbę od Mastroniego i strzeliła w Delvala. Była wściekła z powodu Mastroniego.

Oniemiałem. W tym wybuchu przemocy nawet Brigitte Aubert przyłączyła się do walki. Cały świat popadł w obłęd.

Po raz kolejny chybotliwy płomień rozświetlił okno; po chwili liznął zasłonę i zamienił ją w pochodnię. Paliła się jadalnia.

- Ona podłożyła ogień?

- Nie. Nie wiem. To całkiem możliwe, zawsze była stuknięta. O Boże, ranni!

Nagle, ożywiona niepokojem, skoczyła na równe nogi i zanim zdołałem zrobić jakikolwiek ruch, niezdarnie dobiegła do hotelu. W tej samej chwili puszka się otworzyła i naboje rozsypały się po ziemi. Mozolnie zbierałem jeden po drugim. Jeszcze nie osiągnąłem odpowiedniego poziomu, Robocop mógł być spokojny.

Chwile, które nastąpiły potem, pozostawiły we mnie bardzo mgliste wspomnienie. Wewnątrz budynku wszyscy krzyczeli. Ujrzałem, jak z góry zbiega Laurence, ciągnąc za nogi Pinettiego; jego głowa obijała się o stopnie schodów, co chyba nie bardzo mu odpowiadało. Potem rozpoznałem głos El Fatawiego, proszącego o wodę Nathalie, uroczą Nathalie, jedyną osobę pozostałą z całej organizacji, która właśnie pomagała Laurence wyciągnąć Mastroniego z ognia. Ofiary były układane w alejce. Chalamont w pasiastej piżamie zataczał się na podeście schodów, energicznie drapiąc się

w pośladki. Najwyraźniej, dopiero się obudził; wydawało mu się zapewne, że jeszcze śni. Rozumiałem go - więcej: zazdrościłem mu.

Ja także mógłbym być pomocny. Ale wolałem dalej stać na czatach. Sprawcy tej masakry ciągle krążyli gdzieś w pobliżu, z palcem na cynglu: w tym chaosie nie widziałem ani Charriaca, ani Delvala. Tym bardziej Del Rieco, który na pewno schował się gdzieś w bezpiecznym miejscu.

Brigitte Aubert ukazała się wreszcie w drzwiach przysłoniętych dymem. Wydawało się, że wychodzi z mgły; na twarzy miała plamy sadzy. Trzymała się prosto. Do boku przyciskała strzelbę Mastroniego, wyglądała jak z końcowej sceny westernu. Calamity Jane, szkoda, że nie było tu Del Rieco, zobaczyłby, jaka jest bojowa. Zrobiłaby na nim wrażenie. Mogłem być dumny z mojej ekipy. Wszyscy ślepo za mną poszli, do samego końca, nie starając się zrozumieć. Tak samo jak współpracownicy Charriaca, którzy poparli jego sprawę. Po tym poznaje się prawdziwego szefa: zespół nigdy go nie opuszcza. Może właśnie to chcieli przetestować ci z De Wavre.

Brigitte postąpiła kilka kroków, powoli, miękko, przekraczając leżące ciała. Była spokojna, niemal pogodna i - nie znajduję innego słowa - promienna. Nie pokazując się za bardzo, zawołałem ją. Uniosła broń, spojrzała twardym wzrokiem i zauważyła mnie. Chwilę później przyczaiła się obok mnie. Tylko lekki skurcz mięśnia w policzku zdradzał jej napięcie.

- Co się stało?

- Usłyszałam jakiś hałas, poszłam sprawdzić, co to, i Laurence mi wszystko opowiedziała. Widziałam Mastroniego, biedak usiłował nam wmówić, że nic go nie boli. Okropnie oberwał, wie pan? Bardzo mi go żal. Zdenerwowałam się. Potem przyszedł Delval. Nie zastanawiałam się długo, wzięłam strzelbę Mastroniego i wycelowałam w niego. Delval, Charriac to jedna banda drani. Zwykle wymierzenie sprawiedliwości, prawda? A poza tym mógł być uzbrojony, przecież tego nie wiedziałam. Niestety, chyba go nie trafiłam.

Mówiła spokojnym głosem, tak jakby opowiadała mi coś najbanalniejszego w świecie.

- A pożar?

Ciągle widać było płomienie, które trzeszczały w sali jadalnej. Pochłoneły zasłony i obicia, teraz już tylko pelzały. Lite drewno pali się o wiele trudniej i wolniej, niż nam się wydaje; ogień się już nie rozprzestrzeniał. Z nowoczesnego hotelu, wyposażonego w sprzęty z tworzyw sztucznych, zostałyby tylko kupka popiołu. Brigitte wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia... Ktoś musiał trafić w coś, co się zapaliło. Olej albo co... Albo specjalnie podpalili.

Niczego więcej się nie dowiedziałem. Rzecznicy z towarzystw ubezpieczeniowych może nas poinformują.

- Muszę dopaść Charriaca - wydyszałem. - To się nie skończy, dopóki on żyje.

Brigitte spojrzała na mnie spod oka.

- A ja chciałabym dorwać Delvala. Po tym, co nam zrobił... Dla zasady. Tylko że takich Charriaców i Delvali jest mnóstwo, trudno będzie zrobić gruntowne porządki. Aj, pan też jest ranny?

Dotychczas stała po mojej lewej stronie, więc nie miała przyjemności dojrzeć mojego poszarpanego prawego profilu. Dotknęła palcem mojego policzka, a ja wrzasnąłem.

- No co jest? To boli, nie wie pani?

Skrzywiła się współczująco, trochę ironicznie, a trochę litościwie jak przy dziecku, które skaleczyło się w kolano.

- Wyobrażam sobie.

Nagle drgnęła i wyciągnęła rękę w stronę rzędu świerków.

- Charriac! Tam, na brzegu!

Miała rację: Charriac uciekał brzegiem jeziora ku ścieżce, którą kiedyś szedłem z Laurence. Nie utykał. Brigitte wycelowała. Gwałtownym ruchem szarpnąłem lufę w dół.

- Nie!

Zrezygnowała, popatrzyła na mnie niepewnie.

- Nie? Nie strzelamy w plecy?

- Strzelamy. Ale Charriac jest dla mnie.

- Zgoda. No to niech pan po niego idzie, pan jest tu szefem. Skończmy już z nim.

Gdyby nie rzuciła mi wyzwania, gdybym nie bał się stracić twarzy, czy sprawa potoczyłaby się inaczej? Nie sądzę. Wszyscy już zaszliśmy za daleko. Zresztą sam jej powiedziałem: Charriac jest dla mnie. Zasłużyłem na to. Ta historia mogła się skończyć tylko pojedynkiem szefów.

Wstałem z trudem, trzymając się drzewa. Ona klęczała na jednym kolanie, strzelbę opierała na udzie.

- Czekam na Delvala - oświadczyła. - Nigdy go nie lubiłam. Jeśli będzie miał nieszczęście trafić na mnie... Ech, panie Carceville...

- Słucham?

Uśmiechnęła się, pokazując nierówne zęby.

- Cóż to był za pieprzony staż! Jeśli po tym wszystkim nie znajdą nam pracy...

Jednym kącikiem ust - lewym - odpowiedziałem jej uśmiechem.

- Nooo. Na przykład w Soldiers of Fortune. To dobra firma. Przy czymś takim nie ma bezrobocia. Zdaje się, że w Kosowie potrzebują ludzi, można by spróbować...

Roześmiała się, po czym zaczęła kaszleć. Musiała nałykać się dymu. Zasłużyła sobie na to: byłoby niesprawiedliwe, gdyby ona jedna wyszła cało z tego wszystkiego.

Kiedy przechodziłem koło Laurence, nie odwróciła głowy, nie zrobiła nic, żeby mnie powstrzymać.

W końcu dopadłem Charriaca. Jest tutaj, leży u moich stóp, tak martwy, jak tylko można być martwym. Przechodził właśnie przez polanę, kiedy zaszedłem go od tyłu. Idąc pod górę, odebrałem mu przewagę: szybciej się chodzi ze złamanymi żebrami niż ze zranioną nogą.

Zawołałem go. Odwrócił się, a ja strzeliłem. On także mógł strzelić. Ale tego nie zrobił. Myślę, że mnie nie dostrzegł: byłem jeszcze na skraju lasu, a szedłem od wschodu, mając słońce za plecami. Wydaje mi się też, że zgubił okulary. Mimo wszystko była to uczciwa walka, miał przecież szansę.

Upadł już po pierwszym strzale, twarzą do ziemi. Usiadłem obok niego. Czekam. Kilka zielonych muszek brzęczy przy jego uchu, a przecież jeszcze nie ostygł.

Po pewnym czasie usłyszałem silnik łodzi, potem nawoływania żandarmów - a może strażaków. Bardzo szybko odpłynęli. Ale wrócą. Na razie jest cisza. Pożar został chyba opanowany: dach hotelu, widoczny między drzewami, jest taki jak przedtem. Na pewno pierwszym kursem wywieźli rannych. Mam nadzieję, że nikt nie zginął - oprócz Charriaca. I może Hirscha. Bardzo mi go żal. Lubiłem Hirscha.

Nie wiem, czy Brigitte dopadła Delvala. To jej problem. Oby udało jej się go załatwić. Nieczęsto ma się tak wielką satysfakcję.

Nie zastanawiałem się jeszcze nad tym, co teraz nastąpi. Mógłbym złożyć broń i grzecznie wrócić. Nad jezioro, do cywilizacji, ku *major companies*, zakamuflowanym potyczkom, równie

krwiożerczym. Do miejsc, w których zabija się symbolicznie, gdzie ma się prawo do wszystkiego, oprócz zadawania obrażeń cielesnych.

Tak, mógłbym... A może i nie. Nie zazdroszczę sędziemu śledczemu, którego wyznaczą. Będzie musiał oddzielić ofiary od zabójców. Jak dotąd różnica jest mało uchwytna. Chyba że wszyscy zostaniemy uznani za szaleńców. Ale jak uznawać ludzi za szaleńców w świecie, który oszalał? My po prostu, i jedni, i drudzy, doszliśmy do granic ludzkiej wytrzymałości. Tak jak sobie tego życzył Del Rioco.

On za to jest już spalony. Nie przypuszczam, żeby De Wavre International przeżyło tytuły w prasie. Przez chwilę nawet zastanawiałem się, czy go także nie zabić. Przecież to on jest za wszystko odpowiedzialny. Nie wiem jednak, gdzie go szukać. Zresztą, to niepotrzebne. Czy o tym wie, czy nie, jest już martwy. Teraz on z kolei będzie pukał do drzwi, które zamykają się przed nosem; pozna rozmówców, którzy ciągle są na zebraniach, gdy się do nich telefonuje, wyniosłe sekretarki, zaniepokojonych wierzycieli; doświadczy bezsennych nocy i będzie napotykał litościwe, znużone spojrzenia tych, których kocha. Najgorsza kara: niekończąca się agonია.

Natomiast ja już nie. Nigdy więcej. Zostało mi jeszcze parę naboju. Oczywiście mógłbym też okrążyć wyspę i przepłynąć wąską odnogę jeziora, na północy. Chyba nie jest zbyt głębokie. Ale mam silne bóle w piersi, nie wiem, czy dam radę. Co może być tam dalej? Kilometry lasu i gór, a potem granica włoska? Przecież nie ma już granic, nigdzie nie można się ukryć. Wszędzie Charriaki i tacy Del Rioco, wszędzie ludzie, których interesuje tylko, jaki dochód możesz im przynieść i czy wiesz, jak sprostać wyzwaniu.

Cieszę się, że zabiłem Charriaca. Nawet jeśli to niczemu nie służy. I jeśli inni, wielu innych, będą musieli dokończyć tę robotę.

Próbuję wrócić w myślach do tego, co tu przeżyłem, od pierwszego dnia. Daremnie szukam jakiegoś błędu, nie popełniłem żadnego. Żadnej pomyłki. Sprawa nie mogła potoczyć się inaczej. Zaraz się zjawia, a wraz z nimi ich żandarmi, ich prokuratorzy, dziennikarze i zaczną mówić o mojej odpowiedzialności. Jakiej odpowiedzialności? Wschodzące słońce razi w oczy, ogarnia mnie ogromne zmęczenie. Co ja im powiem? Że nie miałem wyboru? Że za bardzo jestem do nich podobny, by mogli mnie osądzać? Nie mam już nic, czym mógłbym napędzić im stracha, a tylko to szanują. Mogę ich jedynie rozśmieszyć. Ale tego już chyba nie zniosę.

Z naprzeciwnika patrzą na mnie znieruchomiałe świerki. Ja też na nie patrzę. Jeśli długo będę trwał w bezruchu, tak jak one, może zamienię się w kamień. Będziemy rozmawiać jak roślina z minerałem. To dobre wyjście, kiedy nie ma już nic ludzkiego.

Lecz oni nie zostawią mi wiele czasu. Wskakując do wody, słyszę pomruk wracającej łodzi. Będę musiał się zdecydować.